

ANDREA Camilleri



Taniec mewy



NOIR SUR BLANC

# Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Od autora

Przypisy

Inne książki Andrei Camilleriego

ANDREA CAMILLERI

TANIEC  
MEWY

Przełożyła  
Monika Woźniak

**NOIR SUR BLANC**

Tytuł oryginału: LA DANZA DEL GABBIANO

Opracowanie redakcyjne: KLEMENS GÓRSKI

Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA, AGATA NOCUŃ

Fotografia na okładce: © dbajurin/123RF

Opracowanie graficzne serii: OLGIERD CHMIELEWSKI

Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2009 Sellerio Editore, Palermo

For the Polish edition

Copyright © 2017, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-65613-58-5

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: [nsb@wl.net.pl](mailto:nsb@wl.net.pl)

księgarnia internetowa: [www.noirsurblanc.pl](http://www.noirsurblanc.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

# 1

Okolo wpół do szóstej rano nie był już w stanie leżeć dłużej bezsennie w łóżku, z oczami wbitymi w sufit.

Była to jedna z oznak nadchodzącej starości; zwykle kładł się do łóżka po północy i czytał przez jakieś pół godziny, aż zaczynały mu opadać powieki. Wtedy odkładał książkę, gasił lampkę na nocnej szafce i przyjmował odpowiednią pozycję, na boku, z podkulonymi kolanami, prawą otwartą dłonią na poduszce, policzkiem przytulonym do lewej dłoni. Zamykał oczy i zasypiał jak kamień.

Na szczęście często spał bez przerwy do rana, jednym ciągiem, ale czasami, tak jak tej nocy, po jakichś dwóch godzinach budził się bez żadnego powodu i nie był w stanie ponownie zasnąć.

Pewnego razu, nie mogąc już tego wytrzymać, wstał z łóżka i wlał w siebie pół butelki whisky w nadziei, że sen powróci. Wynik był taki, że o świcie stawiał się w komisariacie kompletnie pijany.

Teraz także wstał i poszedł otworzyć drzwi na werandę.

Ranek był piękny, lśniący kolorami, niczym obraz jeszcze wilgotny od farby.

Fale uderzały jednak o brzeg mocniej niż zwykle.

Wyszedł na zewnątrz i zadygotał z zimna. Była połowa listopada i normalnie pogoda byłaby już zimowa, tymczasem taki dzień mógłby się trafić we wrześniu.

Nie znaczyło to, że taki będzie cały dzień. Z prawej strony, od góry Russello, nadciągały już czarne chmury.

Montalbano wrócił do środka i w kuchni zaparzył kawę. Wypił pierwszą filiżankę i zamknął się w łazience. Kiedy wyszedł, już ubrany, nalał sobie drugą filiżankę kawy i poszedł ją wypić na werandzie.

– Ranny ptaszek z pana dzisiaj!

Mężczyzna na plaży pomachał komisarzowi ręką na powitanie.

To był pan Pucci, który zepchnął do wody łódź, wskoczył do niej i zaczął wiosłować w stronę otwartego morza.

Od ilu to lat komisarz patrzył na niego, jak wykonuje zawsze te same ruchy?

Potem zagapił się na lecącą mewę.

Mew widywało się coraz mniej, z jakiegoś powodu przeniosły się do miasteczka. Ale i w Montelusie, dziesięć kilometrów od wybrzeża, były ich setki, jak gdyby znudziły się morzem i postanowiły żyć z dala od fal. Dlaczego zdecydowały się szukać pożywienia na miejskich śmietnikach, zamiast polować na świeże ryby? Czemu poniżały się do walki ze szczurami o głowę zgniłej ryby? Czy one same wybrały taki nędzny żywot, czy zmieniło się coś w porządku natury?

Nagle mewa złożyła skrzydła i zapikowała ku plaży, jakby coś tam zobaczyła. Jednak gdy dotknęła dziobem piasku, zamiast podnieść się do góry ze zdobyczą, sflaczała, zmieniła się w nieruchomą kupkę brudnych skrzydeł, z lekka poruszanych podmuchami porannego wiatru. Może ktoś postrzelił ptaka, choć przecież komisarz nie usłyszał żadnego wystrzału? Ale kto byłby tak durny, żeby strzelać do mewy? Leżąca około trzydziestu kroków od werandy mewa na pewno była martwa. Potem jednak, na oczach Montalbana, jej ciałem wstrząsnął jakby dreszcz, ptak podniósł się z trudem, przechylił na bok, rozłożył jedno skrzydło i zaczął kręcić się wokół własnej osi jak bąk, rysując końcem skrzydła koło na piasku, a zarazem wyciągając

dziób do nieba w nienaturalnej pozie, z szyją dziwnie skrzywioną. Co też on wyprawiał, tańczył? Tańczył i śpiewał. Nie, właściwie to nie był śpiew. Dźwięk wydobywający się z jego dzioba był ochrypły, rozpaczliwy, jak gdyby mewa wzywała pomocy. I nie przestając się kręcić, co jakiś czas wyciągała szyję jeszcze bardziej, niewiarygodnie wysoko, ruszając dziobem w przód i w tył. Wyglądało to jak wyciągnięta ręka, która chce coś położyć na górze, ale nie jest w stanie tam dosięgnąć.

Montalbano pobiegł na plażę i zbliżył się na krok do ptaka. Mewa chyba go nawet nie zauważyła, ale wkrótce potem jej taniec stał się coraz bardziej niepewny, chwiejny, aż wreszcie ptak wydał z siebie przeszywający, niemal ludzki krzyk i straciwszy podparcie skrzydła, osunął się na piasek i umarł.

Odtńczył swoją śmierć – pomyślał komisarz, przejęty sceną, której dopiero co był świadkiem.

Nie chciał jednak zostawić mewy na żer psom i mrówkom. Chwycił ją za skrzydła i zaniósł na werandę. Poszedł do kuchni i wziął plastikowy worek. Wrzucił do niego ptaka, a potem obciążył go jeszcze dwoma kawałkami skały, które trzymał w domu dla ozdoby. Zdjął buty, spodnie i koszulę, wszedł do morza w slipkach, doszedł do miejsca, w którym woda sięgała mu szyi, i zakręciwszy workiem nad głową, rzucił go najdalej, jak potrafił.

Kiedy wrócił do domu, żeby się osuszyć, był zlodowaciały z zimna. Chcąc się rozgrzać, zaparzył następną kawę i wypił ją wrzącą.

Podczas gdy jechał w stronę lotniska Punta Raisi, powrócił myślami do tańca i śmierci mewy. Nie wiadomo dlaczego, wydawało mu się zawsze, że ptaki są wieczne, i kiedy zdarzało mu się być świadkiem ich śmierci, przyjmował ją z lekkim zdziwieniem, jak gdyby stawiano go w obliczu czegoś niemożliwego. Był niemal pewien, że mewy, która umarła na jego oczach, nikt nie zastrzelił. Niemal, bo mogło się przecież zdarzyć i tak, że

ugodziła ją jedna, jedyna kula, i choć z rany nie wypłynęła nawet strużka krwi, trafienie okazało się śmiertelne. Czy wszystkie mewy umierały w ten sposób, wykonując taki rozdzierający, pożegnalny balet? Montalbano nie potrafił wyrzucić z pamięci tej sceny.

Gdy po przyjeździe na lotnisko popatrzył na tablicę przylotów, bez zdziwienia przyjął optymistyczną informację, że lot, na który czekał, jest spóźniony o ponad godzinę.

Bo czy mogło być inaczej? Czy cokolwiek we Włoszech trzymało się jeszcze ustalonych terminów?

Pociągi odjeżdżały spóźnione, samoloty odlatywały po czasie, promy kursowały, jak zadziałała ręka opatrności, o poczcie nie wspominałmy, roboty publiczne opóźniały się o pięć, dziesięć lat w stosunku do terminarza, uchwalanie jakiegokolwiek nowego prawa zajmowało całe lata, opóźniały się procesy, nawet programy telewizyjne zaczynały się zawsze z półgodzinnym opóźnieniem...

Kiedy myśli Montalbana przyjmowały taki bieg, krew gotowała mu się w żyłach. Nie chciał jednak, żeby Livia po przybyciu zastała go w złym humorze. Potrzebował zrelaksować się w czasie tego godzinnego oczekiwania.

Poranna podróż pobudziła mu apetyt. Trochę to było dziwne, bo w zasadzie nigdy nie jadł śniadania. Poszedł do baru, gdzie zastał kolejkę jak na poczcie w dzień wypłaty emerytury. W końcu przyszła kolej na niego.

– Proszę kawę i croissanta.

– Croissantów nie ma.

– Skończyły się?

– Nie, dzisiaj rano jeszcze nie dowieźli, dostaniemy je za pół godziny.

Nawet croissanty się spóźniały!



Wypił z niechęcią kawę, kupił gazetę, usiadł i zaczął czytać. Wszystko czcza gadanina i bzdury. Bzdurzył rząd, bzdurzyły opozycja, Kościół, Confindustria<sup>[1]</sup> i związki zawodowe, paplało się o parze celebrytów, którzy właśnie się rozstali, o fotografe, który fotografował to, czego nie powinien, o najbogatszym i najpotężniejszym człowieku w kraju, do którego własna żona napisała list otwarty, żeby mu wypomnieć coś, co powiedział do innej kobiety. Było też gadanie o murarzach spadających z rusztowań jak dojrzałe gruszki, o nielegalnych imigrantach tonących w czasie przeprawy morzem, o emerytach ledwie wiążących koniec z końcem, o zgwałconych nastolatkach...

Paplało się zawsze i wszędzie o wszystkim i zawsze była to czcza gadanina, która do niczego nie prowadziła, nic z niej nie wynikało...

W przeblasku natchnienia Montalbano zdecydował, że należy zmienić pierwszy artykuł konstytucji: „Włochy to republika oparta na handlu narkotykami, notorycznych spóźnieniach i czczej gadaninie”.

Wyrzucił z goryczą gazetę do kosza, wstał, wyszedł z hali przylotów i zapalił papierosa. Wtedy zobaczył mewy krążące nad skałami nad brzegiem morza i przypomniał sobie tę, która na jego oczach odtańczyła swój przedśmiertny taniec.

Ponieważ brakowało jeszcze pół godziny do przylotu, przemierzył na piechotę kawałek drogi przejechany przedtem samochodem i zatrzymał się kilka kroków od skał. Stał tak jakiś czas, wciągając w nozdrza woń alg i słonego powietrza, przyglądając się goniącym się nawzajem ptakom.

Potem wrócił na lotnisko, samolot Livii właśnie wylądował.

Pojawiła się przed nim promienna i uśmiechnięta. Objęli się mocno i pocałowali, minęły bowiem trzy miesiące od ich ostatniego spotkania.

– Idziemy?

– Muszę odebrać walizkę.

Naturalnie bagaże oddano podróżnym po godzinie wypełnionej krzykami, wyklinaniami i protestami. I tak dobrze, że nie poleciały do Bombaju czy Tanzanii.

Gdy jechali już w stronę Vigaty, Livia powiedziała:

– Wiesz, zarezerwowałam nam na dzisiaj hotel w Ragusie.

Postanowili spędzić trzy leniwe dni w Dolinie Noto, zwiedzając barokowe miasteczka, których Livia jeszcze nie знаła.

Podjęcie tej decyzji nie było łatwe.

– Słuchaj – powiedziała mu przez telefon jakiś tydzień wcześniej – mam cztery dni wolne, co byś powiedział na to, żebym do ciebie przyjechała na małe wakacje?

– Cudownie!

– Pomyślałam, że może moglibyśmy pojechać sobie na wycieczkę po Sycylii. Gdzieś, gdzie jeszcze nie byłam.

– Świetny pomysł. Nie mam teraz dużo do roboty w komisariacie. Wiesz już, dokąd chciałabyś pojechać?

– Tak, do Doliny Noto. Nigdy jej nie zwiedzałam.

Nie mogła sobie wymyślić innego miejsca?

– No tak, Dolina Noto jest przepiękna, nie ma co mówić, ale wierz mi, są też inne miejsca, które...

– Jednak ja chciałabym pojechać właśnie do Noto, podobno odrestaurowana katedra to prawdziwy cud architektury, a potem można też zobaczyć na przykład Modicę, Ragusę, Scicli...

– Bardzo dobry program, masz zupełną rację, tylko że...

– Nie odpowiada ci?

– Ależ skąd, w zasadzie się zgadzam, oczywiście, tylko może lepiej zasięgnąć najpierw informacji.

– Na jaki temat?

– Bo wiesz, nie chciałbym, żeby akurat kręcili.

– O co ci chodzi? Kto ma kręcić?

– Nie chciałbym, żeby akurat w tym czasie kręcili jakiś nowy odcinek serialu... robią to właśnie w tamtym rejonie.

– A co cię to obchodzi, przepraszam?

– Jak to, co mnie to obchodzi? A jeśli przypadkiem wpadnę na aktora, który mnie gra... no, jak on się nazywa?... chyba Zingarelli.

– Nazywa się Zingaretti, nie udawaj, że nie pamiętasz. Zingarelli to słownik. No więc pytam jeszcze raz, co cię to obchodzi? W twoim wieku zbiera ci się na jakieś dziecinne kompleksy?

– Wiek tu nie ma nic do rzeczy.

– I nawet nie jest do ciebie podobny.

– To akurat prawda

– Jest dużo młodszy.

Uff, znowu jakaś fiksacja z wiekiem ją wzięła. Uparła się?

Montalbano poczuł się urażony. Nic tu nie miały do rzeczy młodość czy starość.

– Co to niby ma znaczyć? Jeśli o to chodzi, to on jest łysy jak kolano, a ja mam włosy, że tylko zazdrościć!

– Salvo, już dobrze, nie kłóćmy się.

W końcu dla świętego spokoju na wszystko się zgodził.

– No przecież wiem, że zarezerwowałaś pokój. Po co mi to powtarzasz?

– Bo to znaczy, że musisz wrócić do Marinelli najpóźniej o szesnastej.

– I tak muszę w pracy podpisać tylko trochę papierków.

Livia zaśmiała się sarkastycznie.

– Z czego się śmiejesz?

– Tak jakby to był pierwszy raz...

Urwała.

– Ależ proszę, mów dalej. Pierwszy raz, kiedy co?

– Dajmy spokój. Spakowałaś walizkę?

– Nie.

– No pewnie! Zajmie ci to dwie godziny, a potem ślimaczym tempem, w jakim jeździsz, dotrzemy do Ragusy ciemną nocą!

– Ślimaczym tempem! Bardzo dzisiaj jesteś dowcipna! Ile czasu potrzeba na spakowanie walizki? Będę gotowy w pół godziny.

– Chcesz, żebym ja ją zaczęła pakować?

– Ależ na litość boską!

Raz, kiedy pozwolił jej spakować swoją walizkę, znalazł się na Elbie z butami nie do pary, jednym czarnym, drugim brązowym.

– Co ma znaczyć to „na litość boską”? – spytała Livia spiętym głosem.

– Nic, nic – odpowiedział pospiesznie, bo nie chciał zaczynać sprzeczki.

Po chwili milczenia Montalbano spytał:

– Czy w Boccadasse mewy umierają?

Livia, która patrzyła przed siebie na szosę trochę jeszcze nadąsana z powodu sprawy z walizką, odwróciła się do niego zdumiona i nic nie odpowiedziała.

– Czemu tak na mnie patrzysz? Zapytałem tylko, czy w Boccadasse mewy

umierają.

Livia dalej patrzyła na niego w milczeniu.

– No co, odpowiesz mi? Tak czy nie?

– Cóż to znowu za idiotyczne pytanie?

– Nie możesz mi odpowiedzieć, nie oceniając poziomu inteligencji mojego pytania?

– Myślę, że umierają w Boccadasse tak samo jak wszędzie.

– Widziałas kiedyś umierającą mewę?

– Nie wydaje mi się.

– Co to znaczy, że ci się nie wydaje? To nie jest kwestia widzimisię. Widziałas albo nie! Nie można się wykręcać!

– Nie podnoś głosu. Nie widziałam! No i co, jesteś zadowolony? Nie widziałam!

– Teraz to ty zaczynasz krzyczeć!

– Bo zadajesz jakieś durne pytania! W ogóle jesteś dzisiaj jakiś dziwny! Dobrze się czujesz?

– Doskonale! Cudownie! Fantastycznie! Do kurwy nędzy pierdolonej, czuję się wspaniale. Naprawdę, kurwa, wspaniale!

– Tylko nie zaczynaj rzucać mię...

– Mówię, jak mi się podoba, jasne?

Livia nic na to nie odpowiedziała. Żadne z nich nie otworzyło już ust.

Dlaczego zawsze musieli się sprzeczać o każdą drobnostkę? I dlaczego żadnemu z nich nie przychodziło do głowy, aby wyciągnąć logiczny wniosek z tej sytuacji, a mianowicie uścisnąć sobie ręce i rozstać się raz na zawsze?

Dotarli tak w uporczywym milczeniu aż do Marinelli. Montalbano miał pojechać od razu do komisariatu, ale zachciało mu się wziąć najpierw

prysznic. Może w ten sposób mógł się pozbyć złego nastroju, w jaki wprawiła go sprzeczka z Livą. Livia z kolei od razu po przyjeździe zamknęła się w łazience.

Komisarz rozebrał się i zapukał delikatnie do drzwi.

– Czego chcesz?

– Pospiesz się, bo chciałbym wziąć prysznic.

– Poczekaj, aż skończę.

– Kiedy ja muszę jechać do pracy!

– Mówiłeś, że musisz tylko podpisać kilka dokumentów!

– No dobrze, ale przecież pojechałem do Palermo i z powrotem, żeby cię odebrać z lotniska! Muszę się odświeżyć po podróży!

– A ja to nie przyleciałam z Genui do Vigaty? Chyba moja podróż była dłuższa? Należy mi się pierwszeństwo!

Co to, teraz zaczęła mu wyliczać kilometry?

Zaklął, poszukał slipek kąpielowych, założył je i poszedł na plażę. Mimo iż słońce już przygrzewało, piasek pod jego stopami był chłodny.

Gdy tylko wszedł do wody, zimno pozbawiło go tchu. Jedynym wyjściem było zacząć natychmiast szybko płynąć. Po kwadransie intensywnego kraula, odwrócił się na plecy i pozwolił unosić falom.

Na niebie nie było widać ani jednego ptaka. Kilka słonych kropli potoczyło mu się po policzkach i wpadło do otwartych ust, między podniebienie a język. Ich smak wydał mu się dziwny.

Nabrał dłonią trochę morskiej wody i skosztował. Nie ulegało wątpliwości, morze nie miało już takiego smaku jak kiedyś. Wydawało się, że brakuje mu soli, było gorzkawe, trochę jak stęchła woda mineralna. Może właśnie dlatego mewy... ale przecież barweny, które pochłaniał w knajpie, miały wciąż ten sam smakowity zapach.

Wracając na brzeg, zobaczył, że Livia siedzi w szlafroku na werandzie i pije kawę.

– Jaka jest woda?

– Stęchła.

Kiedy wyszedł spod prysznic, Livia stanęła mu na drodze.

– Co jest?

– Nic. Musisz jechać od razu do komisariatu?

– Nie.

– No to może...

Zrozumiał. Słyszając, jak w duszy rozśpiewują mu się anielskie chóry, objął ją mocno.

To było cudowne pogodzenie się.

– Pamiętaj, masz być w domu o szesnastej! – przypomniała mu, odprowadzając go do drzwi.

– Przyślij mi Fazia! – powiedział Catarelli, przechodząc koło dyżurki.

– Na miejscu nie znajduje się, panie komisarzu.

– Ale dzwonił?

– Nie, panie komisarzu.

– Gdy tylko przyjdzie, powiedz mu, żeby do mnie zaszedł.

Na biurku czekała na niego cała góra papierów, spiętrzonych w chwiejnej równowadze. Upadł na duchu i przyszła mu chęć, żeby wypiąć się na biurokrację. Niby co by mu mogli zrobić, jeśli ich nie podpisał? Karę śmierci zniesiono, dożywocie też miano zlikwidować. No więc? Sprytny adwokat mógł przeciągnąć sprawę tak długo, aż przestępstwo zaniechania podpisu uległoby przedawnieniu. Nawet kilku premierów skorzystało już

z tego systemu, żeby się wykręcić od kary za gorsze przewinienia. Potem jednak w komisarzu zwyciężyło poczucie obowiązku.



## 2

Augello wszedł do gabinetu bez pukania, nie mówiąc nawet dzień dobry. Wyglądał na przygnębionego.

– Co się stało?

– Nic.

– Mimì, nie zgrywaj się.

– Całą noc kłóciłem się z Bebą.

– Z jakiego powodu?

– Twierdzi, że pieniądze z mojej pensji nie starczą na wszystkie wydatki, dlatego chce sobie znaleźć pracę. Co więcej, dostała już dobrą ofertę.

– A tobie to nie w smak?

– Skądże. Tylko problem z dzieciakiem.

– No tak. Jak da sobie radę w pracy, mając małe dziecko?

– Jej zdaniem nie ma problemu. Wszystko rozwiązane. Chce oddać małego do żłobka.

– No więc?

– Ja się nie zgadzam.

– Dlaczego?

– Jest za mały, to znaczy niby w odpowiednim wieku, ale jest taki drobny, szkoda mi go.

– Myślisz, że go tam będą źle traktować?

– No skąd! Na pewno zatroszczą się o dziecko jak trzeba. Ale i tak mi go

szkoda. Mnie prawie nigdy nie ma w domu. Jeśli Beba wróci do pracy, też będzie wychodzić rano i wracać wieczorem. I dziecko poczuje się jak sierotka.

– Nie gadaj bzdur, Mimì. Bycie sierotą to całkiem co innego. Mówię z własnego doświadczenia, dobrze o tym wiesz.

– Przepraszam. Mówmy o czym innym.

– Jest coś nowego?

– Nic. Absolutny spokój.

– Wiesz, czemu Fazio jeszcze się nie zjawił?

– Nie.

– Słuchaj, widziałeś kiedyś umierającą mewę?

– Nie. Dlaczego?

– Dzisiaj rano widziałem jedną, która umarła tuż przed moją werandą.

– Ktoś ją postrzelił?

– Nie umiem ci powiedzieć.

Augello przyjrzał się uważnie komisarzowi. Potem wsadził rękę do kieszeni marynarki, wyciągnął okulary i założył je sobie na nos.

– Wyjaśnij to od początku.

– Nie, najpierw powiedz, dlaczego założyłeś okulary.

– Żeby cię lepiej słyszeć.

– A co, mają zainstalowany specjalny aparat słuchowy?

– Nie. Mam doskonały słuch.

– To po co je zakładasz?

– Żeby cię lepiej widzieć.

– Nie rób sobie ze mnie jaj, dobrze? Dopiero co powiedziałeś: żeby mnie lepiej słyszeć! Słyszeć, a nie widzieć!

- Na to samo wychodzi. Kiedy cię lepiej widzę, lepiej cię też rozumiem.
- A co tu jest do zrozumienia?
- Do czego zmierzasz?
- O czym ty mówisz? Nigdzie nie zmierzam, zadałem ci proste pytanie.
- Tylko że ja cię dobrze znam i wiem, czym się skończy to proste pytanie.
- I czym się ono skończy?
- Ano tym, że będziemy musieli zacząć dochodzenie w sprawie zabójstwa mewy! Ty jesteś zdolny do takich rzeczy!
- Nie opowiadaj bzdur!
- Twoim zdaniem to bzdury? A co było z tym koniem, którego znalazłeś martwego na plaży? Nie wyciskałeś z nas przypadkiem siódmych potów, dopóki...
- Mimì, wiesz, co ci powiem? Przestań mi zawracać dupę i idź się kisić do swojego pokoju.

Podpisywał dokumenty już z pół godziny, kiedy zadzwonił telefon.

- Panie komisarzu, bo tu by był taki pan Mizzica, który z panem osobiście we własnej osobie rozmawiać pragnie.
  - Przy telefonie?
  - Nie, na miejscu się znajduje.
  - Powiedział ci, w jakiej sprawie?
  - On tylko tak mówi, że chodzi o sprawę kutrów.
  - Powiedz mu, że jestem zajęty, i wyślij go do komisarza Augella.
- Zaraz jednak zmienił zdanie.
- Poczekaj, najpierw przyślij go do mnie.

Skoro pan Mizzica zajmował się kutrami motorowymi, to może mógł coś

wiedzieć o mewach.

– Dzień dobry, nazywam się Adolfo Rizzica.

No jasne, tak jakby Catarella mógł chociaż raz nie przekręcić nazwiska!

– Proszę usiąść i powiedzieć, o co chodzi. Uprzedzam jednak, że mam tylko pięć minut. Proszę mi krótko wyjaśnić, w czym rzecz, potem skieruję pana do komisarza Augella.

Rizzica był elegancko ubranym sześćdziesięcioletkiem, wyglądał na osobę obytą i dobrze wychowaną. Miał twarz zniszczoną przez słone powietrze, typową dla człowieka morza. Usiadł na brzeжку krzesła. Był dość zdenerwowany, na czole perliły mu się krople potu, w ręce miętosił chusteczkę. Patrzył przed siebie pustym wzrokiem i nie otwierał ust.

– Czekam.

– Jestem właścicielem pięciu kutrów rybackich.

– Gratulacje. I co w związku z tym?

– Myślę, że mogę mówić z panem otwarcie, dlatego przejdę od razu do rzeczy; z tych pięciu kutrów jeden mnie nie przekonuje.

– W jakim sensie pana nie przekonuje?

– Ten kuter raz czy dwa w tygodniu wraca późno.

– Dalej nie rozumiem. Wraca później niż inne?

– Otóż to.

– I w czym problem? Niech pan poleci...

– Panie komisarzu, ja wiem, gdzie one płyną na łowisko, ile czasu im to zajmuje, i jestem z nimi w kontakcie przez radiotelefon. Kiedy kończą, zawsze mnie informują, że już wracają.

– No więc?

– Kapitan tego kutra, który nazywa się *Maria Concetta*...

- Kapitan jest kobietą?
- Nie, mężczyzną.
- To dlaczego ma kobiece imię?
- Imię kobiety nosi kuter, kapitan nazywa się Salvatore Aureli.
- No więc?
- Kapitan Aureli komunikuje mi, że wraca, a potem zjawia się z godzinnym albo półtoragodzinnym opóźnieniem.
- Ma słabszy silnik?
- Ależ skąd. Wręcz przeciwnie.
- No to dlaczego się spóźnia?
- Właśnie to jest zagadka, panie komisarzu. Podejrzewam, że załoga się ugodziła między sobą.
- W jakim celu?
- Panie komisarzu, w tych czasach na morzu jest wielki ruch. Gorzej niż na autostradzie, wyrażam się jasno?
- Nie.
- Myślę... ale proszę wziąć pod uwagę, że to tylko moje podejrzenia... że zatrzymują się, aby załadować.
- Załadować co?
- Nie domyśla się pan?
- Proszę posłuchać, nie mam czasu na zabawę w zagadki.
- Moim zdaniem handlują narkotykami. A ja nie chciałbym być w to zamieszany, jeśli to odkryją.
- Narkotyki? Jest pan pewien?
- Pewności nie mam. Ale w sumie...
- Ten kapitan, Aureli, jak panu wyjaśnia spóźnienia?

– Za każdym razem znajduje nową wymówkę. Raz się zatarł silnik, kiedy indziej splątały się sieci...

– Proszę posłuchać, może lepiej, żeby porozmawiał pan z komisarzem Augellem. Najpierw jednak chciałem pana o coś spytać.

– Oczywiście.

– Czy zdarzyło się panu kiedyś zobaczyć śmierć mewy?

Rizzica, który nie oczekiwał takiego pytania, popatrzył na komisarza ze zdumieniem.

– Co to ma wspólnego z...

– Zupełnie nic, pytam z ciekawości.

Mężczyzna myślał przez chwilę.

– Tak, dawno temu, kiedy miałem tylko jeden kuter i sam nim wypływałem, zdarzyło mi się być świadkiem śmierci mewy.

– Zrobiła coś przed śmiercią?

Rizzica popatrzył na niego jeszcze bardziej zdumiony.

– A co miała zrobić? Pożegnać się z rodziną?

– Niech pan posłucha, panie Mizzica...

– Rizzica.

– ... proszę nie stroić sobie żartów. Pytam poważnie.

– No dobrze, już dobrze, przepraszam.

– No więc? Co zrobiła przed śmiercią?

Rizzica namyślał się dłuższy czas.

– Nic nie zrobiła. Spadła jak kamień w morze i jej trup unosił się na falach.

– Ach, spadła w morze – powiedział rozczarowany Montalbano.

Skoro spadła do morza, nie mogła odtańczyć baletu.

– Odprowadzę pana do komisarza Augella – powiedział, wstając.

Czy to możliwe, że nikt nie widział mewy wykonującej przedśmiertny taniec? Tylko jemu przytrafiło się coś takiego? Kogo mógł jeszcze zapytać?

Zadzwoił telefon. To była Livia.

– Wiedziałaś, że lodówka jest pusta?

– Nie.

– To na pewno sabotaż twojej ukochanej Adeliny. Powiedziałaś jej, że przyjeżdżam, a ponieważ mnie nienawidzi, opróżniła lodówkę.

– Mój Boże, co za oskarżenia! Kto mówi o nienawiści, po prostu nie za bardzo się nawzajem lubicie.

– Nawzajem? Stawiasz mnie na tym samym poziomie co gosposię?

– Livio, na miłość boską, nie zaczynaj, nie musimy robić tragedii z pustej lodówki, przyjeźdź do mnie, pójdziemy na obiad do trattorii u Enza.

– A niby jak mam tam dotrzeć? Na piechotę?

– No dobrze, przyjadę po ciebie.

– Za ile?

– No nie wiem, przyjadę, kiedy będzie pora.

– Ale czy nie możesz mi powiedzieć przynajmniej w przybliżeniu...

– Nie wiem, przecież ci mówię!

– Słuchaj, tylko nie odstawiaj swoich numerów, bardzo cię proszę!

– Jakich znowu numerów?

– Że podajesz jakąś godzinę, a potem zjawiasz się z trzygodzinnym opóźnieniem.

– Będę punktualnie.

– Przecież nie powiedziałaś mi, o której...

– Daj już spokój! Chcesz mnie doprowadzić do szału?

– Mnie się zdaje, że już się najadłeś szaleju!

Odwiesił słuchawkę. Po niespełna minucie telefon znowu zadzwonił. Montalbano chwycił słuchawkę i ryknął z wściekłością:

– Nie jestem szalony, rozumiano?

Po drugiej stronie zapadła cisza i dopiero po chwili odezwał się drżący głos Catarelli.

– Panie komisarzu, jak zdrowie kocham, ja przysięgam! Ja takiego myślenia, że pan jest szalony, nigdy nie miałem ani nie rzekłem!

– Catarè, przepraszam, pomyliłem się. O co chodzi?

– Panie komisarzu, bo tu by była żona Fazia.

– Przy telefonie?

– Nie, osobiście we własnej osobie.

– Przyślij ją do mnie.

Dlaczego Fazio przysłał swoją żonę? Jeśli zachorował, to przecież mógł po prostu zadzwonić.

– Dzień dobry pani. Co się stało?

– Dzień dobry, panie komisarzu. Proszę wybaczyć, że pana nachodzę, ale...

– Ależ skądże, żaden kłopot. Proszę mi wszystko powiedzieć.

– Myślałam, że pan mi wyjaśni sytuację.

O Boże, co to miało znaczyć?

Pani Grazia wyglądała na zmartwioną i zaniepokojoną.

Montalbano od razu pomyślał, że musi coś z tego wszystkiego zrozumieć, żeby mógł udzielić właściwej odpowiedzi.

– Przede wszystkim proszę usiąść. Wygląda pani na zmartwioną.

– Mój mąż wyszedł z domu wczoraj wieczorem o dziesiątej, po pańskim telefonie. Powiedział mi, że ma się z panem spotkać w porcie. Od tego czasu



nie miałam od niego żadnej wiadomości. Zazwyczaj, kiedy musi spędzić noc poza domem, zawsze do mnie dzwoni. Tym razem tego nie zrobił i jestem trochę zaniepokojona.

Ach, więc o to chodziło! Tylko że on, Montalbano, wcale nie dzwonił do Fazio. Nie wyznaczył mu żadnego spotkania w porcie. No więc gdzie Fazio się mógł podziąć?

Na razie jednak trzeba było uspokoić panią Fazio. Komisarz odegrał scenę aktorską godną Oscara. Wydał z siebie rodzaj przeciągłego jęku i walnął się dłonią w czoło.

– O mój Boże! O mój Boże! Zapomniałem! Niech mi pani wybaczy, ale zupełnie wyleciało mi to z pamięci!

– Co takiego?

– Pani mąż prosił, abym zadzwonił, bo wiedział, że on nie będzie mógł. I jeszcze powtórzył dwa razy, żebym nie zapomniał! Co za kretyn ze mnie!

– Ależ niech pan tak nie mówi...

– Boże, jak mi przykro, że przeze mnie pani się martwiła. Ale proszę się nie niepokoić, z mężem wszystko w porządku! Tylko że zostało mu zleczone delikatne...

– To mi wystarczy, panie komisarzu. Bardzo dziękuję.

Wstała i podała mu rękę.

Żona Fazio była godną towarzyszką życia swojego męża. Małomówna, pełna godności, te dwa czy trzy razy, kiedy komisarz został zaproszony do nich do domu (ale kucharka to z niej była marna!), zauważył, że nie wtrącała się nigdy do rozmowy, kiedy mężczyźni dyskutowali o pracy.

– Odprowadzę panią – powiedział Montalbano.

Poszedł z nią aż na parking, wciąż przepraszając, i zobaczył, że wsiada do auta męża. To znaczy, że Fazio nie wziął samochodu, żeby pojechać tam,

dokąd pojechał.

Wrócił do komisariatu i zatrzymawszy się przy dyżurce, powiedział Catarelli:

– Zadzwoń do Fazia na komórkę.

Catarella spróbował dwa razy.

– Wyłączona jest, panie komisarzu.

– Przyślij do mnie natychmiast komisarza Augella!

– Ale u niego jeszcze pan Mizzica przebywa.

– Powiedz mu, żeby go wysłał do diabła.

Co się mogło przydarzyć Faziowi? – zastanawiał się, zaniepokojony, wracając do swojego gabinetu.

Opowiedział żonie bajkę, że ma spotkanie z komisarzem w porcie. Dlaczego właśnie w porcie? Mogło to coś znaczyć albo i nie. Możliwe, że Fazio wymienił po prostu pierwsze miejsce, które przyszło mu do głowy.

Ale najbardziej niepokojące było to, że nie zadzwonił do żony. Jeśli tego nie zrobił, to z pewnością dlatego że... znalazł się w sytuacji, w której nie był w stanie zatelefonować.

Wyjaśnij to lepiej, Montalbà – odezwał się drugi Montalbano.

Nie chce tego wyjaśnić, bo się boi – wtrącił się pierwszy Montalbano.

– Czego się boi?

– Konkluzji, do których będzie zmuszony dojść.

– Że Fazio nie może zadzwonić, bo został przez kogoś uwięziony, albo nawet jest ranny lub martwy.

– A o co innego może chodzić? Przecież nie uciekł w siną dal z kochanką?

Wszedł Augello.

– Po co ten pośpiech?

– Zamknij drzwi i siadaj.

Augello usłuchał.

– No więc?

– Fazio zniknął.

Augellowi opadła szczęka.

Po kwadransie rozmowy doszli do wspólnego wniosku, że Fazio musiał zacząć na własną rękę jakieś dochodzenie, o którym nie chciał nikomu mówić. Czasami zdarzały mu się takie samodzielne wypadki. Tym razem widocznie nie docenił niebezpieczeństwa, co zważywszy na jego wielkie doświadczenie, było dziwne, i znalazł się w tarapatkach.

Nie było innego logicznego wyjaśnienia.

– Musimy go odnaleźć najpóźniej do jutra – powiedział Montalbano. – Do tego czasu mogę zwodzić jego żonę, bo ma do mnie zaufanie, ale potem będę jej musiał powiedzieć prawdę, choćby i najgorszą.

– Od czego mam zacząć?

– Załóżmy, że wzmianka o porcie była prawdą. Tam zacznij szukać.

– Mogę wziąć kogoś ze sobą?

– Nie, pojedź sam. Nie chciałbym, żeby się rozeszło, że go szukamy, bo mogłoby to dojść do uszu pani Fazio. Jeśli do jutra nic się nie wyjaśni, zaczniemy poszukiwania na wielką skalę.

Gdy Augello już wyszedł, komisarzowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

– Catarella, niech cię ktoś zastąpi na pięć minut, a tymczasem przyjdź do mnie.

– Natychmistorowo, panie komisarzu.

Zjawił się w okamgnieniu.

– Posłuchaj, Catarè, musisz mi oddać małą przysługę.

– Panie komisarzu, ja panu dam wielką!

– Namysł się dobrze, zanim odpowiesz. Fazio nie ma w pokoju bezpośredniej linii na miasto, prawda?

– Prawda jest.

– To znaczy, że wszystkie telefony do niego muszą przechodzić przez centralę, zgadza się?

Catarella nie odpowiedział, zrobił tylko grymas.

– Co jest?

– No bo tak. Fazio, on ma komórkę. Jeśli ktoś na komórkę do niego telefoni, to ten, co telefoni, nie telefoni przez centralę.

– To prawda. Ale na razie zostawmy ten problem na boku. Skupmy się na centrali. Chcę się od ciebie dowiedzieć, czy w ostatnich czterech czy pięciu dniach przełączałeś do Fazia jakieś telefony od kogoś, kto nigdy wcześniej nie dzwonił. Wyrażam się jasno?

– Jak najjaśniej, panie komisarzu.

– To siadaj na moim krześle, weź kartkę i długopis i zapisz mi wszystkie zapamiętane nazwiska. Ja tymczasem wyjdę na zewnątrz na papierosa.

– Panie komisarzu, o wybaczenie proszę, ale nie zdołam.

– Przypomnieć sobie, kto dzwonił?

– Nie, panie komisarzu, zasiąść na pana krzesło.

– A to dlaczego? Krzesło to krzesło.

– Tak, panie komisarzu, ale z całym szacunkiem, tyłek siedzący na tym krześle uczynił owoż krzesło specjalnym krzesłem.

– No dobrze, to siedź dalej tam, gdzie siedzisz.

Montalbano wyszedł z komisariatu, wypalił papierosa, spacerując wolnym krokiem po parkingu, po czym wrócił do środka.

### 3

Catarella podał mu kartkę. Widniały na niej trzy nazwiska. Locciccio (zapewne Lo Cicero), Parravacchio (cholera wie, jak się naprawdę nazywał) oraz Zireta (czyli niemal poprawnie Zirretta).

– Tylko te trzy?

– Nie, panie komisarzu, to nazwiska są cztery.

– Jak to cztery? Tutaj widzę tylko trzy.

– Czwarte nie jest napisane, bo potrzeba nie zaistniała. Widzi pan że, gdzie jest Garavacchio...

– Tu jest napisane Parravacchio.

– A to znaczenia nie posiada. Natomiast pan widzi, że między Saravacchio i Zineta na kartce uczyniłem puste miejsce?

– No tak. I co ono znaczy?

– Znaczy białe jak kartka.

– I wobec tego?

– No jak to, wobec tego ten czwarty, co dzwonił, to ma białe nazwisko, bo się nazywa Bianco.

Geniusz z tego Catarelli, nie ma co.

– Słuchaj, czy to przypadkiem nie ten Bianco, którego syna aresztowano za udział w bójce?

– Tak jest, panie komisarzu. A Locciccio telefonił, bo jeden co mu mieszka na piętrze nad jego piętrem, każdego ranka mu sika, uszu nie obrażając, na balkon poniżej się znajdujący.

– Wiesz, czego chciał Parravacchio?

– Nie, panie komisarzu. Ale Taravacchio to jest Fazia krewny.

– Kto zadzwonił więcej razy, Parravacchio czy Zirretta?

– Pinnetta, on dużo telefonił, ale telefonił, bo chciał otrzymać szybkościowo paszport.

Montalbano zrobił rozczarowaną minę.

– Lecz jeśli się rozchodzi o telefony uciążliwe i bez przerwy uprawiane, to do pięciu dni przed dzisiejszym niejaki Mansella telefonił.

– Mansella czy Manzella?

– Mansella z zeta, panie komisarzu.

– I ten Manzella dzwonił przez centralę?

– Otóż Mansella telefonił przez centralę, bo komórka Fazia była zajęta. Albo uciszoną. I wtedy mi mówił, że on jest Mansellą, że ja muszę powiedzieć do Fazia, że jak on skończy telefonicznie, to żeby telefonił do Manselli. Albo żeby od razu odciszył komórkę.

– I Fazio do niego oddzwaniał?

– Tego ja powiedzieć nie umiem. Bo na miejscu obecny wtedy nie byłem. Jeśli telefonił, to telefonił komórką.

– Naturalnie nie pamiętasz, kiedy ten Manzella zadzwonił po raz pierwszy?

– Chwileczkę niech pan czeka.

Catarella wyszedł z gabinetu i zaraz wrócił pędem, trzymając w prawej ręce zeszyt w czarnej okładce. Zaczął go przeglądać. Kartki zapisane były gęsto numerami i nazwiskami.

– Co to jest?

– Panie komisarzu, ja zawsze wypisuję, kto telefoni, kogo chce, dzień

i dokładną godzinę.

– Po co?

– Bo nigdy nie wiadomo.

– No dobrze, ale czy nie ma automatycznego zapisu?

– Jest, panie komisarzu, ale ja tam automatyczności nie ufam. Co te automaty myślą, to nigdy nie wiadomo. O, już mam. Mansella zatelefonował po raz pierwszy dziesięć dni temu. Potem telefonował co dzień przez dni pięć. Ostatniego dnia trzy razy telefonował i bardzo był znerwiony. Mi powiedział, żebym powiedział do Fazio, że tego dnia ma mieć komórkę lepiej wolną.

– A potem?

– Potem to już nie telefonował. Ale za to Fazio, to on mnie pytał dwa razy na dzień co najmniej, czy Mansella go szukał. I zawsze jak pytał, to mi mówił, że jeśli Mansella będzie telefonował, to żebym połączył natychmiastowo, bo sprawa bardzo ważna jest.

– Dziękuję, Catarè, bardzo mi pomogłeś.

– Panie komisarzu, a czy ja mogę?

– O co chodzi?

– Fazio ma jakiś kłopot?

– Nie, to głupstwo, nie przejmuj się.

Catarella wyszedł, ale nie wyglądał na przekonanego.

Wtedy Montalbano odetchnął głęboko i postanowił zrobić coś, na co nie miał najmniejszej ochoty. Lepiej jednak było sprawdzić najpierw najgorszą hipotezę. Wykręcił numer Pasquana.

– Czy jest pan doktor?

– Pan doktor jest zajęty.

– Tutaj Montalbano, proszę go zawołać do telefonu.



– Panie komisarzu, bardzo przepraszam, ale się nie odważę. Pan doktor jest dzisiaj wściekły jak osa, a w tej chwili przeprowadza sekcję.

Widocznie poprzedniego wieczoru w klubie Pasquano musiał przegrać sporo w pokera. Kiedy mu się to przytrafiało, następnego dnia lepiej było mieć do czynienia z wygłodzonym niedźwiedziem polarnym niż z doktorem.

– To może mogę pana zapytać. Czy w ciągu ostatniej doby trafiły do was jakieś ciała?

– Świeży nieboszczycy? Nie.

Montalbano odetchnął z ulgą.

Wstał, wyszedł z gabinetu i przechodząc obok Catarelli, powiedział mu:

– Jadę do Montelusy, wrócę za dwie godziny. Gdyby mnie szukał komisarz Augello, powiedz mu, żeby zadzwonił na komórkę.

W Montelusie były trzy szpitale i dwie prywatne kliniki. Kiedyś wystarczyło powiedzieć przez telefon, że jest się z policji, i od razu dostawało się wszystkie informacje. Potem, wraz z nadejściem upierdliwej idei ochrony prywatności danych, jeśli nie poszło się osobiście i nie pomachało legitymacją, zamykali buzię na kłódkę. W każdym razie Fazia nie było w żadnym z trzech szpitali publicznych. Dopiero teraz komisarz miał przed sobą naprawdę trudne zadanie; kliniki prywatne strzegły sekretów swoich pacjentów pilniej niż szwajcarskie banki. Iluż ukrywających się bossów mafii udawało się na operację do takich klinik? Poczekałnia w pierwszej klinice przypominała hall pięciogwiazdkowego hotelu. Za kontuarem, tak błyszczącym, że można się w nim było przeglądać jak w lustrze, siedziały dwie kobiety ubrane na biało, jedna młoda, druga starszawa. Komisarz zwrócił się do tej drugiej, przyjmując groźny wyraz twarzy.

– Komisarz Montalbano – przedstawił się, wyciągając legitymację.

– Czym mogę panu służyć?

– Moi ludzie będą tu za dziesięć minut. Wszyscy pacjenci mają zostać w swoich pokojach, gościom, którzy znajdują się na terenie kliniki, nie wolno jej opuszczać.

– Żartuje pan?

– Mam nakaz. Szukamy niebezpiecznego przestępcy, który nazywa się Fazio. Otrzymaliśmy informację, że ukrywa się właśnie tutaj.

Kobieta, która tymczasem zbladła jak prześcieradło, przebudziła się z transu.

– Ależ tutaj od dwóch dni nie przyjęliśmy żadnego nowego pacjenta! Niech pan sam zobaczy! – powiedziała, przesuwając w jego stronę otwarty laptop.

– Nie ma sensu zaprzeczać! Wiemy, że w klinice Materdei...

– Przecież to nie jest Materdei!

– Ach tak?

– Nie, to jest klinika Salus.

– O Boże, przepraszam, musiałem się pomylić. Proszę wybaczyć najście. Do widzenia. Tylko ostrzegam, niech pani się nie ośmieli zawiadomić tych z kliniki Materdei!

Z drugiej kliniki komisarza wręcz wyrzucono. Przełożoną była tam pielęgniarka pod sześćdziesiątkę, mierząca prawie dwa metry, chuda jak śmierć i równie obleśna, przypominająca Oliwkę, narzeczoną Popeye'a.

– Nie zbieramy rannych z ulic.

– No dobrze, signora, ale...

– Żadna signora, jestem panną.

– Proszę nie tracić nadziei, pani też doczeka się kiedyś swojego księcia z bajki.

– Wynocha!

Wsiadał właśnie do samochodu, kiedy ktoś go zawołał. Był to znajomy lekarz. Montalbano wyjaśnił mu sytuację. Tamten poprosił, żeby komisarz poczekał na niego na zewnątrz. Wrócił po pięciu minutach.

– Od dwóch dni nie mieliśmy nowych pacjentów.

Co się stało? Zapanowała epidemia zdrowia czy wszystkim skończyły się pieniądze na opłacanie pobytu w prywatnych klinikach? W każdym razie wyglądało na to, że Fazio nie znajdował się w żadnej z nich. Gdzie też on się podział?

Gdy jechał z powrotem do Vigaty, zadzwoniła komórka. To był Mimì Augello.

– Gdzie jesteś?

– Pojechałem do Montelusy, żeby sprawdzić szpitale, ale go nie znalazłem. Właśnie wracam.

– Słuchaj, może trzeba by...

Montalbano zrozumiał w lot.

– Spokojnie, w kostnicy też Fazia nie ma. A ty dowiedziałeś się czegoś?

– Właśnie dlatego dzwonię. Możesz przyjechać do portu? Będę na ciebie czekać przy bramie.

– Której?

– Południowej.

– Zaraz tam będę.

Przez południową bramę, położoną najbliżej wschodniego nabrzeża,

którym komisarz często przechadzał się po obiedzie, wjeżdżały do portu przede wszystkim samochody i ciężarówki, mające się zaokrętować na prom pocztowy kursujący na Lampedusę. Prom odpływał zawsze równo o północy. Gdy nadchodziło lato, biwakowała tam młodzież z zagranicy, oczekująca przybicia statku do brzegu.

Po obu stronach olbrzymiej bramy znajdowały się budki straży celnej, z których kontrolowano ruch pojazdów.

O tej porze było jednak spokojnie, rozgardiasz powodowany przez samochody i pasażerów zaczynał się około piątej po południu.

– W nocy ta brama i środkowa są zamykane. Otwarta pozostaje tylko brama północna – wyjaśnił komisarzowi Mimì.

– Dlaczego?

– Dlatego że w tamtej części portu przybijają do brzegu kutry rybackie, są tam magazyny i samochody chłodnie, w sumie tam odbywa się cały handel rybny.

– Jeśli coś się przydarzyło Faziowi, to musiało stać się nocą.

– Oczywiście.

– To dlaczego znajdujemy się przy niewłaściwej bramie?

– Brama może i niewłaściwa, ale celnik, który nazywa się Sassu, dzisiaj w nocy miał dyżur przy północnej bramie.

– Zobaczył coś?

– Sam z nim pogadaj.

Sassu chyba dopiero przekroczył dwudziestkę, ale wyglądał na inteligentnego i już doświadczonego.

– Kutry zaczynają wracać po północy, wyładowują towar, część zostaje przewieziona do magazynu, resztę ładuje się do ciężarówek chłodni, które od razu ruszają w trasę. Jednym słowem do trzeciej nad ranem panuje wielki

ruch. Potem na jakąś godzinę wraca spokój. Na chwilę przed czwartą usłyszałem strzały.

– Ile? – spytał Montalbano.

– Dwa.

– Jest pan pewien, że to były strzały z broni palnej?

– Nie umiem powiedzieć. To mógł być też silnik. Faktycznie niedługo potem przejechał motocykl z silnikiem o dużej mocy i to mnie uspokoiło.

– Czy ktoś siedział na siodełku pasażera?

– Nie.

– Nie słyszał pan krzyków, nawoływań, pogroźek?

– Nie.

– Był pan w stanie ocenić, z którego kierunku dobiegły strzały?

Sassu po raz pierwszy zawahał się.

– To dziwne – wymruczał.

– Co takiego?

– Teraz, kiedy o tym myślę... to nie mógł być ten motocykl.

– Dlaczego?

– Między strzałami było kilka sekund przerwy. Pierwszy rozległ się jakby w okolicach ścieżki holowniczej, ale drugi dużo dalej, koło drugiego czy trzeciego magazynu... Gdyby to był motocykl, dobiegłyby z tego samego miejsca.

– Mogło być tak, że ktoś gonił i strzelał do kogoś, kto uciekał – powiedział Montalbano.

– Niewykluczone.

Podziękowali celnikowi za informacje.

– Coraz gorzej to wygląda – skomentował zatroskany Augello.

– Przejdźmy się kawałek – powiedział komisarz.

– Dokąd?

– Do ścieżki holowniczej i tych dwóch magazynów.

Magazynów chłodni było w porcie z dziesięć, ciągnęły się po zewnętrznej stronie środkowego nabrzeża, tworzące jakby rodzaj ramienia dokładnie w środku portu.

Kutry motorowe przybijały do niego bezpośrednio i po wyładowaniu połowu przepływały z jego zewnętrznej do wewnętrznej części, zarzucały kotwice w wyznaczonych dla siebie stanowiskach, po czym załoga wracała do domu na odpoczynek.

Montalbano i Augello przeszli tam i z powrotem po ścieżce holowniczej aż do drugiego magazynu, z oczami wbitymi w ziemię.

Podłoże było pokryte grubą warstwą błota, rozoraną licznymi śladami pozostawionymi przez opony ciężarówek. Wszystkie magazyny były zamknięte na głucho, z wyjątkiem trzeciego, przed którym stał ford transit z otwartymi drzwiami. W środku widać było kable elektryczne, przekształtniki, zawory, pokrętła. Może zepsuł się obieg chłodniczy i ktoś go naprawiał. Poza tym nie widać było żywej duszy.

– Chodźmy stąd, nic tu nie znajdziemy. To strata czasu, trzeba by przekopać to błoto. Poza tym smród tu taki, że zbiera mi się na wymioty – powiedział Mimì.

Komisarza jednak ta woń nie tylko nie odstręczała, ale wciągał ją w nozdrza z przyjemnością. Dla niego był to rozkoszny aromat, na który składały się odór mokrych alg, gnijących ryb, rozkładających się sznurów, morskiej wody, smoły i lekka nuta oleju napędowego.

I właśnie gdy stracili już wszelką nadzieję i wracali do samochodu, Mimì zobaczył na wysokości ścieżki holowniczej połyskującą łuskę naboju, która

nie utopiła się w błocie, bo spadła na kawałek zgniłej deski.

Augello schylił się, wziął ją i wyczyścił ręką. Nie była zardzewiała ani uszkodzona, mogła tam leżeć najwyżej od kilku godzin, na pewno nie dłużej.

– No to teraz jesteśmy pewni, że to nie był wybuch silnika – podsumował Montalbano.

– Na oko kaliber siedem, sześćdziesiąt pięć – zauważył Augello.

Potem spytał:

– I co zrobimy z tą łuską?

– Wrzucimy do zupy.

– To znaczy?

– Mimì, w czym nam może pomóc ta łuska? To tylko smutne potwierdzenie, że była tu rzeczywiście strzelanina. W tej chwili nic innego z nią nie zrobimy.

Augello na wszelki wypadek włożył ją do kieszeni.

Jednak Montalbano, który zatrzymał się, by popatrzeć na znalezisko Augella, nie zdradzał chęci, by ruszyć dalej.

Wbił wzrok w czubki swoich butów i zastanawiał się usilnie. W ustach trzymał papierosa, którego zapomniał zapalić. Mimì stał obok w milczeniu. Po chwili komisarz przemówił, nie zwracając się do Augella, ale raczej myśląc na głos.

– Do Fazia, jeśli to był Fazio, strzelono po raz pierwszy, kiedy wracał do północnej bramy. Najwyraźniej skończył to, co miał zrobić w okolicach jednego z magazynów, i wychodził już z portu. Ktoś się jednak na niego zaczął i strzelił z ukrycia.

– Dlaczego czekali, aż dojdzie na wysokość nabrzeża? – zapytał Mimì. – To niebezpieczne miejsce, znajduje się blisko bramy, gdzie zawsze stacjonuje strażnik celny.

– Nie mieli wyboru. Załóżmy, że zastrzeliliby go przed którymś magazynem. Gdyby nie pospieszyli się z ukryciem ciała, musieliby je zostawić na miejscu zabójstwa. Po odkryciu trupa z pewnością przestraszyłibyśmy wszystkie magazyny, a to było im bardzo nie na rękę. Tymczasem nabrzeże to ziemia niczyja. Przejeżdżają tędy wszyscy, którzy udają się do tej części portu. Innymi słowy to tak, jak strzelić do niego w centrum miasta.

– W każdym razie pierwszy strzał był niecelny.

– Otóż to. Fazio zorientował się, że nie może kierować się do bramy, bo drogę zagradza mu ten, który strzelił. No więc co robi?

– Co?

– Robi w tył zwrot i biegnie tam, skąd przyszedł, to znaczy do magazynów.

– Przecież w ten sposób tylko pogarsza sytuację!

– Dlaczego?

– Bo droga biegnąca przed magazynami kończy się w morzu! Nie można się z niej przedostać na nabrzeże. W ten sposób nie mógł uciec przed zamachowcem. Nie miał drogi wyjścia. Sam wpędził się w pułapkę.

– Tylko że on wiedział, jak wyglądała wtedy sytuacja, a my nie.

– To znaczy?

– Możliwe, że któryś z magazynów był jeszcze otwarty i mógł tam poprosić o pomoc. W każdym razie zgodnie z tym, co powiedział nam celnik, w chwili kiedy wystrzelono po raz drugi, znajdował się między drugim a trzecim magazynem. To, że nie było więcej strzałów, to bardzo zły znak.

– Dlaczego?

– Bo to znaczy, że ten drugi strzał go zranił albo zabił.

– O mój Boże! – jęknął Augello.



– Ale jest także możliwe, że kiedy Fazio zobaczył, że nie ma dla niego ratunku, podniósł ręce i pozwolił się uwięzić.

– Słuchaj, a jeśli poprosimy o nakaz rewizji magazynów? – zaproponował Augello.

– To się na nic nie przyda.

– Dlaczego tak uważasz?

– Jeśli go zabili, na pewno nie zostawili tu ciała. A jeśli jest ranny lub uwięziony, nie mogli go zamknąć w magazynie chłodni, bo po kilku godzinach zrobiłby się sztywniejszy od sztokfisa.

– No dobrze. Ale jeśli Fazio nie żyje, to gdzie jest jego ciało?

– Mam co do tego pewną hipotezę. Chcesz ją usłyszeć?

– Pewnie.

– W morzu. Obciążone solidnym balastem.

– Co ty wygadujesz?

– To tylko hipoteza, nie denerwuj się tak. Jeśli go zabili, wrzucenie ciała do morza było najprostszym i najbezpieczniejszym rozwiązaniem. Jestem przekonany, że nie mogli ukryć ciała w magazynie. Nawet jeśli większość wyładunku była już skończona, na pewno ktoś tam się jeszcze kręcił. Za duże ryzyko. Posłuchaj, upewnijmy się.

– Zgoda.

– Zrób coś dla mnie. Zadzwoń do kwestora, opowiedz mu część historii. Albo nie. Nie mów nic o Faziu. Powiedz, że musimy odzyskać broń, która wpadła do morza. Poproś o dwóch nurków.

– A jeśli spyta, czyja to broń, co mam mu powiedzieć?

– Że to mój pistolet.

– I jakim cudem wpadł ci do morza?

- Przez dziurę w tylnej kieszeni spodni.
- A jeśli powie, żebyśmy dali sobie spokój i nie warto robić zamieszania?
- To mu powiesz, że to będzie jego odpowiedzialność.
- Za co?
- Wyjaśnij, że było wielu świadków wypadku z bronią. I komuś może przyjść ochota, żeby zanurkować po broń i się nią posłużyć.

Mimì Augello odszedł kilka kroków i zaczął rozmawiać przez komórkę. Rozmowa trwała długo, wreszcie Mimì potrząsnął głową, podszedł do Montalbana i podał mu telefon.

- Chce rozmawiać z tobą.
- Montalbano! Co pan znowu wyprawia?
- Panie kwestorze, to wszystko wina dziury, która...
- To jakieś wariactwo! Tylko panu mogło się to wydarzyć! Dziura! A gdyby pistolet upadł na środku zatłoczonej ulicy i wystrzelił?
- Nigdy nie noszę naładowanej broni, panie kwestorze.
- Proszę posłuchać, nie mogę wysłać nurków, żeby zajmowali się taką głupotą!
- Jeśli pan woli, sam wskoczę do morza. Umiem długo wstrzymać oddech.
- Rozmowa z panem to prawdziwa tortura! Proszę mi podać Augella.

Mimì rozmawiał jeszcze przez pięć minut, potem rozłączył się i powiedział do Montalbana:

- Dał się przekonać.

Hipoteza komisarza okazała się mylna.

Kiedy słońce zniżyło się nad horyzont, dwaj nurkowie, którzy

przeszukiwali dno od trzech godzin, wynurzyli się, niczego nie znalazłszy.

Czy raczej znaleźli całą górę różności, włącznie z wózkiem dziecięcym i walizką pełną konserw pomidorowych, ale na szczęście nie natknęli się na żadnego trupa.

– To i lepiej – stwierdził Montalbano.

Tymczasem jednak w pobliżu zebrały się dziesiątki gapiów, którzy gadali, śmiali się i zadawali głośno pytania, na które nie otrzymywali odpowiedzi. Montalbano zionął do nich nienawiścią.

Potem do komisarza podszedł jakiś typ, który przedstawił się jako właściciel jednego z magazynów.

– Panie komisarzu, przepraszam, że panu przeszkadzam, ale muszę wiedzieć, jak się mamy zachować.

– Z kim?

– Z kutrami.

– Przecież ich tu nie ma.

– Tak, ale za jakieś dwie godziny zaczną wracać.

– No i co z tego?

– Kiedy nurkowie pracują tuż przed magazynami, kutry nie będą mogły podpłynąć do nabrzeża.

– Niech pan się nie martwi. Najpóźniej za kwadrans skończymy.

– Można wiedzieć, czego szukacie? – spytał tamten, zniżając porozumiewawczo głos.

Najwyraźniej chciał się zakumplować z komisarzem.

– A pewnie. Mojego zegarka. Wpadł mi rano do wody.

– Przecież mówili, że zgubił pan pistolet.

– Oj, pomieszało mi się. Zawsze je ze sobą myślę.

## 4

Gdy wrócili z Mimì do komisariatu, zrobiła się już dziewiąta wieczorem. Żaden z nich nie miał czasu, żeby coś zjeść. Czy raczej, prawdę mówiąc, czas na przekąskę może by się i znalazł, ale obydwaj stracili apetyt.

– Czy przypadkiem odezwał się Fazio?

– Nie, panie komisarzu.

Weszli do gabinetu Montalbana.

– Siadaj, Mimì. Zastanówmy się jeszcze przez pięć minut. Posłać po kawę?

– Dobry pomysł.

Montalbano podniósł słuchawkę.

– Catarè, możesz skoczyć do baru i przynieść nam kawę? Dziękuję.

Popatrzyli na siebie.

– Ty pierwszy – powiedział Mimì.

– Teraz jest już jasne, że dorwali Fazia. Nie wiadomo tylko, czy jest żywy, czy martwy.

– No cóż, w morzu go nie było.

– To jeszcze nie daje nam pewności, że żyje.

– Masz rację. Ale jeśli ukatrupili go tym drugim strzałem, tym na wysokości magazynów, to co zrobili z ciałem?

– Tego nie jesteśmy się w stanie domyślić z bardzo prostego powodu. Nie wiemy, jak wygląda sytuacja, kiedy do portu wracają kutry, ile czasu zajmuje im wyładunek, o której godzinie cumują, jak długo czekają samochody

chłodnie, zanim wyruszą w trasę z towarem... Jednym słowem, jak wygląda ruch w porcie w ciągu tych godzin?

– Celnik powiedział, że usłyszał strzały przed czwartą i że między trzecią a czwartą nad ranem panuje martwa cisza.

– No dobrze, ale co to właściwie znaczy? Że nie ma tam żywego ducha? To niemożliwe, ktoś się jeszcze musiał tam kręcić. No właśnie, przecież celnik powiedział, że zaraz po tym, jak usłyszał strzały, przejechał jakiś motocykl. Zatem ktoś tam jeszcze był.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i uderzyły z impetem o ścianę. Mimì i komisarz podskoczyli na krzesłach. Augello zaklął pod nosem. Na progu pojawił się Catarella, z tacą utrzymaną w obu rękach i nogą jeszcze uniesioną do góry.

– Wybaczenia upraszam, aliści nie wykalkulowałem dobrze siły kopnięcia. Postawił tacę na biurku.

– Słuchaj, Catarè, czy ktoś dzisiaj dzwonił do Fazia? – spytał komisarz.

Catarella włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej zeszytik w czarnej okładce. Polizał palec wskazujący i zaczął kartkować strony.

Augello wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany.

– Dzwonili Bianco i Loccicciro.

– I nikt więcej?

– Sarravacchio we własnej osobie osobiście przyszedł.

– Czyli tylko Manzella się nie odezwał?

– Precyzyjnie tak, panie komisarzu.

– Nic z tego nie zrozumiałem – stwierdził Augello, gdy Catarella wyszedł z gabinetu.

Kawa była dobra. Wzmocniony nią komisarz opowiedział Augellowi

historię tajemniczych telefonów od Manzelli.

– To znaczy – podsumował Mimì – twoim zdaniem Manzella dzisiaj nie zadzwonił, bo wie, co się stało z Faziem.

– Tak przypuszczam.

– To co teraz robimy?

– Ty wracasz do domu, do Beby i dzieciaka.

– A ty?

– Ja chwilę odpocznę, a potem wrócę do portu, zobaczyć, jak wygląda rozładunek połowów.

Wychodził już z pokoju, kiedy zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu? Bo tu by był na telefonie pan dziennikarz Zito.

– Przełącz mi go. Cześć, Nicolò, co słychać? Dawno się nie słyszeliśmy? Jak się ma twoja żona?

– Dobrze, dziękuję. Słuchaj, będziesz jeszcze chwilę w komisariacie?

– Nie, właśnie wychodziłem.

– Wracasz do Marinelli?

– Nie. Czemu pytasz?

– A nic, tak sobie.

– Słuchaj, Nicolò, mnie nie nabierzesz. O co chodzi?

– Chciałem się czegoś dowiedzieć. Skoro ci się spieszy, to może daj mi do telefonu Fazia, jego spytam.

– Nie ma go.

– Poszedł do domu?

– Nie wiem.

– Dobrze, to spróbuję do niego zadzwonić.

– Nie!

Cholera, zbyt gwałtownie mu się wymknęło to „nie”!

I rzeczywiście, Zito odezwał się z pewnym zdumieniem.

– Przepraszam, ale o co...

– Widzisz, chodzi o to, że jego żona... nie czuje się najlepiej i biedak okropnie się martwi... rozumiesz?

– Zrozumiałem. Cześć, dobranoc.

Czy Nicolò Zito przełknął bajeczkę, którą mu opowiedział Montalbano?

W każdym razie telefon od zaprzyjaźnionego dziennikarza z „Retelibery” wydał się komisarzowi trochę dziwny.

Montalbano dotarł na nabrzeże, kiedy kutry były już zacumowane przed magazynami i rozładowywały połów. Świeciły się wszystkie reflektory w tej części portu. W oddali, u wejścia do portu, widać było światła pozycyjne następnych nadpływających kutrów.

Panował wielki rozgardiasz. Krzyki, przekleństwa, głośno wykrzykiwane polecenia przebijały się przez hałas maszynowni kutrów, warczenie silników ciężarówek, szum kompresorów chłodniczych.

Komisarz odkrył, że w przesmykach między magazynami, tworzących rodzaj wąskich uliczek, odbywał się zaimprovizowany handel skrzyniami ryb, sprzedawanych przez samych rybaków. Najwyraźniej nie były to odrzuty, ale przydział należny każdemu członkowi załogi. Kupujący, po chwili ożywionego targowania się o cenę, ładowali skrzynie na skutery albo furgonetki Ape i odjeżdżali. Musieli to być właściciele restauracji lub ich pracownicy, którzy w ten sposób nie tylko zapewniali sobie zapas świeżych ryb, ale płacili za nie połowę tego, ile wyniosłaby cena na miejskim targu.

Komisarzowi przypomniał się właściciel kutra, który przyszedł do niego do komisariatu.

Jak on się nazywał? Aha, Rizzica. Z pewnością o tej porze musiał znajdować się gdzieś w pobliżu.

Komisarz zatrzymał strażnika miejskiego, który wracał do domu ze skrzynką ryb. Najwyraźniej była to zapłata za przymknięcie oka na doraźny handel rybami w porcie.

– Moje nazwisko Montalbano, jestem komisarzem. Chciałbym się dowiedzieć...

Tamten zbladł jak prześcieradło.

– Ja te ryby kupiłem! Przysięgam! – powiedział drżącym głosem.

– Nie podaję tego w wątpliwość.

– To o co chodzi?

– Chciałem spytać, czy wie pan może, gdzie znajdę pana Rizzicę.

– Będzie w jednym ze swoich magazynów.

– A które to?

– Numer trzy, cztery i ten ostatni.

– Dziękuję.

– Zawsze do usług! – odpowiedział z wyraźną ulgą strażnik i oddalił się biegiem, obawiając się, że Montalbano może zmienić zdanie i zażądać okazania paragonu za rzekomo kupione ryby.

Przed otwartą bramą magazynu numer trzy zaparkowany był ten sam ford, który stał tam rano. Komisarz wszedł do środka i od razu zobaczył Rizzicę, który rozmawiał, zmartwiony, z mężczyzną w roboczym kombinezonie. Gdy tylko Rizzica ujrzał komisarza, podszedł do niego z wyciągniętą dłonią.

– Wyjdźmy na zewnątrz.

Najwyraźniej nie chciał rozmawiać w obecności człowieka w kombinezonie. Zatrzymali się w łukowato sklepionej niszy, wydrążonej



w boku nabrzeża, gdzie śmierdziało starym i świeżym moczem oraz gównem, dlatego nikt się tam nie kręcił.

– Przyszedł pan z powodu mojego doniesienia?

– Nie. Czy złożył pan komisarzowi Augellowi oficjalną skargę?

– Nie, oficjalną to nie. Ale w każdym razie wszystko mu opowiedziałem.

– Pańskie kutry już wróciły?

– Brakuje jeszcze półtorej godziny.

– A ten, który się zawsze spóźnia... no, jak on się nazywa?

– *Maria Concetta*? Nie, ma dzień odpoczynku. Ale gdyby dzisiaj spóźniły się nawet wszystkie kutry, toby tylko wyszło na dobre.

– Dlaczego?

– Bo od wczoraj jeden z magazynów jest nie do użytku. Nie działa układ chłodzenia. Nie ma pan pojęcia, ile straciłem pieniędzy. Musiałem wyrzucić do morza cały połów. Elektryk twierdzi, że muszą sprowadzić części zamienne z Palermo. Prawdziwe nieszczęście, dwa kutry, które wracają, są pełne ryb, dzisiaj połów się udał. Będę musiał otworzyć trzeci magazyn, który służy tylko do...

– Przecież mówił pan, że ma pięć kutrów?

– Tak jest.

– To dlaczego wypłynęły tylko dwa?

– Panie komisarzu, pracują na zmianę. Dwa odpoczywają, a trzy pracują. I na odwrót.

– Rozumiem.

– Proszę posłuchać, muszę wrócić do środka. Co do tamtej sprawy, komisarz Augello jest poinformowany o wszystkich szczegółach.

– Oczywiście, nie ma problemu. Proszę mi przypomnieć, jak nazywa się

kapitan *Marii Concetty*?

– Aureli. Salvatore Aureli.

– Ostatnie pytanie. Pamięta pan nazwiska członków załogi?

– Podałem je komisarzowi Augellowi.

– Proszę i mnie powiedzieć.

– Totò Albanese, Gaspano Bellavia, Peppe Dima, Gegè Fragapane, 'Ntonio Zambito. Są jeszcze dwaj Tunezyjczycy, nie pamiętam teraz ich nazwisk, ale podałem je komisarzowi Augellowi.

Czyli żadnego Manzelli. Przez chwilę komisarz miał taką nadzieję.

Po trzeciej nad ranem ruch w porcie prawie ustał. Kutry odpłynęły sprzed magazynów i zacumowały na swoich stanowiskach w wewnętrznej części portu. Odjechały także wszystkie samochody chłodnie. Wielkie bramy magazynów zamknięto na kłódkę, z wyjątkiem trzeciego, gdzie elektrycy wciąż jeszcze pracowali nad naprawą systemu chłodniczego. Jednak...

Jednak nie było zupełnie pusto. Wciąż kręciło się z pięć czy sześć osób, które jeszcze o czymś rozmawiały, dyskutowały, dwaj mężczyźni podnieśli nawet głos i wyglądało, że zaraz się pobiją. Jeśli tak działo się zawsze, ktoś musiał usłyszeć, a może nawet zobaczyć, jak Fazio ucieka, podczas gdy ktoś go goni i strzela do niego.

Czy celnik nie powiedział, że chwilę po tym, jak usłyszał strzały, przejechał koło niego motocykl? A zatem był przynajmniej jeden świadek! Ale ci ludzie będą milczeć jak grób, komisarz był tego pewien.

Nagle ogarnęło go ogromne znużenie, tak wielkie, że na chwilę ugięły się pod nim kolana.

Nie było sensu tracić więcej czasu, postanowił, że następnego ranka pójdzie do kwestora, opowie mu wszystko, żeby zacząć oficjalne

dochodzenie. Poddał się. Przede wszystkim im więcej czasu mijało, tym gorzej dla Fazia, jeśli w ogóle był jeszcze żywy.

– Montalbano!

Komisarz odrócił się i ujrzał przed sobą Nicolò Zita.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Powiedział mi Augello, zatelefonowałem do niego do domu, bo nie mogłem się do ciebie dodzwonić.

– Co się stało?

– Muszę z tobą porozmawiać.

– No to mów.

– Pójdziemy do mojego samochodu?

Zito zaparkował koło ścieżki holowniczej. Wiatr o tej wczesnej godzinie wiał ostro i Montalbano, zmęczony, wygłodniały i zmartwiony, aż drżał z zimna.

Po wejściu do samochodu oparł głowę na zagłówek i zamknął oczy.

Otworzył je, kiedy poczuł zapach kawy. Zito podsunął mu pod nos nakrętkę termosu, wypełnioną wrzącą kawą. Komisarz od razu poczuł się lepiej.

– Kiedy Fazio zniknął? – spytał dziennikarz.

Montalbano zakrztusił się kawą. Zito walnął go dwa razy po plecach, żeby pomóc mu odzyskać oddech.

– Kto ci powiedział?

– Otrzymałem telefon, a potem ty mi to potwierdziłeś.

– Ja?!

– Ty. Kiedy mi powiedziałeś, żebym nie dzwonił do Fazia do domu. Żebyś słyszał swój głos! Zrozumiałem, że coś nie gra. Jaką sprawą się zajmował?

– Właśnie w tym problem, Nicolò. Nie wiem. Prowadził jakieś śledztwo na własną rękę, nikomu nic nie powiedział. Kto do ciebie zadzwonił?

– Nie mogę ci zdradzić. Ten, kto dzwonił, powiedział, że widział Fazio w dość kiepskim stanie.

– W jakim sensie?

– Musiał zostać zraniony w głowę, bo miał ją obandażowaną.

– Był sam?

– Nie. Pozwól mi opowiedzieć. Ponieważ ten człowiek nie był pewien, czy to Fazio, chciał, żebym zasięgnął informacji. Zrobiłem to i oddzwoniłem do niego, żeby powiedzieć, że odniosłem wrażenie, że pośrednio potwierdziłeś tę informację. Wtedy on poprosił, żebym zadzwonił znowu po dwóch godzinach.

– Ale dlaczego nie zatelefonował na komisariat?

– Potem ci to wyjaśnię. Oddzwoniłem po dwóch godzinach i wtedy dał mi dokładne wskazówki, gdzie możemy go znaleźć, i wtedy wszystko nam wyjaśni. Jedziemy?

– Oczywiście. Dokąd?

– W okolicy Rivery. Półtorej godziny jazdy.

– No to ruszaj. Powiesz mi, dlaczego nie zadzwonił na komisariat?

– Bo się ukrywa przed policją.

Niby dlaczego ukrywający się przestępca miałby się przejmować losem gliniarza? Nie było jednak sensu pytać, komisarz wiedział, że Zito nigdy nie zdradzi nazwiska swojego informatora.

Przynajmniej jedna rzecz była pozytywna, Fazio wciąż jeszcze żył.

– Co powiedziałeś Augellowi?

– Że muszę z tobą pilnie porozmawiać.

– Napomknąłeś, że chodzi o Fazia?

– Nie.

Czy komisarz miał zadzwonić do Augella i przekazać mu wiadomość? Nie, lepiej pozwolić mu się przespać. To słowo, niczym wirus, zadziało bezzwłocznie i na komisarza, który bezwiednie zamknął oczy i od razu zasnął.

Zbudziła go cisza.

Był sam. Zrobiło się już jasno. Samochód stał na polnej drodze, ale wokół nie było prawdziwych pól, wszędzie rozciągała się jałowa, wysuszona równina. Tu i ówdzie widać było rachityczne drzewka, trudno nawet było rozpoznać, jakie owoce kiedyś dawały, jeśli w ogóle kiedyś to robiły, kępy badyli wybujałych prawie na wysokość człowieka i skupiska sorga. I przede wszystkim kamienie, morze białych kamieni.

To było typowe *chiarchiaro*, jak je nazywają na Sycylii, miejsce przekłete, gdzie nie da się już nic uprawiać i niebezpiecznie jest się nawet tu zapuszczać, bo można nieoczekiwanie wpaść w ukrytą dziurę, która rozszerza się w głęboką szczelinę w ziemi.

Montalbano wiedział, że *chiarchiaro* to cmentarze bezimiennych kości, chętnie używane przez mafię, kiedy trzeba się było kogoś pozbyć, nie pozostawiając śladów. Ofiarę ustawiano na brzegu szczeliny, strzelano do niej i wpadała do środka. Albo też oszczędzano na nabojach i zrzucano delikwenta jeszcze żywego, żeby się zabił, uderzając o skały w trakcie upadku. Jeśli jakimś trafem lądował na dnie jeszcze żywy, mógł sobie krzyczeć do woli, i tak nikt by go nie usłyszał. Umierał powoli, z głodu i przede wszystkim pragnienia.

Po prawej stronie, jakieś dziesięć metrów od drogi, stał nędzny,

jednoizbowy domek, biały klocek ledwie trochę większy niż otaczające go kamienie. Prawie w ruinie, ale drzwi wejściowe były zamknięte. Być może Nicolò był w środku i rozmawiał z ukrywającym się przestępcą.

Montalbano postanowił nie wychodzić z samochodu. Poszperał w kieszeni, w paczce zostały mu tylko trzy papierosy. Zapalił jednego i opuścił szybę w oknie. Nie było słyhać nawet ćwierkania ptaków.

Kończył już prawie papierosa, kiedy drzwi domku otworzyły się i na progu pojawił się Zito i przywołał go gestem.

– Jest gotów opowiedzieć ci wszystko, ale mamy pewien problem.

– Jaki?

– Nie chce, żebyś zobaczył jego twarz.

– To co zrobimy?

– Muszę ci zawiązać oczy.

– Żartujesz sobie?

– Nie. Jeśli tego nie zrobisz, on nic nie powie.

– Już ja go skłonię do gadania!

– Nie opowiadaj głupot. My jesteśmy bezbronni, a on ma rewolwer. No, dalej, nie rób hysterii.

Zito wyciągnął z kieszeni wielką czerwono-zieloną chłopską chustkę.

Pomimo powagi sytuacji Montalbano o mało się nie roześmiał.

– Używasz takich chustek?

– Tak. Już od jakiegoś czasu. Mam zapalenie zatok.

Komisarz pozwolił zawiązać sobie oczy i wprowadzić się do środka.

– Dzień dobry, panie komisarzu – odezwał się ktoś głębokim głosem, wskazującym na osobę wykształconą, zapewne w średnim wieku.

– Dzień dobry.

– Proszę mi wybaczyć, że ściągnąłem pana na to odludzie i przede wszystkim, że nalegałem, aby zawiązać panu oczy, ale lepiej, żeby nie wiedział pan, kim jestem.

– Skończmy z tymi pierdolonymi uprzejmościami, dobrze? – powiedział Montalbano. – Niech pan opowie to, co ma do opowiedzenia.

– Wczoraj rano, koło szóstej, znajdowałem się koło góry Scibetta. Zna pan okolicę wyschniętych studni?

– Tak.

– Byłem w samochodzie i przejeżdżałem obok kamiennego poidła dla zwierząt, w którym kiedyś była woda, ale dzisiaj już nie. Były przy nim trzy osoby, jedna siedziała na brzegu koryta, dwie stały obok niej. Ten mężczyzna, który siedział, miał obandażowaną głowę i koszulę poplamioną krwią. Potem jeden z tamtych dwóch uderzył go pięścią w twarz i zrzucił do środka koryta. Ja jednak zdążyłem go wcześniej rozpoznać. W każdym razie wydało mi się, że to pan Fazio.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie.

– I co potem?

– Pojechałem dalej i zobaczyłem w lusterku, że wyciągają go z koryta.

– Co pan potem zrobił?

– Musiałem oddalić się jak najszybciej od góry Scibetta, bo dowiedziałem się, że karabinierzy już mnie tam szukają. Pomyślałem, że najlepiej będzie ukryć się tutaj. Zanim dojechałem, zadzwoniłem jednak do pana Zita.

– Skąd się znacie?

– Daj spokój – odezwał się Nicolò za plecami komisarza.

– Dobrze, proszę mówić dalej.

– Przede wszystkim chciałem się upewnić, że to naprawdę Fazio.

– A kiedy już się pan upewnił, to dlaczego chciał pan, żeby Zito poinformował mnie o pańskim telefonie?

– Bo pewnego razu pan Fazio potraktował mojego syna jak prawdziwy dżentelmen.

– Dlaczego, pana zdaniem, zawieźli Fazia aż pod górę Scibetta?

– Proszę wybaczyć, ale ja nie wiem, jak ani gdzie go porwali.

– Niemal na pewno ranili go i uwięzili w porcie w Vigacie.

– Ach – odezwał się nieznajomy.

I zamilkł.

– No więc? – spytał nerwowo Montalbano.

– Panie komisarzu, jeśli go tam zawieźli, to na pewno po to, żeby go wrzucić do jednej z wyschniętych studni. Chcą, żeby zniknął. Dotarcie tutaj, do *chiarchiaro*, zabrałoby im zbyt dużo czasu.

Właśnie takiej odpowiedzi komisarz się obawiał.

Nie było czasu do stracenia.

– Życzę panu szczęścia, panie Nicotra, i dziękuję – powiedział Montalbano.

– Jak... jak mnie pan rozpoznał?

– Przede wszystkim już jakiś czas temu opowiedział mi pana historię Zito, z którym przyjaźni się pan od czasów szkoły. A potem, kiedy powiedział pan, że Fazio zachował się po dżentelmeńsku wobec pana syna... wszystko stało się jasne. Jeszcze raz dziękuję.



## 5

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, Montalbano zerwał z głowy chustkę i rzucił się pędem do samochodu, zostawiając w tyle Zita.

– Szybciej, szybciej!

– Dokąd jedziemy? – spytał dziennikarz.

– Do góry Scibetta. Każda minuta jest cenna!

– Ale pomyśl tylko, minęło wiele godzin, odkąd go widziano...

– Myślę cały czas, nic się nie bój.

– To, co chcieli Faziowi zrobić, już mu na pewno zrobili.

– Tak, ale może jest jeszcze żywy, być może ciężko ranny, ale żywy.

Wiesz, gdzie znajdują się wyschnięte studnie?

– Tak.

– Ile czasu trzeba, żeby tam stąd dojechać?

– Ze dwie godziny.

– Ruszaj i daj mi swoją komórkę.

Montalbano zadzwonił do Augella, który jeszcze spał, ale rozbudził się natychmiast, gdy komisarz przekazał mu to, czego się dowiedział.

– Powinieneś poradzić swojemu kumplowi Nicotrze, żeby oddał się dobrowolnie w ręce policji – powiedział komisarz do Zita.

– Masz pojęcie, ile razy mu to klarowałem? Nie ma mowy, myśl, że zamkną go w więzieniu, doprowadza go do szaleństwa. Nie każdy się nadaje do więziennego życia, tak jest w jego przypadku. A dwa morderstwa to dwa morderstwa.

– No dobrze. Ale miałyby wszystkie okoliczności łagodzące po swojej stronie. Na Sycylii dla oskarżonego nie ma nic lepszego niż bycie rogaczem. W imię rogów możesz urządzić krwawą rzeź i ujdzie ci to na sucho. No jak to? Przyłapujesz brata w łóżku z twoją własną żoną i nie zastrzelisz obojga? Co z ciebie za mężczyzna? Wiesz doskonale, że ława przysięgłych, która wierzy w Honor, Rodzinę, Obowiązek i Cnotę kobietą, uniewinniłaby Nicotrę bez mrugnięcia okiem!

Umówili się na spotkanie przy wyschniętym poidle. Gdy Montalbano i dziennikarz dojechali na miejsce, nie było ani śladu Augella i jego ludzi.

– Gdzie oni, kurwa, są?

– Nie denerwuj się tak – próbował go uspokoić Zito. – Żeby zrobić to wszystko, o co go poprosiłeś, trzeba trochę czasu.

Komisarz zapalił papierosa. Dobrze chociaż, że w Riverze znaleźli otwarty bar z licencją na sprzedaż papierosów i kupił sobie na wszelki wypadek aż trzy paczki.

Pierwsi zjawili się czterej strażacy z wielkim wozem, wyposażonym nawet w dźwig. Najwyraźniej Augello wyjaśnił im, jaka czeka ich robota, to znaczy, że trzeba będzie spuszczać się w głąb studni, co prawda od dawna wyschniętych, ale bardzo głębokich.

– My jesteśmy gotowi. Zaczynamy? – spytał szef brygady.

Nazywał się Mallia i z niejakim roztargnieniem wysłuchał podsumowania sytuacji przez komisarza.

– Musimy poczekać na przyjazd mojego zastępcy – powiedział Montalbano.

– Niech pan posłucha, my tymczasem pojedziemy dalej i zorientujemy się w sytuacji. Zyskamy w ten sposób na czasie. Spotkamy się przy pierwszej

studni.

– Wiecie, gdzie to jest?

– Jasne, pół kilometra stąd. Dwa lata temu wyciągałem stamtąd trupa – odpowiedział Mallia.

Tak radosny początek dobrze zapowiada, mówił w którymś sonecie Boiardo. Dla odwrócenia złego uroku komisarz szybko dotknął genitaliów, uważając, żeby inni tego nie zobaczyli.

Potem wreszcie przyjechał swoim samochodem Mimì Augello. W jadącym za nim radiowozie, który prowadził Gallo, znajdowali się też Galluzzo i nowy oficer, Lamarca, inteligentny i obrotny chłopak.

Trzy studnie wykopano jakieś trzydzieści lat wcześniej, w odległości około stu metrów jedna od drugiej, i połączono je wyboistą drogą. Teren ten, liczący ze trzydzieści hektarów, od wielu pokoleń należał do rodziny Fradella, która mimo wszelkich wysiłków nie zdołała nigdy wyhodować tam żadnego drzewa owocowego ani uzyskać jakichkolwiek plonów. Cała ziemia była jałowa. Stara legenda głosiła, że kiedyś w tych okolicach bryganci zgwałcili i zamordowali jakąś nieszczęsną dziewczynę, wszyscy więc byli przekonani, że ziemia jest jałowa, bo została przeklęta. Fradellowie sprowadzili nawet księdza z regionu Trapani, który ponoć umiał wypędzać diabła, ale i on nie zdołał sprawić, by na ugorze wyrosło choćby źdźbło trawy. Ziemia była jałowa, bo sucha, wystarczyłoby jednak trochę wody, by zmienić ją całkowicie. No i właśnie ze trzydzieści lat temu z Ameryki wrócił Joe Fradella, który tam miał własne ranczo, i wyjaśnił swoim krewnym, że zna fantastycznego różdżkarza, co potrafi znaleźć wodę nawet w środku Sahary. I sprowadził tego magika z Ameryki za własne pieniądze. Kiedy różdżkarz przespacerował się po okolicy, oświadczył:

– Przecież tutaj pod ziemią jest całe morze wody!

Wobec tego Fradellowie wykopali pierwszą studnię i rzeczywiście, na głębokości trzydziestu metrów trysnęła woda. Potem wykopali dwie następne i po dwóch latach ziemia, zasilona systemem nawadniających kanałów i rur, zaczęła się zielenić. Co się na niej posadziło, wyrastało bujnie. Jednym słowem te trzydzieści hektarów zmieniło się w prawdziwy raj na ziemi. Potem zarząd regionu postanowił wybudować nową szosę szybkiego ruchu z Montelusy do Trapani. Była to inicjatywa publiczna o wielkim znaczeniu, jak wyjaśnili politycy. Droga miała biec przez górę Scibetta, w której wydrążono tunel na wylot. Po ukończeniu tunelu przerwano prace budowlane.

Drogi nie wybudowano, bo szybko skończyły się pieniądze, które schowała sobie do kieszeni mafia. Woda w studniach rodziny Fradella, znajdujących się u podnóża góry, też wyschła z dnia na dzień. Wydrążenie tunelu zmieniło bieg podziemnego nurtu. I teren znowu stał się taki jak wcześniej, suchy i jałowy.

Od tego czasu studnie zaczęły służyć jako wygodne miejsce anonimowego pochówku.

Ponieważ jeden ze strażaków zdążył się opuścić na samo dno pierwszej studni, zabezpieczony zgodnie z przepisami na wyciągarce linowej, i nic tam nie znalazł, ludzie i sprzęt przesunęli się już do drugiej. Strażak zszedł na głębokość dwudziestu metrów, kiedy zatrzymał się i dał znak, żeby go wyciągnąć.

– Nie zszedł jeszcze na sam dół – zauważył komisarz.

– Najwyraźniej ma jakieś kłopoty – odpowiedział Mallia.

Gdy strażak znalazł się na górze, powiedział:

- Potrzebuję maski.
- Brakuje panu powietrza?
- Nie, ale jest straszliwy smród rozkładającego się mięsa.

Montalbano poczuł się, jak gdyby ktoś zdzielił go w żołądek. Zbladł i nie mógł wymówić słowa. Zebrało mu się na wymioty. Odezwał się za to Augello:

- Widział pan... czy...
- Niczego nie widziałem. Poczułem tylko feter.

W tym miejscu wtrącił się Mallia, który zauważył poblednięcie komisarza:

– Nie jest powiedziane, że to ludzkie ciało. To mogłaby być owca albo pies...

Strażak założył maskę i znowu opuścił się w dół. Augello wziął Montalbana pod ramię i odprowadził na bok.

– Czemu tak się przeraziłeś? To przecież nie może być Fazio.

– Dlaczego?

– Bo jego ciało nie zdążyłoby jeszcze... no, nie mogłoby być w takim stanie.

Augello miał rację, ale Montalbano i tak nie mógł przemóc wewnętrznego roztrzęsienia.

– Może pójdziesz na chwilę do samochodu i odpoczniesz? Jeśli odkryją coś nowego, natychmiast cię zawołam.

– Nie.

Nie byłby w stanie wysiedzieć w samochodzie. Musiał się ruszać, chodził nerwowo w kółko dookoła studni jak osioł obracający żarna. Inni patrzyli na niego z zafascynowaniem.

Strażak wrócił na powierzchnię.

– Znalazłem zwłoki – powiedział.

Pomimo wcześniejszych słów Augella tym razem Montalbano nie zdołał opanować ataku nudności. Podczas gdy wymiotował gwałtownie, oparty o maskę samochodu, usłyszał, jak strażnik mówi dalej:

– Sądząc ze stanu ciała, na pewno znajduje się tam co najmniej od czterech czy pięciu dni.

– Musimy je wyciągnąć – powiedział szef strażaków.

Montalbano przyszedł trochę do siebie po szoku, jakiego doznał, gdy strażak powiadomił o odkryciu zwłok na dnie studni. Poczł się wtedy, jak gdyby prąd elektryczny przebiegł mu po całym ciele, od stóp do czubka głowy, i usta wypełnił mu gorzkokwaśny smak wymiocin. Ale Augello miał rację, jeśli nieboszczyk w studni był martwy od czterech czy pięciu dni, nie mógł nim być Fazio. Tylko że ta logiczna i uspokajająca konkluzja pojawiła się dopiero po chwili, kiedy już minął pierwszy przestach. Jednak i tak niepokój o Fazio zżerał go żywcem, oddałby wszystko, dałby sobie rękę uciąć, aby tylko go odnaleźć.

– Macie sprzęt, żeby go wyciągnąć? – spytał Mallię.

– Pewnie.

– Mimì, zawiadom wobec tego prokuratora, sędówkę i doktora Pasquana.

– Co robimy, zabieramy się od razu do roboty czy mamy czekać na tych panów? – spytał szef strażaków.

– Lepiej na nich poczekać. My tymczasem moglibyśmy zbadać trzecią studnię.

– Sądzi pan, że człowiek, którego znaleźliśmy, to nie ten, którego pan szuka?

– Teraz jestem już tego całkowicie pewien.

– Tylko że...

– Ma pan jakieś obiekcje? – najeżył się natychmiast komisarz.

Miał tak zszarpane nerwy, że nie był w stanie przyjąć żadnego sprzeciwu.

– Nie – powiedział Mallia. – Nie to miałem na myśli... Ale widzi pan, moglibyśmy zbadać tę trzecią studnię nie teraz, tylko zaraz po wyciągnięciu ciała z tej, przy której jesteśmy. Przenoszenie sprzętu tam i z powrotem jest bardzo męczące i skomplikowane, rozumie pan chyba?

Rozumiał. Ze ściśniętym sercem, wbrew swoim chęciom, ale rozumiał.

– Dobrze, niech tak będzie.

Zbliżył się Zito, który do tej pory trzymał się na uboczu. Zdawał sobie sprawę z sytuacji swojego przyjaciela. Wiedział, w jakich stosunkach był komisarz z Faziem.

– Salvo, mogę zadzwonić do redakcji?

– Po co?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, ściągnę tu kogoś, żeby przygotować relację. Dla nas to ważne.

Komisarz był winny Nicolò podziękowanie, musiał mu się odpłacić za przysługę. Gdyby nie dziennikarz, o tej porze pewnie szukaliby jeszcze Fazia w okolicach portu.

– Dzwonń.

Sam ruszył ścieżką w kierunku trzeciej studni. Prowadziła pod górę i po niespełna dziesięciu krokach dostał zadyszki. Był zanadto zmęczony, a niepokój o Fazia hulał po jego głowie jak gwałtowny wichur, nie pozwalając mu zebrać myśli i rozumować logicznie. Nie tylko był zmęczony, ale też przestraszony.

Czekał z drżeniem, że nadejdzie zła wieść albo że na własne oczy zobaczy to, czego nie chciał ujrzeć. W końcu dotarł do trzeciej studni. Na ziemi w pobliżu wydrążonego otworu poniewierały się jeszcze zardzewiałe

pozostałości po wielkiej pompie ssącej.

Komisarz odpoczął chwilę na zmurszałej do połowy cembrowinie. Słońce paliło mocno, dzień zrobił się gorący, ale jego oblewał zimny pot. Ziemia dookoła studni była miękka jak piasek na plaży i Montalbano zobaczył na niej odcisnięte ślady butów. Ale że w tej okolicy padało bardzo rzadko i nie było też wiatrów, komisarz nie był w stanie ocenić, czy są one świeże, czy stare. Położył się na brzuchu i zajrzał w głąb studni. Panowała w niej nieprzenikniona ciemność. Nie, potrzebny był tu strażak, żeby opuścić się na dół. W każdym razie, jeśli Fazio skończył tam w dole, nie miał najmniejszej szansy, aby przeżyć.

Podczas gdy komisarz wracał do strażaków i do swoich ludzi, przyszedł mu do głowy pomysł, który wydał mu się dobry. Odszedł na bok z Augellem.

– Słuchaj, umówiłem się z szefem strażaków, że kiedy już wyciągną ciało, przesuną się ze sprzętem, żeby sprawdzić ostatnią studnię.

– Tak, mnie też to powiedział.

– Jeśli, tak jak się spodziewam, nie znajdziemy tam Fazia, kiedy już wszyscy odjadą, my tutaj zostaniemy.

– Po co?

– Jak to po co? Szukać Fazia. Jestem pewien, że jest tu gdzieś w pobliżu.

– Skąd to przekonanie?

– Fazio został zraniony w porcie, zgadza się? Wsadzili go do samochodu i przywieźli tutaj, zgadza się? Nie obchodzili się z nim delikatnie, potraktowali go pięściami i kopniakami. Wniosek: jeśli go nie zamordowali i nie porzucili gdzieś ciała, to ranny Fazio musi tu gdzieś jeszcze być, bo byłoby absurdem wsadzać go znowu do samochodu i odwozić do portu.

– To co możemy zrobić twoim zdaniem?

– Gdy tylko pozbędziemy się tego nieboszczyka, wsiądziesz do



samochoду, pojedziesz do kwestora i wszystko mu opowiesz. Musimy zorganizować wielkie poszukiwania.

– Zgoda. A ty?

– Ja z Gallem, Galluzzem i Lamacą zaczniemy przeczesywać okolicę.

– Dobrze.

Wędrowny cyrk, który zbierał się zawsze na miejscu morderstwa, potrzebował dwóch godzin, aby dotrzeć z Montelusy. Pierwsi zjawili się goście z sądówki, zaczęli robić jak zwykle tysiące fotografii, które potem i tak okazywały się bezużyteczne; tym razem obrali sobie za cel cembrowinę studni i jej najbliższe okolice. Ponieważ Arquà, szefa sądówki, którego komisarz serdecznie nie znosił, tym razem nie było, Montalbano zbliżył się do oficera kierującego akcją i wyjaśnił mu, że trzeba będzie także zbadać dokładnie poidło dla zwierząt, bo mogły na nim zostać ślady krwi.

– Skąd pan wie, że zanim wrzucono ofiarę do studni, trzymano ją w korycie do pojenia zwierząt? – spytał podejrzliwie człowiek z sądówki.

Cholera, miał rację! Komisarzowi poplątał się Fazio i nieboszczyk w studni! Musiał być zupełnie wykończony i mózg mu przestał pracować.

– Niech pan robi, co mówię! – oświadczył surowym tonem.

Tamten odpowiedział, że zrobią to, gdy skończą z nieboszczykiem.

Potem przyjechał doktor Pasquano z karetką i sanitariuszami. Od razu zaczął się wściekać:

– Czego wy ode mnie chcecie? Mam się spuścić do studni, żeby zbadać ciało? Wyciągnijcie go na powierzchnię, do cholery!

– Musimy poczekać na prokuratora Tommasea.

– Przecież on prowadzi tak wolno, że i ślimak go wyprzedzi! Następnym razem wezwijcie mnie, kiedy on już będzie na miejscu!

Nie było to prawdą, Tommaseo nie jeździł wolniej od ślimaka, natomiast było rzeczą powszechnie wiadomą, że prowadzi jak w pijanym widzie. I rzeczywiście, kiedy już przyjechał, opowiedział, że droga z Montelusy zajęła mu trzy godziny, bo dwa razy zjechał z szosy, a za trzecim wpadł na drzewo. Dodał, że w trakcie kolizji z drzewem walnął się w czoło i czuje się trochę dziwnie.

– To kobieta czy mężczyzna? – spytał szefa strażaków.

– Mężczyzna.

Tommaseo w jednej chwili stracił wszelkie zainteresowanie sprawą. Podniecały go tylko zwłoki kobiet, najlepiej nagie, oraz zbrodnie z namiętności.

– W porządku, w porządku, wyciągnijcie ciało. Do widzenia.

Odwrócił się na pięcie, wszedł do samochodu i odjechał. Zapewne nadzieć się na kolejne drzewo. Wszyscy obecni, bez wyjątku, w myślach wysłali go w to samo miejsce.

Tym razem do kołowrotu doczepiono drugą uprząż z ceratową płachtą, z której po bokach zwieszały się liczne sznurki. Montalbano pożałował strażaka; zadanie, jakie go czekało, nie było ani łatwe, ani przyjemne. I kiedy to sobie pomyślał, nagle samochody, ludzie i cały krajobraz zaczęły mu się kręcić przed oczami. Stracił równowagę i żeby nie upaść na ziemię jak worek ziemniaków, uchwycił się kurczowo ramienia stojącego obok Mimì.

– Salvo, wracaj do domu. Ja tu zostanę. Nie masz pojęcia, jak wyglądasz – powiedział Augello.

– Nie.

– Ledwo trzymasz się na nogach! Przynajmniej siądź w samochodzie, zrób to dla mnie – dodał Zito.

– Nie.

Wiedział, że gdyby usiadł, od razu by zasnął.

Na koniec, po wielu próbach, nieboszczyk został wyciągnięty na górę. Owinięty w ceratę i obwiązany sznurkami wyglądał jak mumia. Ciało położono na ziemi i odkryto.

Wszyscy zbliżyli się, aby popatrzeć, zasłaniając sobie nos i usta chusteczkami. Na ile można się było zorientować, był to mężczyzna około sześćdziesięcioletni, zupełnie nagi, w dość złym stanie. Twarz miał zupełnie zmasakrowaną. Strażak znowu opuścił się w dół.

– Po co tam schodzi?

– Żeby wziąć koc, na którym leżało ciało.

Pasquano rzucił okiem na nieboszczyka.

– Tutaj nic nie mogę zrobić. Przywieźcie mi go do kostnicy.

– Jak umarł, panie doktorze?

– Co za durne pytanie pan zadaje, Montalbano? Starość rozum panu odebrała? Nie widzi pan, że wystrzelili mu w twarz całą zawartość ładownicy?

Ci z „Retelibery” przyjechali akurat na czas, żeby nakręcić całą scenę.

Kiedy skończyli, Zito podszedł do Montalbana, objął go mocno i odjechał razem z nimi.

Także ludzie z sądówki już się zbierali, kiedy szef strażaków podszedł do komisarza.

– Może lepiej ich tu zatrzymać.

– Dlaczego?

– Bo jeśli na nieszczęście w ostatniej studni też znajdziemy ludzkie szczątki, będziemy ich musieli tu sprowadzić z powrotem.

– No i co z tego? Proszę, niech pan nie traci czasu.

Mallia wydał polecenie i wóz strażacki ruszył w stronę trzeciej studni.

– Wsiadaj do samochodu – powiedział Mimì.

– Nie. Pójdę piechotą.

Nie rozumieli, że jeśli usiądzie, to koniec.

Gdy dotarł do studni, był mokry od potu. Zapalił papierosa i zauważył, że drży mu ręka. Nic na to nie mógł poradzić.

Tym, co go trzymało na nogach, było oczekiwanie na odpowiedź strażaka, który miał się opuścić na dół. Dlaczego, do cholery, to wszystko trwało tak długo?

– Nie mogą się trochę pospieszyć?

– Uspokój się. Robią to najszybciej, jak mogą.

Wreszcie strażak zaczął schodzić. Boże święty, jak powoli go opuszczali! Co za ceregiele robili! Czy to specjalnie, żeby go doprowadzić do szału? Nie był w stanie dłużej się przyglądać. Odszedł kilka kroków na bok, schylił się, wziął do ręki kamień i rzucił nim w stronę zardzewiałego kawałka żelaza.

Chybił o co najmniej trzy metry. Rzucił następny kamień, znowu niecelnie. I kolejny, i jeszcze... Po czasie, który wydał mu się wiecznością, po zmianie skrzywienia kołowrotu domyślił się, że strażak wraca na powierzchnię.

Kiedy jednak dotarł na brzeg studni, nie wyszedł cały, wychylił tylko głowę. Mallia zbliżył się do niego i coś mu powiedział na ucho. Co to mogło oznaczać? W tym samym momencie Montalbano zauważył wymianę spojrzeń między szefem strażaków a Mimì Augellem. Była bardzo szybka, tyle ile mrugnięcie powieką. To jednak wystarczyło komisarzowi, żeby zrozumieć, co się stało, równie jasno, jak gdyby ci dwaj przemówili na głos.

– Znaleźliście go! Jest w studni!

Komisarz skoczył przed siebie, ale Mimì powstrzymał go, obejmując

mocno ramionami. Gallo, Galluzzo i Lamarca stanęli dookoła nich, jak gdyby się wcześniej umówili.

– Salvo, nie rób tak. Na miłość boską, uspokój się! – powiedział Mimì.

– Poza tym jeszcze nie wiemy, kim jest ten nieboszczyk – wtrącił Gallo.

– Lamarca, wezwij wszystkich z powrotem, sędówkę, prokuratora... – zaczął Augello.

– Nie!

Montalbano krzyknął tak głośno, że odwrócili się nawet strażacy.

– Ja wam powiem, kiedy ich wezwać. Zrozumiano? – powiedział, odpychając od siebie Augella.

Popatrzyli na niego zdumieni. Tymczasem z niego w jednej chwili opadło zmęczenie. Teraz stał pewnie na nogach, wyprostowany, ręce przestały mu drżeć.

– Ale dlaczego? Zyskalibyśmy na czasie – zapytał Augello.

– Nie chcę, żeby go zobaczyli obcy, rozumiecie? Nie chcę! Najpierw opłaczymy go we własnym gronie, dopiero potem sprowadzimy innych.

## 6

Montalbano podszedł pewnym krokiem do studni i ustawił się tuż przy cembrowinie, tak aby mógł zobaczyć wyciągane ciało jako pierwszy. Zapadła przytłaczająca cisza, ciężąca na nich jak wielki głaz. Hałas kręcącego się kołowrotu przypominał warkot wiertarki.

Komisarz przechylił się cały do przodu i wbił wzrok w studnię. Potem odwrócił się do swoich ludzi i powiedział:

– To nie on.

Wtedy nogi się pod nim ugięły i powoli osunął się na kolana. Augello zdążył go przytrzymać, zanim upadł na czworaki.

Montalbano poczuł niejasno, że ktoś go podnosi i prowadzi do radiowozu. Ułożyli go na tylnym siedzeniu. Była to ostatnia rzecz, z jakiej zdał sobie sprawę, bo zaraz potem zasnął albo też może zemdłał. Gallo ruszył z impetem.

Po jakimś czasie, nie wiedział jak długim, zbudziło go hamowanie, tak gwałtowne, że zrzuciło go z siedzenia samochodu. Zaklął i usłyszał głos Galla, który także przeklinał:

– Pierdolony kundel!

Ku swemu zdziwieniu komisarz czuł się wypoczęty, jak gdyby przespał całą noc.

– Ile czasu jedziemy?

– Godzinę, panie komisarzu.

– Czyli jesteśmy blisko Montereale?

– Tak jest.

– Przejechaliśmy już koło baru Reale?

– Zaraz tam będziemy.

– Świetnie. Zatrzymaj się tam.

– Ale pan musi odpocząć i...

– Zatrzymaj się przy barze. Już odpocząłem, nic się nie martw.

Wypił duszkiem dwie kawy, umył się w toalecie i wrócił do samochodu.

– Wracamy.

– Ależ, panie komisarzu...

– Nie sprzeczasz się. Zadzwoń do Augella na komórkę i dowiedz się, na czym stanęli.

Po krótkiej rozmowie, Gallo przekazał komisarzowi.

– Sądówka jest jeszcze na miejscu, ale już kończą. Prokurator Tommaseo i doktor Pasquano odjechali.

– Dobrze. Powiedz Augellowi, żeby czekał na nas przy poidle.

– Sądówka znalazła dwie łuski – powiedział mu na wstępie Mimì.

– Gdzie?

– Tuż przy wylocie studni. Nie było ich widać, bo leżały pomiędzy resztkami pompy.

– Zabrali je ci z sądówki?

– Tak. Ale zdążyłem je zobaczyć i porównać z tą z portu, którą mam w kieszeni. Na oko wyglądają identycznie.

– Kim jest zmarły?

– Nie miał przy sobie dokumentów. Niezidentyfikowany trzydziestolatek.

- Jak zginął?
- Spadając.
- Co to znaczy?
- To, co powiedziałem. Zginął wskutek upadku do studni. To w końcu trzydzieści metrów!
- Kiedy nastąpił zgon?
- Pasquano ocenia, że nie więcej niż dziesięć godzin temu.
- Jesteśmy pewni, że nie miał na ciele śladów po ranach postrzałowych?
- Całkowicie.
- To nie traćmy czasu.
- Powiedz, co mamy robić.
- Mimì, przemyślałem to. Zaczekamy jeszcze chwilę z poinformowaniem kwestora. Najpierw sami się rozejrzemy.
- W porządku. Wyrobiłeś sobie jakieś zdanie na temat tego, co mogło się wydarzyć?
- Słuchajcie, chłopcy, myślę, że kiedy Fazio zrozumiał, że chcą go wrzucić do studni, zdecydował się na desperacką obronę. Zepchnął do studni jednego ze zbirów, którzy go uwięzili, i zaczął uciekać. Tamten drugi strzelił za nim i zmusił go, żeby się zatrzymał.
- Ale w takim razie dlaczego, kiedy już znowu miał Fazio w swoich rękach, nie zastrzelił go i nie wrzucił ciała do studni, tak jak planował?
- Dobre pytanie. W każdym razie w studni go nie ma. Wobec tego musimy przeszukać okolicę.
- Skąd zaczniemy?
- Od góry Scibetta. Widzicie ten domek koło słupa wysokiego napięcia? Podjedźcie tam samochodem, przeszukajcie wnętrze, a jeśli nic nie



znajdziecie, pojedźcie drogą, która się za nim zaczyna, na sam szczyt góry. Zbocze jest usiane grotami i zagłębieniami. Od czasu do czasu nawołujcie go. Możliwe, że nie jest w stanie się ruszyć. Będziemy się kontaktować przez komórkę.

– W porządku. A ty?

– Mam pewien pomysł. Usłyszemy się za pół godziny.

– Dokąd chce pan pojechać? – spytał Gallo.

– Do tunelu biegnącego przez górę.

– Tam chyba nie można wejść. Jest zamknięty.

– Sprawdzimy.

Wlot do tunelu był zagrodzony palisadą przegniłych drewnianych desek. Samochód by tędy nie przejechał, ale człowiek mógł się przecisnąć.

I rzeczywiście, po prawej stronie wyłamano dwie deski i przez stworzoną w ten sposób dziurę można się było łatwo dostać do środka. Najwyraźniej tunel służył za nocne schronienie dla jakiegoś włóczęgi czy może kryjówkę narkomana.

– Musimy tam wjechać samochodem – powiedział Montalbano.

– Dlaczego?

– Bo w środku będzie zupełnie ciemno. Potrzebne nam reflektory.

– Pójdę rzucić okiem – oświadczył Gallo, wysiadając z samochodu.

Komisarz zobaczył, że podchodzi do palisady, po czym cofa się o krok i wymierza prawą nogą potężnego kopniaka jednej z desek. Przegniłe drewno rozpadło się jak bibuła.

– Niech pan wysiądzie – powiedział Gallo do komisarza, sadowiąc się ponownie za kierownicą.

Montalbano usłuchał. Gallo zapalił silnik, podjechał powoli do palisady i zaczął stopniowo naciskać zderzakiem na deski. Po krótkiej chwili palisada rozsypała się, otwierając przejście, przez które przejechałyby i ciężarówka.

Montalbano wrócił do samochodu. W świetle reflektorów można było zobaczyć wyraźnie wnętrze tunelu. Po prawej stronie zauważyli od razu coś, co wyglądało jak leżący człowiek, ale gdy podjechali bliżej, okazało się, że to po prostu kupka szmat i koców.

Zaniepokojony światłem spod szmat wyskoczył kot i szybko uciekł w głąb tunelu.

– Ten kot – powiedział Montalbano – dobrze tu sobie żyje, bo musi tu być pełno szczurów.

– Panie komisarzu, to nie był kot, tylko szczur. Musimy uważać, jeśli będziemy wysiadać z auta, te bestie mogą nas pożreć żywcem.

Przejechali jakieś pięćdziesiąt metrów, kiedy ktoś strzelił nagle w przednią szybę.

Wyskoczyli jednocześnie z samochodu, Gallo na lewo, Montalbano na prawo i rozplaszczyli się na ziemi. Po chwili Gallo zaczął czołgać się do tyłu i opierając się na łokciach przesunął się pod osłonę samochodu na stronę komisarza.

– Jest pan ranny?

– Nie. A ty?

– Też nie.

Szeptali sobie do ucha najciszej, jak umieli. Silnik wciąż pracował, reflektory były włączone i oświetlały długi odcinek tunelu przed nimi. Nie widać było jednak żywego ducha. Z którego miejsca padł strzał?

– Jest pan uzbrojony? – spytał Gallo.

– Nie.

- Ja tak.
  - Gdyby był sprytny, zgasiłby strzałem reflektory. Dlaczego tego nie robi?
  - Albo nie chce, żebyśmy się domyślili, gdzie jest ukryty, albo ma mało nabojów.
  - Zdaje mi się, że ta biała zygzakowata linia na murze, ta po prawej stronie, urywa się po jakichś dziesięciu metrach.
  - To prawda. Pewnie jest tam nisza w ścianie tunelu, rodzaj miejsca parkingowego.
  - Na pewno tam się czai.
  - Kto?
  - Ten, kto ma Fazia. Musiał rozpoznać radiowóz.
  - Co robimy?
  - Musimy działać natychmiast. Boję się, że przyjdzie mu do głowy jakiś pomysł.
  - Ale co mógłby zrobić?
  - Powiedzmy, że wyjdzie z niszy, z pistoletem przyłożonym do głowy Fazia. Będziemy musieli go przepuścić, może nawet pozwolić mu, żeby zabrał nasz samochód!
  - To co wobec tego?
  - Słuchaj, wsiądziemy po cichu do samochodu, nie zamykając drzwiczek. Potem powolutku zaczniemy się cofać.
  - Dobrze.
  - Opuść się najniżej, jak możesz, bo na pewno gdy tylko ruszymy, on zacznie znowu strzelać.
- Bardzo powoli wczołgali się do samochodu, oczekując w każdej chwili nowych strzałów, nic się jednak nie wydarzyło. W przedniej szybie widniała

dziura, od której rozchodziła się dookoła pajęczyna pęknięć. Widoczność była jednak i tak bardzo dobra.

– Co mam teraz zrobić? – spytał cicho Gallo, kiedy jadąc powoli na tylnym biegu, znaleźli się prawie u wylotu tunelu.

– Zaraz ci wytłumaczę. Ruszymy teraz z wielką szybkością, na syrenie i...

– Dlaczego na syrenie?

– Bo tam w środku robi ona straszliwy hałas i ogłuszy tego typu. Kiedy znajdziemy się na wysokości niszy, zakręcisz gwałtownie i oświetlisz ją reflektorem. Daj mi pistolet.

Gallo podał broń komisarzowi. Montalbano chwycił się lewą ręką zagłębienia pod schowkiem i wychylił się w trzech czwartych przez otwarte okno, trzymając pistolet wycelowany przed siebie, gotowy do strzału.

– Tylko pamiętaj, musisz dobrze oświetlić niszę. Nie będę mógł nic zrobić, jeśli nie zobaczę, gdzie znajduje się Fazio. Nie chcę go przypadkiem zranić.

– Może być pan spokojny.

– Jedź!

Gallo przeszedł samego siebie. Kiedy dotarł na wysokość niszy, skręcił w prawo, jak gdyby chciał wjechać do niszy i zahamował gwałtownie. W niszy ujrzeli mężczyznę, który oślepiony reflektorami i ogłuszony syreną, wyciągnął ramię i strzelił na chybił trafił, zasłaniając sobie oczy lewym przedramieniem. Potem nie zdążył już zrobić nic więcej, bo Montalbano, wyskoczywszy z jadącego jeszcze samochodu, wymierzył mężczyźnie potężny cios w żołądek. Tamten upadł na ziemię, wijąc się z bólu, i upuścił pistolet. Montalbano schylił się, aby mu się przyjrzeć. Zbladł. To nie był porywacz Fazio. To był Fazio.

Nie ulegało wątpliwości, że ich nie rozpoznał. Rana na głowie nie była

głęboka, ale najwyraźniej wystarczyła, aby spowodować amnezję. Podczas gdy wsadzali go do samochodu, próbował się wyrwać i wymierzył Montalbanowi cios w twarz, od którego komisarz cudem się uchylił.

– Załóż mu kajdanki.

– Faziowi?!

– Nie bądź durniem. Nie widzisz, że nie odróżnia przyjaciół od wrogów? Musi mieć wysoką gorączkę.

– Zawieziemy go do szpitala?

– Jasne. Najszybciej, jak damy radę. Do Fiakki.

– Dlaczego nie do Montelusy?

– Lepiej, żeby myśleli, że go nie znaleźliśmy. A jeszcze lepiej, żeby nie wiedzieli, w którym szpitalu się znajduje. Ruszaj, tylko daj mi komórkę.

Najpierw zadzwonił do Mimì. Wyjaśnił, jak się potoczyły sprawy, i powiedział mu, żeby wracał do Vigaty. Potem zatelefonował do żony Fazio.

Zanim wystukał numer, odwrócił się jednak do niego.

– Chcesz porozmawiać z żoną?

Fazio zdawał się nie rozumieć pytania, wpatrywał się tępo przed siebie. Wobec tego komisarz zadzwonił do jego żony i wszystko jej opowiedział.

– Jak on się czuje? – to była jedyna rzecz, jaką chciała wiedzieć.

– Jest ranny w głowę, ale to nie wygląda groźnie. Stracił pamięć. Zadzwonię do pani, gdy tylko umieścimy go w szpitalu. Bardzo proszę zachować spokój.

Gdyby tylko wszystkie kobiety takie były! – pomyślał po skończeniu rozmowy. Przez całą podróż Fazio nie otworzył ust. Nie patrzył także przez szybę, miał wzrok wbity w potylicę Galla, który pędził jak wariat.

Po dwóch godzinach znajdowali się na szosie do Marinelli. Zdaniem lekarza, który przeprowadził badanie, Fazio doznał urazu głowy. Sama rana nie była głęboka. Utrata pamięci mogła oznaczać dwie rzeczy: albo był to wynik szoku, albo jakiegoś uszkodzenia mózgu. Żeby zawyrokować coś konkretniejszego, trzeba było jednak poczekać dwadzieścia cztery godziny. W każdym razie życie pacjenta nie było zagrożone. Montalbano powiadomił panią Fazio, która oświadczyła, że natychmiast pojedzie do Fiakki.

– Mamy panią odwieźć?

– Nie trzeba, dziękuję.

Teraz, gdy wszystko wreszcie się rozwiązało, nagromadzone zmęczenie powoli owładnęło całym jego ciałem, tak że kiedy dotarł do Marinelli, zdążył jedynie otworzyć drzwi, zamknąć je za sobą i osunął się na kolana, jak to się zdarza zamęczonym koniom.

W jego ciele nie było ani jednego sprawnego mięśnia.

Przeczołgał się na kolanach do sypialni, wdrapał się w ubraniu na łóżko, czepiając się kołdry, i w jednej chwili zapadł w głęboki, przepastny sen.

Zbudził się następnego ranka około ósmej. Przespał jednym ciągiem dwanaście godzin. Czuł się całkowicie wypoczęty, ale zarazem tak głodny, że zjadłby konia z kopytami. Od jak dawna nie jadł jak pan Bóg przykazał? Poszedł do lodówki, otworzył ją i ścisnęło mu się serce. Opróżniona, ogołocona niczym pustynia. Nawet żadnych oliwek, sardynek, kawałka sera. Dlaczego Adelina nie... Ale Adelina... Ade...

I nagle przypomniał sobie, i zaraz zapragnął, żeby mogła go dotknąć amnezja, tak jak Fazia. Powiada się, że światło prawdy raduje tego, na kogo spada, i ogrzewa swym ciepłem. Jednak światło prawdy, którym dla

Montalbana stała się lampka we wnętrzu lodówki, zmroziło go i zamieniło w blok lodu.

Do kurwy nędzy, zupełnie zapomniał o Livii!

Zawołał ją, nie ruszając się z miejsca, bo był jak sparaliżowany.

– Livia!

Głos, który wydobył się z jego gardła, przypominał miauczenie kota. Nie, Livii nie było, nie miało sensu jej wołać. Montalbano z trudem wyprowadził się ze stanu skamienienia, wrócił do sypialni i rozejrzał się dookoła. Nie było śladu obecności Livii, jak gdyby nigdy nie przyjechała z Boccadasse. Poszedł do jadalni.

Na stole leżała koperta.

Bez wątpienia list pożegnalny. Tym razem ostateczny, bez możliwości odwrotu. Czy mógł jej nie przyznać racji? Nie miał jednak ochoty od razu czytać kartki. Potrzebował doprowadzić się do porządku i zebrać siły, aby dowiedzieć się, co o nim Livia myśli. Rozebrał się, wrzucił brudne ubrania do kosza, wziął prysznic, ogolił się, zaparzył kawę i wypił trzy filiżanki, jedna po drugiej, ubrał się, zadzwonił do szpitala, zdołał porozmawiać z panią Fazio.

– Coś nowego?

– Muszą go operować.

– Dlaczego?

– Ma krwiaka mózgu.

– Z powodu rany?

– Lekarz twierdzi, że mógł upaść i uderzyć się w to samo miejsce, gdzie już była rana.

– Kiedy go operują?

- Nie wiem. W każdym razie przed południem.
  - Zaraz przyjadę.
  - Proszę posłuchać, tutejszy ordynator, cudowny człowiek, powiedział mi, że nie ma zagrożenia życia i operacja nie będzie skomplikowana. Ale niech pan sobie zapisze mój numer komórki.
  - Dziękuję, zapiszę, ale i tak przyjadę.
- Skończył rozmowę, wziął list Livii i poszedł przeczytać go na werandzie.

*Drogi Salvo,*

*po trzech godzinach czekania (pamiętasz, że umówiliśmy się, że pójdziemy razem na obiad?) wpadłam we wściekłość.*

*Już miałam do Ciebie zadzwonić, kiedy przyszło mi do głowy, żeby pojechać do komisariatu i sprać Cię po mordzie na oczach wszystkich obecnych. Chciałam Ci urządzić scenę, która zostałaby zapamiętana na długo.*

*Wezwałam taksówkę i przyjechałam do komisariatu. Zapytałam o Ciebie Catarellę, który powiedział, że nie ma Cię na miejscu. Zapytałam, czy wie, o której wrócisz, ale nie miał pojęcia. Dodał, że wie tylko, że musiałeś pojechać do Montelusy.*

*Ponieważ nie miałam zamiaru zrezygnować ze zrobienia ci sceny, powiedziałam mu, że poczekam w Twoim gabinecie, i tak zrobiłam.*

*Po chwili przyszedł tam jednak Catarella.*

*Zamknął drzwi i z tajemniczą miną wyznał mi, że chce mi coś powiedzieć, ale nie wie, czy dobrze robi. I opowiedział mi, że jego zdaniem przydarzyło się coś z Faziem.*

*Coś bardzo złego, bo Ty wydałeś mu się bardzo przejęty.*



*Od razu zrozumiałam, że jeśli zapomniałeś o naszym spotkaniu, to musiało się stać coś bardzo poważnego.*

*Wiem, jak bardzo jesteś przywiązany do Fazia.*

*Złość od razu mi przeszła.*

*Poszłam zjeść coś u Enza, a potem wróciłam taksówką do Marinelli. Około 18 zadzwoniłam do Catarelli. Dowiedziałam się, że dalej nic nie wiadomo i że jeszcze nie wróciłeś.*

*Pomyślałam sobie wtedy, że moja obecność tutaj może być dla Ciebie w jakiś sposób zawadą.*

*Zarezerwowałam lot na jutro rano o 10. Mam wielką nadzieję, że wszystko się dobrze skończy.*

*Trudno, odłożymy wakacje na kiedy indziej.*

*Jest mi przykro tylko z jednego powodu, że nie znalazłeś czasu, żeby do mnie zadzwonić i powiedzieć mi, co się stało.*

*Daj mi znać, czy z Faziem wszystko w porządku.*

*Ściskam Cię serdecznie*

*Twoja*

*LIVIA*

Lepiej już by było, gdyby Livia napisała do niego list pełen przekleństw, złośliwości i obelg. Nie czułby się teraz, całkiem słusznie, jak ostatni podlec. A może Livia napisała do niego z taką wyrozumiałością, żeby go upokorzyć? Bo nawet przyjmując, że niepokój o Fazia pozbawił go jasności umysłu, było rzeczą nie do wybaczenia, że nie zdobył się przynajmniej na telefon. Jak to możliwe, że tak zupełnie zapomniał o Livii? Czy to nie było absurdalne?

Nie tylko absurdalne – powiedział drugi Montalbano. – Prawda jest taka, że zupełnie zapomniałeś o Livii. Nie zadzwoniłeś, bo twój umysł był

przekonany, że nie masz nikogo, do kogo miałbyś dzwonić.

I niby dokąd zmierza ta twoja uwaga? – zapytał z irytacją pierwszy Montalbano.

Donikąd. Mówię tylko, że Livia jest obecna w twoim życiu z przerwami.

No dobrze, ale skoro akurat teraz jest w nim bardzo obecna, co twoim zdaniem powinienem zrobić?

Natychmiast do niej zadzwonić.

Montalbano postanowił jednak tego nie robić.

O tej godzinie była już w biurze, telefon musiałby być krótki i formalny. Nie, lepiej zostawić to na wieczór, kiedy będzie czas na długą rozmowę. Teraz najlepiej będzie pojechać od razu do Fiakki.

Zanim wsiadł do samochodu, zadzwonił jeszcze do pani Fazio.

– Jest na sali operacyjnej. Nie ma sensu teraz przyjeżdżać, nawet mnie do niego nie dopuszczają.

– Może pani zadzwonić do komisariatu, kiedy skończy się operacja? Będę pani bardzo wdzięczny za wiadomości.

## 7

Kiedy Catarella go zobaczył, o mało nie padł przed nim na kolana.

– O Matko najświętsza, panie komisarzu, od jakiego ja czasu pana nie widzę! Jaki ja jestem zboląły od pana niewidzenia! Wszystko Gallo mi zapowiedział! Ja rankiem dzisiejszym zatelefonilem do szpitala i Fazia żona mi powiedziała, że...

– Wszystko w porządku, Catarè. I dziękuję.

– A za co, panie komisarzu?

– Za porozmawianie z Livią.

Twarz Catarelli spłonęła ogniem.

– Panie komisarzu, ja się upraszam wybaczenia, że się ośmieliłem, ale ona panna, tak mi się zdała nadzwyczajnie znerwiona...

– Dobrze zrobiłeś, a teraz przyślij do mnie komisarza Augella.

– Masz wieści o Faziu? – zapytał na wstępie Mimì.

– Operują go.

– Gallo powiedział mi, że was nie rozpoznał.

– Nawet do nas strzelił! Ale zobaczysz, że dojdzie do siebie. Co Pasquano powiedział o tym drugim trupie?

– Nie znalazł żadnych śladów ran postrzałowych czy ciętych. Wrzucono go po prostu do studni, kiedy jeszcze żył. Myślę, że twoje przypuszczenie, że to Fazio go zepchnął, jest słuszne.

– Zidentyfikowaliście go?

– Jeszcze nie. Nie miał przy sobie dokumentów. Sądówka pobrała odciski palców, ale moim zdaniem na nic się im nie przydadzą.

– Myślisz, że nie ma go w kartotekach?

– Nie, ale popatrzyłem na jego rękę.

– Co masz na myśli?

– Kiedy spadał, musiał rozpaczliwie próbować się czegoś złapać. Opuszki palców są zupełnie zdarte.

– Dowiemy się więcej, kiedy Fazio będzie w stanie mówić. A co mi powiesz o tym drugim nieboszczyku?

– Tym, którego znaleźliśmy najpierw? Czekam na telefon z sądówki.

– Z Pasquanem rozmawiałeś?

– A kto się odważy? Jeśli spróbuję, to jeszcze skończy się awanturą.

– Ja do niego zadzwonię, ale późnym przedpołudniem.

– Słuchaj, nie chciałbym cię wkurzyć, ale...

– Ale co?

– Nie wypadałoby poinformować o sprawie Bonettiego-Alderighiego?

– Po co?

– Nie chciałbym, żeby się dowiedział od kogoś innego.

– Niby od kogo?

– Chociażby od jakiegoś dziennikarza.

– Zito nie puści pary z gęby.

– Zitowi można ufać. Ale zastanów się, Salvo. Fazio leży w szpitalu w Fiakce, pod własnym imieniem i nazwiskiem, z powodu rany postrzałowej w głowę. Wystarczy, że jakiś dziennikarz z Fiakki...

– Prawda.

– No i pamiętaj, że będziesz musiał wysłać Fazia na rekonwalescencję. Co

powiesz kwestorowi, że musi dojść do siebie po tyfusie?

- To też prawda.
- Ja bym się nie ociążał z telefonem.
- Zaraz to załatwię.

Wystukał numer bezpośredniego połączenia do kwestora i gdy tylko podniesiono słuchawkę, przełączył na zestaw głośnomówiący.

- Mówi Montalbano. Chciałbym...
- Mój drogi, co u pana słychać? Jak się miewa rodzinka?

To był ten kretyn Lattes, szef gabinetu kwestora. Wbił sobie kiedyś do głowy, że komisarz ma żonę i liczne potomstwo.

- Wszyscy zdrowi, dziękować Bogu.
- Niech będzie pochwalony! Chciał pan rozmawiać z panem kwestorem?
- Tak.
- Niestety, musiał pojechać do Palermo i wróci późnym popołudniem. Jeśli chce mi pan coś przekazać...

– Chciałem powiadomić pana kwestora, że jeden z moich ludzi został postrzelony w akcji i wobec tego...

- Czy poważnie?
- Nie.
- Dziękować Bogu!
- Niech będzie pochwalony! Przekáže pan to kwestorowi?
- Naturalnie! I proszę przekazać moje pozdrowienia rodzinie!
- Nie omieszkam.

Mimì, który wysłuchał całej rozmowy, patrzył na komisarza kompletnie otumaniony.

- Co ci jest?

– Masz żonę i dzieci?

– Nie gadaj głupot, Mimì.

– To dlaczego Lattes...?

– Potem ci to wytłumaczę, w porządku? A raczej wiesz co? Ponieważ nie mamy jeszcze wystarczająco dużo danych, aby zacząć działać, ty teraz wrócisz do swojego pokoju, a ja podpiszę tę kupę papierów na biurku.

Po dwóch godzinach, gdy od podpisywania rozboleło go prawe ramię, postanowił, że nadeszła pora, aby zadzwonić do Pasquana. Podniósł już słuchawkę, kiedy przyszło mu do głowy, że jeśli Pasquano będzie wkurwiony, co mu się często zdarzało, może wysłać komisarza do diabła i nic mu nie mówić o nieboszczyku. Lepiej było pojechać do szpitala i porozmawiać z lekarzem osobiście. Przed wyjściem z komisariatu komisarz zadzwonił jeszcze do Adeliny, powiedział jej, że Livia wyjechała i wobec tego Adelina ma zielone światło.

– Kto wie, w jakim stanie ta kobita zostawiła dom! – skomentowała złośliwie Adelina, która nigdy Livii nie przepuszczała.

– A w jakim go miała zostawić? W czystym!

– A bo pan to jest mężczyzna i różnych takich nie widzi. Do góry nogami wywrócony dom zawsze zostawia! A wie pan, gdzie ja raz znalazłam parę skarpetek paniusi? No, niech pan zgadnie!

– Adelino, nie mam ochoty bawić się w zagadki.

– No, może się zbiorę i zajrzę tam po obiedzie. A chce pan, żebym zrobiła coś na kolację?

– Oj, dobrze by było.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, zadzwonił telefon. To była żona Fazia.

– Wszystko w porządku, panie komisarzu. Operacja się udała, już jest

skończona. Powiedzieli mi, że około piątej będę się z nim mogła zobaczyć. Ale lekarze nie chcą, by mu zakłócać spokój wizytami. Najlepiej niech pan przyjedzie jutro rano.

– Dobrze. Ale jeśli chce pani odpocząć kilka godzin, może pani wrócić do Vigaty, wyślę...

– Dziękuję, jest ze mną moja siostra, proszę się nie martwić.

Komisarz wyszedł z gabinetu i przechodząc obok dyżurki Catarelli, powiedział mu:

– Dzwoniła pani Fazio. Operacja się udała, przekaż to wszystkim.

Parkował właśnie przed szpitalem, kiedy zobaczył doktora Pasquana, który stał obok bramy wejściowej i palił papierosa.

– Dzień dobry, panie doktorze.

– Skoro pan tak twierdzi.

Jak zawsze czarujący! Ale musiał być wkurzony umiarkowanie, skoro nie powitał komisarza obelgami.

– Nie wiedziałem, że ma pan nawyk.

– Jaki nawyk?

– Palenia.

– Nie mam go.

– Przecież pan pali!

– No tak, rozumowanie godne gliny!

– Niby jakie?

– Widzi pan człowieka w pojedynczym działaniu, tymczasem ten człowiek nie jest cały sobą w tym działaniu...

– Co pan robi, panie doktorze? Przekręca pan Pirandella? Wie pan, co panu powiem?

- Słucham.
- Gównu mnie obchodzi, czy pan pali, czy nie.
- To już lepiej. Założę się, że przyszedł pan zawracać mi dupę i zepsuć mi przyjemność wypalenia jedyne go papierosa, na którego sobie pozwalam dziennie.
- Zdaniem Amerykanów, nawet jeden papieros to już nawyk.
- Może pan sobie ich zdaniem tyłek podetrzeć.
- Tylko niech pana nikt nie usłyszy, bo jeszcze prezydent Bush każe spuścić na pana jakąś bombę! Ma pan dla mnie coś nowego?
- Ja? Niby co nowego miałbym panu powiedzieć? Miałem już do czynienia chyba z każdym rodzajem gwałtownej śmierci, do kolekcji brakuje mi jeszcze tylko ofiary napalmu.
- Chciałem się dowiedzieć czegoś o tych dwóch ciałach znalezionych w studniach.
- Niech pan sobie wyobrazi, że sam się tego domyśliłem. Nawet na chwilę nie przyszło mi do głowy, że wpadł pan zapytać o moje zdrowie.
- Zaraz to naprawię, jak pana zdrowie?
- Chwilowo nie mogę narzekać. Dziękuję za szczerą troskę. Od kogo zaczniemy?
- Od tego drugiego, młodszego.
- Tego świeższego, powiada pan? Ale on zginął, bo wrzucono go jeszcze żywego do studni.
- Miał jakieś obrażenia ciała?
- No i widzi pan, że na starość mózg się panu stępił? Facet spada trzydzieści metrów, obijając się po drodze o ściany studni, a pan mnie pyta, czy... Chce pan usłyszeć ode mnie przyjacielską radę?



– Jeśli to konieczne...

– Czemu pan po prostu nie przejdzie na emeryturę? Czy sam pan nie widzi, że ani górne, ani dolne partie nie działają już tak jak należy?

– Nie da się ukryć, panie doktorze, że nie przebiera pan w słowach.

– Jestem lekarzem. Lekarz powinien zawsze mówić prawdę.

– I pan to zawsze robi, także kiedy pan blefuje w pokerze?

– Kiedy gram w pokera, nie jestem lekarzem, jestem graczem. Nie widział pan tego nieboszczyka?

– Nie, musiałem się oddalić, zanim go wyciągnięto ze studni.

To było tylko częściowe kłamstwo. Ale najwyraźniej Augello nie powiedział Pasquanowi o tym, że Montalbano zemdłał, bo można sobie wyobrazić, jak pocziwy doktor by sobie na nim poużywał!

– Trzydziestolatek, zdrowy i krzepki, doskonały materiał na rekruta do diabelskich zastępów. Dożyłby setki, gdyby mu się nie przytrafił jakiś strzał czy inny incydent.

– A ten drugi?

– Ten drugi... pójdziemy do mojego gabinetu?

Weszli do środka i poszli do pokoju Pasquana. Doktor poprosił komisarza, żeby usiadł.

– Jak długo leżał w studni? – zaczął Montalabano.

– Co najmniej od tygodnia. To przyspieszyło proces rozkładu ciała. Musieli go tam wrzucić zaraz po dokonaniu zabójstwa. Powiem też panu, ale to tylko moja prywatna opinia, że zabicie go zajęło im trochę czasu. Tak na oko z pół dnia.

– Torturowali go?

– No cóż, nie jestem pewien, ale...

– Panie doktorze, w młodszym wieku miał pan więcej zdecydowania. Teraz nawet głos się panu trzęsie. Chce pan ode mnie przyjacielskiej rady? Dlaczego nie wycofa się pan z pracy, żeby od rana do wieczora grać partyjki w pokera? Chciałbym panu pomóc, bo naprawdę aż żal na pana patrzeć. Zapewniam pana, że nikomu nie potwórzę tego, co mi pan powie, choćby to były zupełne głupoty.

Pasquano zaczął się śmiać.

– Musi się pan zawsze odgryźć, prawda? No dobrze. Niech pan pamięta, że tego, co teraz mówię, nie napiszę w protokole z autopsji. Moim zdaniem, najpierw strzelili mu w stopę.

– Którą?

– A co to ma za znaczenie? W lewą.

– Najwyraźniej chcieli go zmusić do mówienia.

– Być może. Zostawili go tak na kilka godzin, potem popracowali nad nim nożem, miał rany cięte praktycznie na całym ciele, i na koniec zabili go pięcioma strzałami z pistoletu, trzema w pierś i dwoma w twarz.

– Uniemożliwili identyfikację ciała.

– Te pana komentarze doprowadzają mnie do szaleństwa! Czy sam pan nie widział, co z nim zrobili?

– Udało się panu ustalić, czy był ubrany, kiedy...

– Był już nagi, nie rozebrano go po śmierci.

– Kiedy strzelono mu w stopę, była goła?

– Zdziwiająco inteligentne pytanie, jak na pana. Tak, była goła. Zaskoczyli go we śnie, spał nago. Po dokonaniu zabójstwa owinęli go w koc, który był pod ręką.

Montalbano nie odzywał się przez chwilę.

- Wolno mi spytać, nad czym дума pański zwiędły mózg?
- Kiedy chce się kogoś zmusić do mówienia, na ogół nie strzela mu się w stopę. Przypala mu się rękę, wydłubuje mu oko... rany cięte pasują, ale ten strzał w stopę...
- Były bardzo zadbane.
- Kto?
- Stopy.
- Chodził często do pedikiuru?
- Tak sędzę.
- Zauważył pan jeszcze coś?
- Wiele lat temu miał operację prawej nogi. Znakomita robota.
- Co mu było?
- Zerwał sobie więzadło.
- To znaczy, że utykał?
- Niekoniecznie.
- Ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia?
- Tak.
- Słucham.
- Niech pan bierze dupę w troki.

Wracając do Vigaty, w pewnej chwili zorientował się, że jedzie setką, czego nigdy nie robił. Zwolnił, bo było dla niego jasne, że naciska na pedał gazu gnany wilczym apetytem, który naszedł go zaraz po wyjściu ze szpitala. Wpadł do trattorii w takim pośpiechu, że Enzo zapytał stroskany:

- Czy coś się stało?
- Nie, nic.

Usiadł przy tym samym stoliku co zawsze.

– Co mogę panu podać?

– Wszystko.

Obzał się nieprzyzwoicie, dobrze chociaż, że w lokalu nie było innych klientów, poza jakimś typem, który nie odrywał oczu od gazety opartej o butelkę.

Na koniec Enzo pogratulował mu:

– Zdrowie panu dopisuje, panie komisarzu!

– Dziękuję!

– Chce pan kropelkę na trawienie?

– Nie.

Nie zmieściłby w żołądku nawet kropli wody. Gdyby wypił kieliszek grappy, pękłby chyba jak ten tłuszcioch w filmie Monty Pythona.

Kiedy wsiadł do samochodu, nawet fotel kierowcy wydał mu się jakiś ciasny. Spacer na nabrzeże odbył małymi kroczkami, bo nie był w stanie iść szybciej. Kiedy doszedł wreszcie do płaskiego kamienia, usiadł, żeby odpocząć. Mimo iż w nocy spał długo, ogarnęła go wielka senność. Najwyraźniej jeszcze nie nadrobił braku odpoczynku w poprzednich dniach. Wrócił do samochodu, wsiadł i pojechał do Marinelli, żeby przespać się dwie godziny w łóżku.

Wrócił do komisariatu tuż przed piątą.

– Oj, panie komisarzu, panie komisarzu! Jako że sądówka usłała fotografię jednego z onych nieboszczyków w studni wynalezionych w martwym stanie, to ja narobiłem poszukiwanie między osobami, które były sygnalizowane jako zaginione.

– I co?

– I nic, panie komisarzu, nie znajduje się.

– O tym drugim nic ci nie powiedzieli?

– Nie, panie komisarzu.

– Sprawdź, czy wśród zaginięć zgłoszonych w ostatnim tygodniu nie ma sześćdziesięciolatka, który był operowany na prawą nogę.

– Natychmiastowo się zrobi, panie komisarzu.

– Na razie przyślij mi Fazia.

Catarella popatrzył na komisarza okrągłymi oczami.

– Przepraszam, chciałem powiedzieć Galluzza.

Taka była siła nawyku, że... niespodziewanie poczuł ostre ukłucie melancholii.

– Słucham, panie komisarzu.

– Gallù, musisz sprawdzić, ile jest gabinetów, punktów, no, miejsc, w których wykonuje się pedikiur w Vigacie i Montelusie. Zbierz też informacje, czy są pedikiurzyści, którzy przychodzą do domu.

– Tak jest. A potem?

– Potem odwiedzisz ich po kolei i będziesz pytać, czy wśród ich klientów jest sześćdziesięciolatek, który może trochę utyka.

– Nie mógłby pan opisać go trochę dokładniej?

– A ty umiałbyś opisać dokładniej trupa z pierwszej studni?

Ledwie wyszedł Galluzzo, zadzwonił telefon.

– Żadnego znaleziska operowanych sześćdziesięciolatek, panie komisarzu – zameldował Catarella.

Poruszali się więc w ciemnościach i nie mogli liczyć na trochę światła, dopóki Fazio nie będzie w stanie opowiedzieć tego, co mu się przydarzyło.

Bezradność doprowadzała Montalbana do wściekłości, tak musieli się czuć kapitanowie żaglowców, kiedy cichł wiatr i statki były unieruchomione na pełnym morzu. Komisarz przypominał sobie stary rozkaz we flocie Burbonów, który wydawano, kiedy po wielu dniach ciszy morskiej trzeba było rozruszać załogę, żeby nie umarła z nudów: „Na mój rozkaz robimy zmianę/ ci z rufy przechodzą na dziób/ ci z dzioba przechodzą na rufę/ ci pod pokładem wchodzą na pokład/ ci na pokładzie schodzą pod pokład”. Wielkie manewry, które niczemu nie służyły, były ruchami pozbawionymi wszelkiego sensu. W gruncie rzeczy ten stary rozkaz był idealną metaforą biurokracji, bezsensownego obiegu dokumentów tam i z powrotem, bez żadnego celu. Montalbano postanowił przyczynić się do stworzenia ruchu w tym obiegu i zaczął podpisywać papiery, które piętrzyły się jeszcze na jego biurku. Czy to możliwe, że nigdy się nie kończyły? Naszło go podejrzenie, że mnożą się automatycznie, tak jak te komórki, które przy podziale zmieniają się w dwie nowe. I rzeczywiście, niektóre dokumenty były takie same, identyczne w każdym szczególe, zmieniała się tylko data i numer protokołu.

Pani Fazio zadzwoniła około szóstej.

– Pozwolili mi go zobaczyć! Od razu mnie rozpoznał! Ale pierwsza rzecz, którą powiedział, to że chce zobaczyć szefa. No więc wezwałam szefa oddziału i mój mąż się zdenerwował. To pana chciał zobaczyć!

– Powiedziała mu pani, że jutro rano przyjadę go odwiedzić?

– Tak.

Ani się spostrzegł i zrobiła się ósma. Zdecydował, że pora się zwinąć. Nie dlatego że zgłodniał, w południe wchłonął całe tony jedzenia, ale znudziło mu się siedzieć w pracy.

Przeszedł koło dyżurki, pożegnał się i kiedy otwierał samochód, kątem oka zobaczył, że Catarella wypada z budynku i biegnie pędem w jego kierunku.

– Co się stało?

– Oj, panie komisarzu, panie komisarzu! Pan kwestor na telefonie jest osobiście we własnej osobie. O Matko Boska, panie komisarzu, ale on jaki ma głos, pan kwestor!

– No jaki?

– Jak lew ryczący w dżungli, taki ma!

## 8

Przeklinając pod nosem, komisarz wrócił do gabinetu i gdy tylko powiedział „halo” do słuchawki, zalał go potok gniewnych słów kwestora.

– Pan chyba zupełnie zwariował! To się w głowie nie mieści! To jakiś dom wariatów!

– Przecież je zlikwidowali?

Wymknęło mu się, na szczęście kwestor nawet go nie usłyszał.

– Dochodzi do wymiany strzałów, jeden z naszych ludzi zostaje ranny, na szczęście niegroźnie, a pan uważa, że wystarczy telefon do Lattes! To się w głowie nie mieści!

– A do kogo miałem zadzwonić, skoro pana nie było?

– No dobrze, ale powinien pan być przynajmniej zostawić mi na biurku szczegółowe sprawozdanie! Proszę tu natychmiast przyjechać, czekam na pana.

Nie mógł tego zrobić, bo gdyby kwestor zaczął wypytywać, w jakich okolicznościach i dlaczego Fazio został postrzelony, za cholerę nie wiedziałby, co mu odpowiedzieć.

– Teraz niestety nie mogę, panie kwestorze.

– Proszę posłuchać, to jest rozkaz...

– Dopiero co miałem telefon ze szpitala, że mój człowiek, Fazio, odzyskał przytomność i...

– To proszę przyjechać zaraz po wizycie w szpitalu.

– Kiedy szpital jest w Fiakce!



– A co to znowu za historia? Fiacca nie znajduje się w zasięgu naszej jurysdykcji. Dlaczego tam go pan kazał zawieźć?

– Bo znaleźliśmy Fazia w pobliżu Fiakki i...

– Jak to, znaleźliście? Co to ma znaczyć?

– Panie kwestorze, to skomplikowana historia.

– Wobec tego przyjedzie mi pan opowiedzieć jutro rano, o dziewiątej.

Uff, ależ się uparł. Trzeba było wymyślić jakąś bajeczkę.

– Bardzo mi przykro, panie kwestorze, ale o dziewiątej naprawdę nie mogę.

– Pan sobie żartuje, prawda?

Montalbano zniżył głos i wyszeptał konspiracyjnie do słuchawki:

– Chodzi o bardzo delikatną kwestię, nie chciałbym...

– Niech pan to odłoży!

– Nie mogę, naprawdę, proszę mi wierzyć! Doktor Gruntz przyjeżdża specjalnie z Zurychu!

– Co to za doktor?

– Specjalista od tych spraw.

– Od jakich spraw?

W tym był sęk. W jakiej dziedzinie mógł się specjalizować szwajcarski lekarz o nazwisku Gruntz? Lepiej nie wdawać się w szczegóły. Zmącić jeszcze bardziej wody, nie odpowiadając bezpośrednio na pytanie.

– O dziewiątej przyjedzie do mnie do domu, wykonać zabieg podwójnego scrocsona, którego efekty, jak pan na pewno wie, trwają od trzech do pięciu godzin. Będę więc musiał pozostać wyciągnięty nieruchomo na łóżku. Wczesnym popołudniem na pewno będę się już mógł u pana stawić.

– Przepraszam, jak się nazywa ten zabieg, który ma wykonać doktor

Gruntz? – spytał kwestor, najwyraźniej pod wrażeniem.

– Podwójny scrocson.

– A czemu to służy?

Jaki cel mógł mieć zabieg o tak imponującej nazwie? Montalbano uraczył kwestora pierwszą bajeczką, jaką mu ślina na język przyniosła.

– Jak to, nie wie pan? To zabieg opracowany przez zachodnią medycynę na podstawie praktyki stosowanej przez hinduskich znachorów. Chodzi o plastikową rurkę, którą wprowadza się do odbytu i umiejętnie nią manewrując, wypuszcza...

– Już wystarczy, bardzo proszę. Czekam na pana jutro o szesnastej – przerwał mu Bonetti-Alderighi z wyraźnym obrzydzeniem.

Kiedy komisarz wrócił do Marinelli, ze słońca została już tylko wąska czerwona linia nad horyzontem morza. Fale odbijały się łagodnie od brzegu. Nie było widać ptaków. Chociaż wcześniej nie był głodny, rozmowa z kwestorem zaostriła mu apetyt. Być może była to jakaś forma kompensacji. Przeczytał gdzieś, że w dawnych czasach, po ustąpieniu epidemii dżumy, ludzie obżerali się i spółkowali bez umiaru. Ale czy można było porównywać Bonettiego-Alderighiego do epidemii dżumy? Rozważywszy problem, komisarz uznał, że może nie była to dżuma, ale cholera na pewno tak. Kiedy Montalbano otworzył lodówkę, poczuł się, jak gdyby odkrył jakąś grootę z legendarnym skarbem zbójców. Adelina przeszła samą siebie. Bakłażany po parmeńsku, makaron z kielbasą, caponata, pulpeciki z bakłażanów, ser z Raguzy i oliwki. Widać na targu nie było świeżych ryb. Montalbano nakrył stół na werandzie i podczas gdy bakłażany i makaron podgrzewały się w piekarniku, wypił za zdrowie Fazia dwa kieliszki zmrożonego białego wina. Kiedy poszedł zatelefonować do Livii,

minęły trzy godziny, odkąd zasiadł do kolacji.

Tej nocy nie spał dobrze.

O wpół do dziewiątej rano, kiedy miał ruszyć do Fiakki, przyszło mu do głowy, że zanim dotrze do szpitala, jadąc ze swoją zwykłą szybkością, którą Livia nazywała z irytacją tempem statku spacerowego, Fazia wypuszczą już do domu. Wobec tego zadzwonił do komisariatu.

– Oj, stało się coś, panie komisarzu, co się stało? – spytał Catarella, od razu przestraszony.

– Nic się nie stało, uspokój się. Powiedz Gallowi, żeby przyjechał po mnie do Marinelli, pojedziemy do szpitala do Fiakki.

– Natychmiastowo, panie komisarzu.

Prawda była jednak taka, że nie czuł się na siłach prowadzić, zanadto był podenerwowany; ciekawość, co też mu opowie Fazio, zżerała go żywcem. Nie opuściła go od chwili, gdy położył się do łóżka, i w rezultacie spędził niespokojną noc, snując przypuszczenia i hipotezy, wszystkie pozbawione jakichkolwiek solidnych podstaw.

Po dziesięciu minutach usłyszał wycie syreny zbliżającego się z wielką szybkością radiowozu. No jasne, tak jakby Gallo mógł odmówić sobie przyjemności włączenia syreny!

Przyglądał mu się zawsze, gdy musieli gdzieś razem szybko dotrzeć; Gallo prowadził ze swobodą, zrelaksowany, miał doskonały refleks i siedzenie za kółkiem najwyraźniej sprawiało mu przyjemność. Od czasu do czasu, jakby nie zdając sobie z tego sprawy, zaczynał nucić pod nosem piosenkę dla dzieci *La beddra Betta / cu 'na quasetta...* Komisarz zrozumiał nagle, że prowadząc samochód z obłądną szybkością, Gallo gubił po drodze ze trzydzieści lat i znowu stawał się dzieckiem.

– Miałeś jako dziecko samochód na pedały? – spytał komisarz, gdy ruszali do Fiakki.

Gallo popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Dlaczego pan pyta?

– Tak sobie, z ciekawości.

– Nie, nigdy. Marzyłem o nim, ale mój ojciec nie mógł sobie pozwolić na kupienie takiej drogiej zabawki, brakowało mu pieniędzy.

Może to dlatego... komisarz od razu zawstydził się myślą, która przyszła mu do głowy, to znaczy, że upodobaniem do szybkiej jazdy Gallo wynagradzał sobie to, czego zabrakło mu w dzieciństwie. Typowe rozumowanie rodem z amerykańskich filmów, w których wmawia się widzom, że jakiś typ stał się gwałcicielem, bo jego ojciec molestował go, kiedy był dzieckiem.

Gdy Montalbano był młodszy, nigdy nie pomyślałby czegoś takiego. Widocznie na starość mózg wiądnął mu tak samo jak mięśnie i skóra... Zerknął na szybkościomierz, strzałka wskazywała 170.

– Nie jedziesz trochę za szybko?

– Chce pan, żebym zwolnił?

Już miał przytaknąć, ale z drugiej strony zależało mu, żeby jak najszybciej dotrzeć do Fiakki.

– Nie, ale uważaj, nie chcę skończyć w szpitalnym łóżku obok Fazia.

Komisarz miał zwyczaj gubić się w szpitalach. I pomyśleć, że robił wszystko, aby uniknąć tego przekleństwa. Przy wejściu informował się dokładnie, którą windą pojechać, na którym piętrze wysiąść, na który oddział pójść... a potem na krótkim odcinku od stanowiska informacyjnego do windy wszystko zapominał. Wsiadał do windy A zamiast do windy B i w rezultacie

docierał na oddział neurochirurgii zamiast na traumatologię. Wtedy zaczynał od nowa swoją drogę krzyżową, żeby znaleźć właściwy oddział, otwierał przypadkowe drzwi i natykał się na gołych pacjentów, którzy obrzucali go obelgami...

Także tym razem tradycji stało się zadość. Błądził z pół godziny, zagubiony i spocony, po korytarzach, kiedy ulitowała się jakaś pielęgniarka pod trzydziestkę, wysoka blondynka o niebieskich oczach i niewiarygodnie długich nogach, jakie miewają tylko aktorki w serialach telewizyjnych o szpitalach. Spotkała go już po raz drugi na korytarzu, rozglądającego się dookoła z miną nieszczęśliwego uchodźcy z Burundi, i spytała:

– Szuka pan kogoś?

– Tak.

– Jeśli mi pan powie, dokąd chce pan trafić, zaprowadzę tam pana.

Montalbano wyraził w duchu życzenie, aby za życia ta czarująca istota wygrała światowy konkurs na miss pielęgniarek, a w chwili śmierci została przyjęta do raju w trybie ekspresowym. Pielęgniarka zostawiła go przed zamkniętymi drzwiami pokoju, w którym leżał Fazio.

Komisarz zapukał dyskretnie, ale nikt nie odpowiedział. Już i tak zdenerwowany, oblał się zimnym potem. Czy to możliwe, żeby Fazio przeniesiono do innego pokoju?

Od kogo mógł się dowiedzieć, gdzie go przetransportowano? Może najpierw powinien sprawdzić, czy pokój jest pusty. Położył ostrożnie rękę na klamce jak złodziej, który nie chce robić hałasu, kiedy drzwi otworzyły się od środka i na progu pojawiła się żona Fazio.

– Co się stało? – spytał niespokojnie Montalbano.

Pani Fazio miała ciemne sińce pod oczami, komisarzowi wydało się też, że od czasu kiedy widział ją po raz ostatni, przybyło jej siwych włosów.

– Chciałam panu powiedzieć, że mąż nie spał dobrze w nocy. Miał koszmary. Ordynator powiedział, że nie wolno mu rozmawiać z panem dłużej niż pięć minut. Proszę mi wybaczyć, ale...

– Rozumiem doskonale. Proszę się nie martwić, przyrzekam, że go nie zmęczone.

W tej samej sekundzie u boku pani Fazio pojawiła się karłowata pielęgniarka, która nie odzywając się ani słowem, obrzuciła komisarza złym wzrokiem, a potem popatrzyła wymownie na zegarek.

– Ma pan pięć minut od tej chwili – oświadczyła.

Co to ma być, bieg na czas?

Pani Fazio otworzyła mu drzwi i cicho zamknęła je za jego plecami. Zrozumiała, że komisarz chce porozmawiać z jej mężem sam na sam. Co za kobieta!

Fazio spał czy może odpoczywał z zamkniętymi oczami. Spod prześcieradeł wystawała tylko jego głowa, która przypominała głowę lotnika z początku dwudziestego wieku, kiedy nosiło się pilotkę zakrywającą uszy i szyję i zostawiającą odkrytą tylko twarz. Jedyna różnica polegała na tym, że głowa Fazio była spowita bandażem.

Montalbano odniósł wrażenie, że skóra między kośćmi policzkowymi i ustami była naciągnięta, jak gdyby nie było pod nią ciała. Może to był tylko efekt opatrunku. Obok łóżka stało metalowe krzesło. Montalbano usiadł na nim ostrożnie. Co miał zrobić? Budzić chorego czy pozwolić mu spać? Trawiąca go ciekawość walczyła z wielkim przywiązaniem do Fazio. Jeśli nawet dochodzenie miało się opóźnić o jeden dzień, to może nie wynikłaby z tego wielka szkoda. W tej samej chwili Fazio otworzył oczy i rozpoznał Montalbana.

– Panie komisarzu... – odezwał się głuchym i zmęczonym głosem,

w którym czuło się jednak prawdziwą radość.

– Cześć – powiedział wzruszony Montalbano.

I wziął w swoje ręce dłoń, którą Fazio wysunął spod prześcieradeł. Siedzieli tak przez chwilę, nic nie mówiąc, ciesząc się wzajemną bliskością. W końcu Fazio odezwał się:

– Jeszcze nie przypominałem sobie wszystkiego.

– Opowiesz mi, kiedy ci wróci pamięć. Nie ma pośpiechu.

Fazio nie chciał się poddać.

– Zaczął do mnie dzwonić taki jeden znajomy... w młodości był tancerzem... chodziliśmy razem do szkoły...

– Jak się nazywał?

– Chyba na M.

Montalbano doznał olśnienia, zawahał się chwilę i strzelił na ślepo.

– Manzella?

Komisarz zobaczył wyraźnie wstrząs zdziwienia na twarzy Fazia.

– Tak! To on! Jaki pan inteligentny!

– Czego od ciebie chciał?

Fazio zamknął oczy. I w tej chwili, jak na sygnał, otworzyły się drzwi i weszła karlica.

– Rozmowa skończona!

Nawet w Sing-Sing nie byli chyba tacy rygorystyczni i upierdliwi.

– Jest pani pewna, że pani zegarek dobrze chodzi?

– Co do sekundy. Proszę wyjść!

Wstał i umyślnie ruszył do wyjścia noga za nogą, żeby jej zrobić na złość. Kiedy ją mijał, spytał:

– Kiedy mogę wrócić?

– Wizyty są dozwolone codziennie po południu od szesnastej do siedemnastej.

– Ile mi pani da czasu?

– Pięć minut.

– Może być dziesięć?

– Siedem.

No cóż, lepsze to niż nic.

W korytarzu czekała pani Fazio, oparta o ścianę.

– Nie może pani poprosić o krzesło?

– To zabronione. Ale zaraz wrócę do środka. Porozmawialiście?

– Tak. Bardzo krótko. Wydał mi się jeszcze słaby.

– Lekarze mówią, że nie ma niebezpieczeństwa. Jego stan powinien się polepszać. Kiedy pan wróci?

– Dzisiaj po obiedzie, o czwartej.

Doszedł do końca korytarza i zatrzymał się, niepewny, czy skręcić w lewo, czy w prawo. Którędy tutaj przyszedł? Wydawało mu się, że chyba z lewej strony. Skręcił w korytarz, który nie miał końca. Wszystkie drzwi były zamknięte, ale w połowie drogi zobaczył windę. Wsiąść czy nie wsiąść? Musiał do niej wsiąść z konieczności, bo architekt, który projektował szpital, najwyraźniej zapomniał o schodach. Drzwi otworzyły się, Montalbano wszedł do środka i od razu zobaczył, że nie ma guzika 0, czyli parteru. Były tylko trzy guziki 4, 5 i 6. Musiała to być winda służbowa, która obsługiwała tylko te trzy piętra. Tymczasem drzwi się zasunęły i Montalbano nacisnął na chybił trafił guzik z numerem 5. Przygnębiła go myśl o tym, ile się jeszcze będzie musiał błąkać, zanim zdoła znaleźć wyjście. Winda zatrzymała się, drzwi się rozsunęły i komisarz ujrzał przed sobą pielęgniarkę, która wcześniej doprowadziła go do pokoju Fazia. Zrozumiała w lot, że



Montalbano znowu się zgubił, a on z trudem się powstrzymał, aby jej nie uściskać.

– Może mi pani zdradzić tę tajemnicę: jest pani moim aniołem stróżem, prawda? – zapytał, wychodząc z windy.

– Na pewno nie, ale mogę go na chwilę zastąpić.

– Odprowadzi mnie pani do wyjścia?

– Mogę pana tylko odprowadzić do właściwej windy.

– Dziękuję. Może mi pani powiedzieć, jak ma na imię?

– Angela.

– No i widzi pani, że miałem rację?

– A pan?

– Salvo. Salvo Montalbano. Jestem komisarzem policji.

Dziewczyna zaczęła się śmiać.

– No świetnie!

– Dlaczego?

– Komisarz policji gubi się w szpitalu!

– Zawsze mi się to zdarza. Proszę posłuchać, muszę tu wrócić o czwartej po południu. Będzie tu pani jeszcze?

– Tak.

– Mogłaby mi pani oddać przysługę?

– O co chodzi?

– Mogłaby pani poczekać na mnie przy wejściu?

– Co to ma być, randka?

– Nie, rozpaczliwa prośba o pomoc.

Angela znowu zaczęła się śmiać, nie odpowiedziała ani twierdząco, ani przecząco.

– Jak się czuje Fazio? – spytał Gallo, gdy komisarz wsiadał do samochodu.

– Jeszcze trochę słaby, ale już jest lepiej. Wrócimy tu dzisiaj po obiedzie o czwartej, więc bądź gotów do wyjazdu o wpół do trzeciej. A teraz bardzo proszę, nie gazuj tak.

– Jak to? W tę stronę było można, a teraz nie?

– Gallo, nie kłóć się ze mną. Rób, co mówię. Jeszcze lepiej zadzwoń do Catarelli i poproś go, żeby powiedział wszystkim, że odwiedziłem Fazia i że przychodzi do siebie. W ten sposób kiedy wrócimy, nikt nie będzie mi zawracał dupy pytaniami.

– Panie komisarzu, sytuacja przedstawia się tak – zaczął Galluzzo, siadając na krześle i wyciągając z kieszeni karteczkę. – W Vigacie znajdują się dwa gabinety pedikiuru oraz podolog, który...

– To nie to samo?

– Nie, panie komisarzu. „Butik stóp”, pierwszy gabinet, ma jednego sześćdziesięcioletniego klienta. Zapisałem sobie na kartce imię, nazwisko i adres. Drugi punkt, który nazywa się „Stopa w raju”, nie ma klientów mężczyzn.

– A podolog?

– Ma czterech klientów w wieku około sześćdziesięciu lat, zapisałem sobie wszystkie nazwiska i adresy.

– Sprawdziłeś też Monteluse?

– Straciłem wczoraj dużo czasu, czekając na podologa, który gdzieś krążył w swoich sprawach. Pojadę tam teraz.

– Przyślij mi komisarza Augella i zostaw mi tę kartkę.

Kartkę przekazał następnie Augellowi, gdy tylko ten stawiał się u niego

w gabinecie. Mimì wziął karteluszek, ale nawet na niego nie spojrzał.

– Rozmawiałeś z Faziem?

– Tak.

– Co ci powiedział?

– Prawie nic. Że skontaktował się z nim niejaki Manzella, były tancerz, jego kolega ze szkoły.

– Czego chciał?

– Fazio nie zdołał mi powiedzieć. Był zbyt słaby i przerwano nam rozmowę. Wracam tam o czwartej.

Mimì popatrzył w końcu na kartkę.

– Ja bym ci polecał „Butik”, byłem tam kilka razy – powiedział.

– Mimì, nie proszę cię o porady co do pedikiuru. Widzisz to nazwisko obok i następne cztery pod podologiem? No więc masz odwiedzić tych wszystkich klientów.

Augello popatrzył na niego zdziwiony.

– Ale po co?

– Pasquano powiedział mi, że trup, którego wyciągnęli z pierwszej studni, miał bardzo zadbane stopy.

– Może pielęgnował je w domu.

– A może nie. Jeśli znajdziesz wszystkich w domu, tym lepiej dla nich, tym gorzej dla nas. Ale jeśli któryś z nich od tygodnia nie daje znaku życia, to trzeba będzie zbadać, kim był i co robił. Jasne?

– Jak słońce.

– Powodzenia.

Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie. Powórzył sobie w myślach to, co

miął zamiar powiedzieć, najważniejsze zdanie wymówił głośno, aby posłuchać, czy dobrze brzmi. Kiedy uznał, że jest przygotowany do roli, wziął do ręki słuchawkę i zadzwonił do kvestora.

## 9

Odezwał się drżącym głosem, który miał sprawiać wrażenie, że znajduje się na łożu śmierci.

– Mówi Montalbano.

– O co chodzi?

Odetchnął głęboko i zakaszłał lekko.

– Montalbano, co się dzieje?

Kolejne kasznięcie.

– Proszę mi wybaczyć, to odruch wymiotny.

– Na litość boską!

– Bardzo mi przykro, ale doktor Gruntz zdecydował się wykonać superscrocsona. Nie można było tego uniknąć. Prosiłem go, żeby zrezygnował, ale on zamiast podwójnego uparł się na super! Rozumie pan? Powiedział, że pilnie go potrzebowałem.

– Ale co to oznacza?

– To znaczy, że efekt trwa dwa razy dłużej, czyli do wieczora.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Nie jestem w stanie się ruszyć.

– Mówi mi pan, że dzisiaj po południu nie będzie pan mógł przyjechać?

– Przykro mi, ale...

– Proszę posłuchać, albo pan przyjedzie sam, albo wyślę po pana karetkę!

– Panie kwestorze... tu nie chodzi o karetkę, tylko o kontrolę ciała, nie

wiem, czy jasno się wyraziłem?

– Nie.

– Nie mogę się oddalać od ustronnego miejsca...

Dlaczego, kiedy plółł duby smalone, często przychodziły mu do głowy takie wyrafinowane wyrażenia?

– ...na dłużej niż pięć minut. Superscroson działa piorunująco, nie da się tego inaczej określić. Proszę sobie wyobrazić, że wydałem guzik, który połknąłem w dwa tysiące pierwszym roku! I nie tylko guzik, ale także...

– Już dobrze, czekam na pana jutro o dziewiątej rano – przerwał mu kwestor, któremu chyba też zaczęło się zbierać na wymioty.

Jakim cudem kwestor potrafił przełknąć takie tanie łgarstwo? Może dlatego, że uważał komisarza za poważnego człowieka, być może trochę gapę, ale kogoś niezdolnego do podobnych podstępów. Czy Montalbano powinien się tym martwić, czy chlubić? Zostawił to pytanie w zawieszeniu i poszedł na obiad.

Kiedy wszedł do restauracji, był już porządnie głodny. Apetyt zaostrzyła mu jeszcze miła myśl, że chwilowo uwolnił się od konieczności złożenia wizyty kwestorowi.

– Przed chwilą dzwonił z Montelusy kwestor – powiedział Enzo z konspiracyjną miną.

– Pytał o mnie? – zdziwił się i zezłościł zarazem Montalbano.

A zatem kwestor nie uwierzył, że komisarz jest w domu, unieruchomiony efektem superscrosona! Na szczęście Enzo zaprzeczył.

– Nie. Będzie tu na obiedzie. Przyjechali do niego przyjaciele, którzy mają ochotę na świeżą rybę. Zarezerwował stolik dla sześciu osób.

– Kiedy się zjawi?

– Za pół godziny.

Montalbano zaklął i podskoczył do góry, jak gdyby zobaczył żmiję na krześle. Można sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby kwestor zastał go w restauracji, objadającego się barwenami i dorszami. Wszcząłby dochodzenie albo i wyrzucił komisarza z pracy, a może naprawdę poddałby go zabiegowi superscrocsona!

Podjął szybką i nieuniknioną decyzję.

– To ja idę.

– Ale gdzie pan zje?

– Wolę pościć, niż spotkać kwestora.

– Panie komisarzu, posadzę pana w drugiej salce i nie pozwolę tam nikomu wejść!

– No dobrze, ale jak wyjdę, kiedy już skończę?

– Proszę się nie martwić, wszystko załatwię, z tyłu jest drugie wyjście.

Komisarz skończył właśnie spaghetti z małżami, kiedy otworzyły się drzwi i Enzo wsadził głowę do środka:

– Przyszedł – powiedział.

Zniknął, żeby wrócić zaraz z barwenami. Komisarz zjadł je z większym smakiem niż zwykle, właśnie dlatego że rozkoszował się nimi o dwa kroki od kwestora, który był przekonany, że Montalbano leży w łóżku i doświadcza największej sraczki w swoim życiu.

Równy o wpół do trzeciej ruszył z Gallem do Fiakki. Tym razem własnym samochodem, bo rano przyszło zalecenie kwestora, który kazał oszczędzać benzynę.

Niecałe trzy kilometry przed miastem natknęli się na blokadę policyjną na

drodze. W kolejce stało już z dziesięć samochodów, można było w niej stracić pół dnia. Gallo ustawił się na końcu.

– Mówimy, kim jesteśmy? – spytał.

– Nie – odpowiedział Montalbano.

Biorąc uwagę stan techniczny jego samochodu, gdyby karabinierzy dowiedzieli się, że jadący nim są w dodatku policjantami, na pewno poszliby na całość. Wlepiliby mu taki mandat, że i dwiema pensjami by go nie spłacił. Po dłuższej chwili zbliżył się do nich jeden z karabinierów i gdy tylko zobaczył, kto siedzi za kierownicą, uśmiechnął się.

– Cześć, Gallo.

– Cześć, Tumminello.

Montalbano poczuł się pewniej: skoro ci dwaj byli kumplami, nie było obaw, że stracą czas na biurokratyczne ceregiele.

– Po co ta blokada? – spytał Gallo.

– Kazali nam szukać niskiego, tęgiego mężczyzny z blizną na lewym policzku, jadącego z Fiakki.

Komisarz nie mógł się powstrzymać od komentarza. Zwrócił się do karabiniera z uśmiechem, który bez wątpienia mógł zostać uznany za arogancki.

– Przepraszam, ale jeśli macie znaleźć kogoś, kto opuszcza Fiakkę, to dlaczego zatrzymujecie nas, którzy tam jedziemy? Może powinniście zrobić w tył zwrot i sprawdzać drugą stronę szosy. W przeciwnym razie można odnieść wrażenie...

Zatrzymał się w porę. Co go podkusiło, żeby otworzyć tę przeklętą gębę? Zobaczył, że Tumminello zmienił się na twarzy.

– Kim pan jest? – spytał karabinier.

– Księgowy Muscetta.



– To mój przyjaciel, który poprosił mnie o... – próbował ratować sytuację Gallo.

Tamten nawet go nie usłyszał i zwrócił się znowu do Montalbana:

– To pańskie auto?

– Tak.

– Proszę skończyć zdanie, które pan zaczął.

Cholera, wdepnął w gówno!

– Które? Ja nie powiedziałem nic, co...

– Nie. Powiedział pan „w przeciwnym razie można odnieść wrażenie...”. Proszę, niech pan skończy.

– No cóż, miałem na myśli, że w przeciwnym razie można odnieść wrażenie, że znajdujemy się w świecie na opak, że tak powiem.

– Nie, chciał pan powiedzieć „w przeciwnym razie można odnieść wrażenie, że odgrywamy na żywo jeden z dowcipów o głupich karabinierach”. Czy nie tak?

– Ależ skąd, nigdy bym sobie nie pozwolił...

– Nie pozwoliłby pan sobie? Właśnie pan, drogi panie komisarzu?

Montalbano skamieniał.

– Możecie jechać – powiedział oficer.

To znaczy, że karabinier od razu go rozpoznał i tylko robił sobie z niego żarty! Tymczasem Tumminello dał znać kolegom, żeby przepuścili samochód. Przez dziesięć minut jechali w milczeniu, po czym Montalbano odezwał się:

– Naprawdę chciałem powiedzieć coś o głupich karabinierach. Swoją drogą bystry chłopak z tego Tumminella.

– Zrobi karierę. Kończy studia prawnicze.

Przejechali koło następnej blokady drogowej, gdzie zatrzymywano samochody jadące z Fiakki.

– Widzisz, że miałem rację? – powiedział Montalbano do Galla. – Ta pierwsza blokada nie miała żadnego sensu.

– Panie komisarzu, zna pan historię Michele Misuraki, która zdarzyła się w Fiakce sześć miesięcy temu?

– Nie.

– Michele Misuraca zaskoczył swoją zamężną córkę w łóżku z kochankiem. Ponieważ zięć był w Niemczech, do niego należało załatwienie sprawy. Zabił dziewczynę strzałem z pistoletu. Kochankowi udało się uciec. Misuraca wsiadł do samochodu i wyjechał z Fiakki, zanim karabinierzy zdążyli zorganizować blokadę szosy. Potem zawrócił i policja go nie zatrzymała, bo sprawdzali tylko samochody jadące z Fiakki. Wjechał spokojnie do miasteczka, odnalazł kochanka i oddał się w ręce policji.

Montalbano powstrzymał się od komentarza.

Gallo nadrobił czas stracony na miejscu blokady i na kilka minut przed czwartą komisarz znalazł się w hallu wejściowym szpitala.

Zrobił kilka kroków i zatrzymał się, bo naszły go wątpliwości, czy windy znajdowały się na lewo, czy na prawo?

– Panie komisarzu!

Odwrócił się. To była ta pielęgniarka, Angela. Komisarzowi aż serce zabiło z radości.

– Jest pani naprawdę bardzo miła, nie sądziłem, że...

– ...przyjdę? Rzeczywiście nie miałam zamiaru, ale potem zmieniłam zdanie.

– Dlaczego?

– Bo po całym zamieszaniu w szpitalu pomyślałam, że beze mnie nie

odnajdzie pan swojego przyjaciela.

– Ale co się stało?

– Jakieś dziesięć po pierwszej, gdy wyproszono już wszystkich gości, zauważono obcego mężczyznę, który krążył po czwartym piętrze, otwierając po kolei wszystkie pokoje, jak gdyby kogoś szukał.

– Trochę tak jak ja.

– Owszem, ale pan na pytanie pielęgniarza nie zareagował ucieczką z pistoletem w ręku.

– Użył go?

– Nie.

– Złapali go?

– Biegli za nim, zobaczyli, że wypada ze szpitala, przebiega przez parking i znika na polach.

– Ten mężczyzna był niski i tęgi?

– Tak, skąd pan wie?

– Powiedzieli mi to karabinierzy przy blokadzie na szosie. Co się stało potem?

– Policja kazała przenieść wszystkich pacjentów z czwartego piętra na szóste, które nie jest jeszcze oficjalnie otwarte i łatwiej go pilnować.

Czy to możliwe, że ten mężczyzna zjawił się, aby zamordować Fazia? Oczywiście że tak, ilu mafijnych bossów zostało zastrzelonych w czasie pobytu w szpitalu? Komisarz musiał się jednak upewnić.

– Macie tu w tej chwili jakichś ważnych pacjentów?

– Posła Frincanata i sędziego Filippone. Obaj są zaangażowani w działania antymafijne. Jeden ma złamaną nogę, drugi pękniętą miednicę. Jechali razem samochodem, który zderzył się z tirem. Obaj otrzymywali listy z pogróżkami.

Było rzeczą powszechnie znaną, że mało kto wierzył w rzekome pogrożki otrzymywane przez posła Frincanata, który był płotką bez znaczenia. Złośliwe języki powiadały, że sam napisał te anonimy, żeby dodać sobie prestiżu. Sędzia Filippone był chorągiewką na wietrze, zawsze głosował tak, jak głosowała większość, jak pajacyk na sznurku. Trudno sobie wyobrazić, żeby mafia narażała swojego człowieka na niebezpieczeństwo, dla pozbycia się tych dwóch klaunów! Montalbano przestraszył się nie na żarty, przekonany już teraz, że ten człowiek szukał Fazia.

Gdy tylko drzwi windy otworzyły się na szóstym piętrze, komisarz znalazł się vis-à-vis dwóch policjantów z pistoletami automatycznymi. Wyciągnął legitymację służbową i pozwolili mu przejść. Przed drzwiami pokojów 8 i 10 stali dwaj policjanci, także uzbrojeni w pistolety automatyczne.

Angela doprowadziła komisarza do drzwi pokoju numer 14.

– Chciałam panu powiedzieć, że zasięgnęłam informacji i powiedziano mi, że pan Fazio zostanie wypuszczony ze szpitala najdalej za trzy dni. Jutro rano pozwolą mu wstać z łóżka na kilka godzin.

– Zatem będzie pani musiała być moją przewodniczką jeszcze sześć razy.

– Będzie pan przychodził dwa razy dziennie?

– Tak.

– Nie wiem, czy pojutrze uda mi się po pana przyjść.

– Dlaczego?

– Bo mam dyżur na oddziale chirurgii. Będzie pan sobie musiał sam poradzić.

– Spróbuję – odpowiedział Montalbano.

I nagle wyrwało mu się:

– Mogę panią zaprosić na kolację?

Angela nie wydawała się ani zdziwiona, ani onieśmielona. Była taka ładna,

że zaproszeń na pewno jej nie brakowało.

– Dlaczego?

– Chciałbym spłacić dług wdzięczności.

Angela zaczęła się śmiać. Potem powiedziała:

– Chętnie poszłabym na kolację, ale jestem już umówiona... to nic ważnego. Mogę panu dać odpowiedź trochę później? Zadzwoń i spróbuję się uwolnić. Jeśli dziesięć po czwartej, kiedy będzie pan wychodził, nie zostanie mnie pan tutaj, proszę zatelefonować.

Zapisała numer na karteczce, którą Montalbano wsadził do kieszeni. Angela uśmiechnęła się do niego po raz ostatni, odwróciła się i poszła w głąb korytarza. Montalbano patrzył przez chwilę za nią, było co podziwiać, potem zapukał.

– Proszę wejść – odezwał się kobiecy głos.

Pierwszą osobą, którą ujrzał po wejściu do pokoju, była karłowata pielęgniarka, bliźniaczka strażników więziennych z Sing-Sing. Potem zobaczył, że Fazio nie leży na wznak, ale w pozycji półsiedzącej, z poduszkami podłożonymi pod plecy i pod głowę. Pani Fazio nie było.

– Siedem minut – oświadczyła natychmiast karlica.

– Odlicza pani czas od chwili wyjścia z pokoju – odpowiedział Montalbano. I spytał Fazia, który uśmiechał się do niego, ucieszony z wizyty.

– Gdzie twoja żona?

– Posłałam ją do domu, żeby odpoczęła – wtrąciła pielęgniarka, otwierając drzwi. – Ledwo trzymała się już na nogach. A pacjent czuje się coraz lepiej.

Zanim zamknęła za sobą drzwi, powtórzyła jeszcze raz:

– Siedem minut!

– Pierdol się! – powiedział po cichu Fazio.

– Nawiasem mówiąc, mam dla ciebie dobrą nowinę – powiedział Montalbano. – Życzenie komuś, żeby się pierdolił, nie jest już przestępstwem. Tak postanowił Sąd Apelacyjny. Posłuchaj, powiedzieli ci o tym, co się stało w szpitalu?

– Powiedzieli mi, że jakiś typ chciał się dostać do pokojów, gdzie leżą ludzie zaangażowani w działalność antymafijną.

– Wiesz, kto to taki? Frincanato i Filippone.

– Przecież to tylko pajace! – powiedział zaskoczony Fazio.

– No właśnie. Dlatego to wyjaśnienie mnie nie przekonuje.

– Ani mnie.

– Wszedł do twojego pokoju?

– Nie.

– Zetknąłeś się z niskim, tęgim mężczyzną z blizną na lewym policzku?

– O kurwa! – krzyknął Fazio.

Zbladł jak prześcieradło.

– Znasz go?

– To jeden z tych dwóch, którzy chcieli mnie zabić.

– Tak podejrzewałem – przytaknął komisarz. I podczas gdy Fazio dał mu znak, żeby mu podał szklanekę wody stojącą na szafce nocnej, Montalbano mówił dalej:

– To znaczy, że ten mężczyzna z pistoletem przyszedł do szpitala z twojego powodu, żeby dokończyć robotę.

– Chcę stąd zaraz wyjść! – zawołał Fazio, oddając mu pustą szklanekę.

– Uspokój się, nie sądzę, żeby wrócił.

– Mogę przynajmniej dostać broń?

– Żartujesz sobie? Ta baba z Sing-Sing wsadziłaby cię do izolatki!

Fazio popatrzył na komisarza ze zdumieniem.

– Kto taki?

– Dajmy spokój, porozmawiajmy o tym, co ci się przydarzyło. Musi chodzić o jakąś grubszą sprawę.

– Panie komisarzu, prawdę mówiąc, nie wiem, czy to mała, czy duża sprawa. Kiedy ci dwaj...

– Poczekaj. Zacznijmy od początku. Zróbmy z tego powieść w odcinkach, jak w serialu telewizyjnym. Inaczej minie siedem minut, a ja nic nie zrozumieję. Opowiedz mi o Manzelli.

Fazio zastanawiał się chwilę, po czym zaczął opowiadać:

– Z Filippem Manzellą chodziłem do szkoły podstawowej w Vigacie. Potem straciliśmy się z oczu, jego ojciec był kolejarem i gdzieś go przenieśli. Spotkaliśmy się znowu w czasie służby wojskowej. On uczęszczał do szkoły baletowej w Palermo, chciał zostać tancerzem. Od czasu do czasu, kiedy miałem do załatwienia jakąś sprawę w Palermo, spoty...kaliśmy... się.

Zmęczyło go mówienie.

– Odpocznij – powiedział komisarz.

Fazio zamknął oczy i leżał w milczeniu przez pół minuty. Potem znowu zaczął mówić, ale brakło mu sił.

– Potem...

Przerwał, oddychał ciężko.

– Poczekaj jeszcze chwilę – powiedział Montalbano.

– Nie, bo zaraz minie siedem minut. Potem znowu straciliśmy się z oczu. Pewnego dnia spotkałem go w Montelusie. Zmienił się.

– W jakim sensie?

– Po pierwsze, utył. I nie patrzył mi już w oczy, jak wcześniej. Powiedział, że już nie tańczy, jego żona jest w ciąży, on sam nie pracuje i dostał duży spadek.

Fazio znowu się zatrzymał. Mówił z coraz większym trudem, robiąc odstęp między słowami.

– Jakies dwa tygodnie temu znowu spotkałem go w Montelusie. Gdzieś się spieszył. Poprosił mnie tylko o numer komórki. Dałem mu go i dwa dni później zadzwonił.

– Czego chciał?

– Chciał, żebym zajął się pewną sprawą. Jego zdaniem chodziło o przemyt.

– Tylko tyle ci powiedział?

– Tak.

– Dlaczego nic mi o tym nie wspomniałeś?

– Panie komisarzu, pomyślałem sobie, że to jakieś bajki. Filippo lubił sobie czasem fantazjować.

– Mów dalej.

– Dzwonił do mnie co chwilę, twierdził, że jest pod obserwacją, że chyba domyślili się, że on o tym wie... ale kiedy proponowałem, żebyśmy się spotkali, to będzie mi mógł opowiedzieć o wszystkich szczegółach, robił się wymijający, grał na zwłokę...

– A zdarzyło ci się oddzwonić do niego?

– Tak. Miałem numer jego komórki.

– A zadzwoniłeś kiedyś na numer stacjonarny?

– Tak. Ale to był numer baru. Lubiał się otaczać aurą tajemniczości.

– Podał ci jakieś nazwiska?

– Nie, zawsze ograniczał się do ogólników... a ja byłem coraz bardziej



przekonany, że wciska mi kit.

– Dobrze, mamy mało czasu, powiedz mi tylko, dlaczego pojechałeś do portu.

– Po kilku dniach przerwy znowu do mnie zadzwonił. Powiedział mi, że jeśli pojadę natychmiast do portu, złapię ich wszystkich na gorącym uczynku. Wobec tego powiedziałem żonie, że pan wezwał mnie na akcję, i wyszedłem z domu.

– Nie zdradził ci, o jaki rodzaj przemytu chodziło?

– Nie. Powiedział tylko, że będzie na mnie czekać o trzeciej nad ranem koło magazynów portowych.

– To dlaczego wyszedłeś o ósmej wieczorem?

– Żeby nie budzić podejrzeń żony.

– Byłeś uzbrojony?

– Nie.

– Jak to? Jedziesz przyłapać bandę niebezpiecznych przemytników i...

– Ależ ja nie chciałem ich przyłapać! Chciałem tylko przyjrzeć się im z ukrycia. Zanim wykonałbym jakiś ruch, zadzwoniłbym po posiłki! A jeśli już chce pan wiedzieć, to jeszcze nie wierzyłem za bardzo w tę całą historię.

– Czas się skończył! – oświadczyła karlica, wchodząc do pokoju.

– Ostatnie pytanie: czy jesteś pewien, że tego wieczoru, kiedy Manzella zadzwonił, żeby cię sprowadzić do portu, to był naprawdę jego głos w słuchawce?

– Tak mi się wydawało, chociaż słyszałem go słabo i jakby z daleka. Dzwonił jak zawsze z komórki. Powiedział, że ma kłopoty z zasięgiem.

– Cześć, zobaczymy się jutro rano.

## 10

Montalbano wyszedł, ale zaraz wrócił, otworzył drzwi i wsunął głowę do środka.

– Zapomniałem, że jutro rano muszę pojechać do kwestora. Zobaczymy się po południu.

Na korytarzu nie było Angeli. Zegar wskazywał równo dziesięć po czwartej.

Montalbano poczekał jeszcze kilka minut, po czym zbliżył się do dwóch policjantów stojących na straży, już z daleka pokazując swoją legitymację służbową.

– Komisarz Montalbano.

– Do pańskiej dyspozycji – odpowiedzieli chórem.

– W pokoju czternastym leży wasz kolega z komisariatu w Vigacie. Został ranny w głowę w trakcie strzelaniny. Moglibyście uważać także na tamte drzwi? Nie jest powiedziane, że intruz przyłapany w szpitalu zjawił się tu z powodu tych dwóch, których pilnujecie. Nie wiem, czy jasno się wyraziłem?

– Całkowicie – powiedział pierwszy.

– Może pan być spokojny – dodał drugi.

Na końcu korytarza komisarz nie był pewny, czy skrócić w lewo, czy w prawo, ale potem w głębi po prawej stronie zobaczył policjantów pilnujących windy. Kiedy zjechał na parter, wyciągnął z kieszeni karteczkę, którą dała mu Angela. Był na niej zapisany numer wewnętrzny. Komisarz

podszedł do punktu przyjęć i poprosił jedną z recepcjonistek, żeby go połączyła. Po chwili rozmawiał z dziewczyną.

– Niestety dzisiaj wieczorem nie mogłam się uwolnić. Możemy przesunąć kolację na jutro?

– Oczywiście.

– Wobec tego ustalimy godzinę i miejsce jutro rano.

– Nie, jutro rano nie mogę przyjechać.

– Jest pan pewny?

– Najpewniejszy, mam coś do załatwienia.

– A po południu?

– O czwartej będę na pewno.

– Wobec tego zobaczymy się jutro po południu. Wtedy się umówimy. Kończę dyżur o osiemnastej trzydzieści.

– Zna pani tutaj w Fiakce jakieś miejsce, gdzie dają dobre jedzenie?

– Jest takich wiele. Tylko że...

– Tak?

– Nie chciałabym, żeby mnie widziano z... gdyby ktoś zobaczył mnie tutaj z nieznanym mężczyzną, mogłabym mieć nieprzyjemności, rozumie pan?

– Rozumiem doskonale.

– Pan nie ma problemów?

– Chwilowo nie mam. Chciałaby pani przyjechać do Vigaty?

– Dlaczego nie?

Zgodziła się od razu, najwyraźniej oczekiwała takiej propozycji.

– Ma pani samochód?

– Tak, ale jeśli przyjedzie pan kwadrans po tym, jak skończę pracę, przebiorę się tutaj w szpitalu i możemy pojechać razem pańskim autem.

Co sobie wbiła do głowy ta dziewczyna? Montalbano chciał ją po prostu zaprosić na kolację, bez ubocznych myśli. Był jednak przekonany, że uda mu się uniknąć ewentualnych konsekwencji, nie tracąc twarzy.

Parking dla gości znajdował się na tyłach szpitala, żeby tam dotrzeć, trzeba było maszerować dziesięć minut. Gallo spał, z otwartymi ustami i głową odchyłoną do tyłu.

– Dzień dobry!

Gallo wzdrygnął się i otworzył oczy, niezupełnie rozbudzony.

– Proszę wybaczyć, panie komisarzu, jestem tak niewyspany, że ledwie trzymam się na nogach.

– Nie spałeś dzisiaj w nocy?

– Nie i wczoraj także. Gdy tylko kładę się do łóżka, zaczyna mnie strasznie boleć brzuch. Teraz oczy same mi się zamykają.

– Idź do baru i wypij kawę.

– Nie mam ochoty.

– Słuchaj, mówmy jasno, nie mam zamiaru jechać z kimś, kto może w każdej chwili zasnąć za kierownicą na środku ruchliwej drogi. Ja poprowadzę, ty połóż się na tylnym siedzeniu i śpij.

Gallo, który naprawdę potrzebował snu, nie zaprotestował. Komisarz jeszcze nie zdążył znaleźć drogi wyjazdowej z parkingu, a on, ułożony na tylnym siedzeniu, spał już głęboko.

Jak było do przewidzenia, nie usunięto jeszcze blokady na drodze z Fiakki i zatrzymano także samochód Montalbana. Karabinierowi człowiek skulony na tylnym siedzeniu i zasłaniający sobie twarz ramieniem wydał się podejrzany. Komisarz już miał opuścić szybę i wyjaśnić sytuację, kiedy zmienił zdanie. Przyszło mu do głowy, żeby zrobić Gallowi psikusa. Karabinier zawołał tymczasem dwóch kolegów i wszyscy trzej zbliżyli się

ostrożnie, z rękami na kaburach pistoletów. Montalbano bawił się sytuacją, trzymając ręce dobrze widoczne na kierownicy.

– Co on robi, śpi? – spytał komisarza pierwszy karabinier.

– Jak zabity.

– Niech go pan zbudzi.

– Pan niech to zrobi. Ale uprzedzam, że kiedy budzi się go gwałtownie, reaguje bardzo nerwowo, nie wiadomo, co może zrobić. Ja pana ostrzegłem, teraz niech pan robi, jak uważa.

– A niby jak mam go zbudzić?

– Czy ja wiem, może jakąś pieśczętą, miłym słowem...

– Żartuje sobie pan?

– Czy wyglądam na kogoś, kto żartuje? – zrobił obrażoną minę Montalbano.

Karabinier pogadał z kolegami, po czym powiedział do komisarza:

– Proszę wysiąść powoli z samochodu.

– Z rękoma do góry?

– Nie ma takiej potrzeby.

Montalbano wysiadł, poruszając się jak najciszej. Wtedy karabinier otworzył gwałtownie tylne drzwi samochodu i odskakując na bok, krzyknął:

– Wychodź z samochodu! Ręce do góry!

Gdy rozbudzony tak gwałtownie Gallo zobaczył wymierzone w siebie trzy pistolety, przeraził się śmiertelnie i zaczął wołać:

– Jestem policjantem! Nie strzelajcie!

– Pokaż dokumenty!

Gallo wyciągnął legitymację. Wtedy rozzłoszczony karabinier zwrócił się do Montalbana:

– Dlaczego pan nie powiedział, że to policjant?

– Nie pytaliście kto to.

Karabinier zawołał swojego przełożonego, który zażądał od komisarza jego papierów.

– Dlaczego pan się nie zidentyfikował?

– Nikt mnie o to nie prosił. Obecny tu karabinier spytał mnie tylko, czy mój człowiek śpi. Odpowiedziałem twierdząco. Długo to jeszcze będzie trwało?

– Ależ skąd, panie komisarzu. Tyle, ile potrzeba na wypisanie mandatu. To pana samochód?

– Tak. Dlaczego?

– Jechał pan na zgaszonych światłach, a tylny reflektor jest rozbity.

Bardzo mu się opłaciło strojenie żartów z karabinierów i zastąpienie Galla za kierownicą!

Kiedy komisarz wszedł do swojego gabinetu, zastał czekającego na niego Augella.

– Co mi powiesz?

– Wszyscy na miejscu.

– Co to znaczy? – spytał Montalbano, który rozmyślał akurat o Angeli.

– Że wszystkich pięciu sześćdziesięciolatków, którzy dbają o swoje nogi, znajduje się w domu. Sprawdziłem także listę tych z Montelusy, którą dostałem od Galluzza. I tam wszystko w porządku. To znaczy, że nasz nieboszczyk nie robił sobie pedikiuru w Vigacie lub w Montelusie. I nie chodził też do podologa. Dowiedziałeś się czegoś od Fazia?

– Tak.

Komisarz opowiedział Aguellowi o Manzelli.

– Dlaczego zaczęli do niego strzelać w porcie?

– Tego się dowiemy w następnym odcinku.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, Manzella powiedział Faziowi, że się ożenił i że jego żona oczekuje dziecka.

– Dobrze zrozumiałeś. To jedyna rzecz, jaką w tej chwili możemy zrobić.

Nie otwierając ust, Augello wstał, wyszedł i wrócił z książką telefoniczną, którą zaczął kartkować.

– W Vigacie jest dwóch abonentów, którzy nazywają się Filippo Manzella. W Montelusie jest jeszcze jeden – podsumował.

– Włącz zestaw głośnomówiący i zacznij od Vigaty.

Pierwszy Filippo Manzella to był jakiś swarliwy staruch, który odpowiedział na telefon Mimì obelgami. Drugiego nie było w domu. Kobieta, która odebrała telefon i powiedziała, że jest jego żoną, wyjaśniła, że godzinę wcześniej wypłynął kutrem na połów.

– Skoro godzinę temu był żywy, to znaczy, że możemy go wykluczyć – podsumował Augello.

Montalbano popatrzył na niego trochę z podziwem, a trochę ze zdziwieniem.

– Mimì, czasem twoje wnioski są wstrząsające. Nawet pan Lapalisse nie wyraziłby tego lepiej.

– Od ciebie się nauczyłem – odciął się Augello, wystukując następny numer.

– Kto mówi? – spytał kobiecy głos.

– Policja – odpowiedział Mimì.

Kobieta się przestraszyła.

– O Boże, co się stało?

– Proszę się nie niepokoić, chodzi tylko o mandat, zwykła formalność. Czy pod tym numerem mieszka Filippo Manzella?

– Już nie.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że od pięciu lat nie mieszkam razem z mężem. Jesteśmy w separacji.

– Rozumiem. A czy wie pani, dokąd się przeprowadził?

– Wiem, że mieszkał w Vigacie, na via Forcella trzynastie, ale dwa tygodnie temu powiedział mi przez telefon, że zmienił mieszkanie.

– Kiedy dzwonił do pani ostatni raz?

– Już panu powiedziałam, jakieś dwa tygodnie temu.

– Potem już nie telefonował?

– Nie.

– Nie martwiło pani to milczenie?

– Jestem do tego przyzwyczajona. Dzwoni tylko po to, żeby dowiedzieć się o naszego syna. Ale potrafi nie odzywać się nawet kilka miesięcy.

– Dał pani swój nowy adres?

– Nie.

Komisarz odebrał Augellowi słuchawkę.

– Proszę pani, mówi komisarz Montalbano. Czy mogę przyjechać do Montelusy, żeby z panią porozmawiać?

– Teraz?

– Tak, powiedzmy za pół godziny.

– Nie, teraz akurat wychodzę z domu. Mógłby pan przyjechać jutro rano, o jedenastej lub później.



Montalbano podziękował, odłożył słuchawkę i wstał.

– Jedziesz ze mną? – spytał Augella.

– Dokąd?

– Zbudź się, Mimì! Na via Forcella trzynaście.

Via Forcella znajdowała się na nowym osiedlu przy szosie do Montereale. Budynek oznaczony numerem trzynastym był sześciopiętrowym blokiem. Przy wielkiej bramie wejściowej wisiała kartka „Kawalerki do wynajęcia. Informacje u portiera”.

Montalbano zaparkował, wysiadł z samochodu i wszedł do budynku. Augello zatelefonował do Beby, która opowiedziała mu, że dzieciak przewrócił się i rozbił sobie czoło, wobec tego Mimì zdecydował, że lepiej będzie, jeśli komisarz pojedzie sam.

Przez otwarte drzwi portierni, która w rzeczywistości była małym mieszkankiem, komisarz zobaczył kobietę zamiatającą podłogę.

– Czy jest portier?

– Nie.

– Może mi pani powiedzieć, u kogo mogę zasięgnąć informacji w sprawie wynajmu mieszkania?

– U mnie.

– Przepraszam, a kim pani jest?

– Żoną portiera, czy to panu wystarczy?

– Oczywiście.

Nie miał jednak wielkiej ochoty rozmawiać o Manzelli z tą kobietą, która wydała mu się zgryźliwą babą.

– A kiedy wróci pani mąż?

– Jeśli będzie w stanie znaleźć drogę do domu, około jedenastej wieczorem może się tu zjawi.

– Pracuje?

– Tak.

– Gdzie?

– W winiarni prowadzonej przez Ignazia Cutaję. Pracuje, opróżniając taśmowo kieliszki. Jasno się wyrażam?

Dowcipu jej nie brakowało.

– Bardzo jasno.

Pijak. Nie było rady, musiał porozmawiać z żoną portiera. Kobieta przerwała tymczasem zmiatanie i przyglądała mu się podejrzliwie, oparta na trzonku od miotły.

– Mogę panu coś powiedzieć?

– Proszę.

– Bez obrazy, ale pan mi wygląda na glinę.

Lepiej było zagrać w otwarte karty.

– To prawda. Jestem komisarzem.

– Niech pan wejdzie do środka i się rozgości.

Montalbano usiadł na jednym z czterech krzeseł przy stole. Z kącika kuchennego dochodził smakowity zapach gotującej się zupy rybnej.

– Napije się pan wina?

– Nie, dziękuję. Ale proszę mi pozwolić pogratulować pani zupy rybnej. Sądząc po zapachu, musi być znakomita.

Zachowanie kobiety zmieniło się w jednej chwili. Zostawiła miotłę w kącie, wygładziła fartuch i siadła na drugim krześle.

– Proszę mówić. Jeśli tylko będę mogła, to z chęcią panu pomogę.

– Dowiedzieliśmy się, że do niedawna jedna z kawalerek w tym budynku była zamieszkiwana przez niejakiego Filipa Manzellę. Czy to prawda?

– Tak. Porządny człowiek.

– Jak długo tutaj mieszkał?

– Będzie ze trzy lata.

– Dlaczego się wyprowadził?

– Powiedział mi, że znalazł lepsze mieszkanie.

– Podał pani swój nowy adres?

– Nie.

– A jak chciał rozwiązać problem poczty, rachunków?

– Powiedział, że będzie wpadał raz na tydzień.

– Kiedy był tu ostatni raz?

– Nie przyszedł ani razu. Mam dla niego trzy listy i rachunek za światło.

– Przyjmował gości?

– Nie w dzień.

– A w nocy?

– Panie komisarzu, a skąd ja to mogę wiedzieć? Zamykam portiernię o wpół do ósmej wieczorem, jem kolację, oglądam telewizję i idę spać. Jeśli ktoś chce wejść, używa domofonu.

– Mogę obejrzeć mieszkanie Manzelli?

– A co pan tam chce znaleźć? Kiedy je sprzątałam, znalazłam tam tylko jego lunetę. Powiedział, że po nią wpadnie.

– Gdzie się znajduje ta luneta?

– W mieszkaniu. Wszystko jest tam tak, jak było, bo jeszcze nie zostało wynajęte.

– Mogę je obejrzeć?

Portierka westchnęła, wstała, poszła do drugiego pokoju i wróciła z pękiem kluczy.

– Niech pan idzie. Szóste piętro, mieszkanie numer osiemnaście. Proszę wybaczyć, że z panem nie pójdę, ale muszę pilnować zupy. Jest winda.

Drzwi wejściowe do mieszkania numer osiemnaście prowadziły prosto do saloniku połączonego z kącikiem kuchennym. Pokój był wyposażony w telewizor, miał także balkon. Z salonu wchodziło się do sypialni, w której z trudem mieściło się łóżko małżeńskie, mała szafa i dwie szafki nocne. Drugie drzwi prowadziły do mikroskopijnej łazienki z prysznicem. W mieszkaniu były dwa gniazda telefoniczne, jedno w salonie, drugie w sypialni, ale nigdzie nie było widać aparatu telefonicznego. Luneta była ogromna, zamontowana na statywie, zajmowała połowę salonu. Była wycelowana w stronę portu w Vigacie. Komisarz przyłożył do niej oko i odniósł wrażenie, że patrzy na zewnętrzny mur jednego z magazynów chłodni, od tej strony, gdzie przybijały kutry, żeby wyładować połów. Wielka brama była otwarta i widać było doskonale dwóch mężczyzn uwijających się w środku.

Wychodził już z mieszkania, gdy przyszło mu do głowy zajrzeć jeszcze do szafy w sypialni. Oprócz zapasowych kocy i kompletów pościeli znalazł tam lornetkę w futerale. To był noktowizyjny model wojskowy z dużym obiektywem, na pewno kupiony przez Manzellę z kontrabandy i za duże pieniądze.

Montalbano odłożył lornetkę na miejsce, zszedł i oddał klucze portierce.

– Jeszcze kilka pytań i zostawię panią w spokoju.

– Niech pan pyta.

– Dlaczego w mieszkaniu nie ma aparatu telefonicznego?

- Pan Manzella używał tylko komórki.
- Wie pani, gdzie pracował?
- Nie pracował.
- To jak sobie radził?
- Nie wiem, ale pieniędzy mu nie brakowało.
- Ale wychodził z domu?
- No pewnie! Rano, kiedy tutaj był, wychodził na zakupy, potem lubił gotować przy muzyce, miał nawet głośniki, po obiedzie spał do piątej, następnie...
- Chwileczkę, powiedziała pani „kiedy był tutaj”. To znaczy, że czasem wyjeżdżał?
- Tak, czasami znikał na całe tygodnie.
- A dokąd?
- Skąd mogę wiedzieć?
- Kto sprząta mieszkania?
- Ja, moja siostra i moja szwagierka.
- Kto sprzątał mieszkanie pana Manzelli?
- Ja.
- To trochę delikatne pytanie. Czy kiedy ścieliła pani rano łóżko, zdarzyło się pani odnieść wrażenie, że pan Manzella przyjmował w nocy jakąś kobietę?

Portierka zaczęła się śmiać.

- Wrażenie? Panie komisarzu, czasami sypialnia przypominała pobjowisko! Poduszki na ziemi, prześcieradła zmiętoszone, raz nawet materac zsunął się w połowie na podłogę.
- Często się to zdarzało?

- Ostatnio dosyć często.
- Czyli był kobieciarzem?
- A pan co by powiedział, gdyby zastawał łóżko w takim stanie trzy razy w tygodniu?
- Trzy razy na tydzień? Ale przecież on już nie jest chyba najmłodszy?
- Co mam powiedzieć? Widocznie to co trzeba jeszcze mu dobrze działa. Albo pomaga sobie pastylkami.
- To była zawsze ta sama kobieta, czy zmieniały się?
- A skąd miałabym wiedzieć?
- Na przykład z różnych kolorów włosów na poduszce albo w łazience.
- Uwierzy pan? Nigdy nie znalazłam ani jednego włosa.
- Ani wsuwki do włosów czy szminki?
- Nic a nic.
- Jak to możliwe?
- Może uważali.
- Manzella ma samochód?
- Miał.
- W jakim sensie?
- Tu w bloku mieszka pan Falzone, który sprzedaje używane samochody. Pan Manzella sprzedał mu tanio swój, pandę w dość dobrym stanie.
- Kiedy to miało miejsce?
- Kilka dni przed tym, jak zostawił mieszkanie. Powiedział mi, że chce sobie kupić nowe auto.
- Jak Falzone mu zapłacił za samochód?
- Manzella chciał gotówkę. Ja też przy tym byłam.
- Gdzie zostawił swoje rzeczy?

– Zmieścił wszystko do walizki. Miał mało rzeczy. Moim zdaniem...

– Proszę powiedzieć.

– Moim zdaniem pan Manzella miał też inne mieszkanie.

– Jeszcze ostatnia rzecz. Czy mogłaby mi pani dać te trzy listy?

Portierka zawahała się

– A jeśli potem przyjdzie po nie pan Manzella, co mu powiem?

– Zróbmy w ten sposób. Zostawię pani kwit. Jeśli zjawi się pan Manzella, będzie po nie mógł przyjść do komisariatu.

Komisarz wyszedł z budynku, myśląc sobie, że zniknięcie Manzelli nie wyglądało na zwykłą przeprowadzkę, ale raczej na ucieczkę kogoś, kto nie chce za sobą zostawiać śladów.

Przestawił samochód w ustronniejsze miejsce, aby nie przyciągać uwagi mieszkańców bloku, po czym wyciągnął z kieszeni listy.

Pierwszy przyszedł z Palermo i był podpisany „twoja kochająca siostra Luciana”. Była to jedna wielka lista narzekań, chora dziewięćdziesięcioletnia matka, wymagająca opieki, mąż nicpoń, syn uganiający się za dziewczyną, która udawała świętoszkę, ale była prawdziwym ladaco, wyciągała od chłopaka nawet pieniądze na majtki... jednym słowem, siostra prosiła o pieniądze.

Autorem drugiego listu, nadanego w Mesynie, był niejaki Sebastiano. Pisał, że dobrze mu się powodzi, że wreszcie się ustatkował i znalazł miłość swojego życia. Załączał nawet fotografię owej miłości. Zdjęcie przedstawiało młodego, może dwudziestopięcioletniego żołnierza marynarki, z szerokim czołem, odstającymi uszami i końską twarzą.

Musiał sobie liczyć z metr dziewięćdziesiąt wzrostu, miał atletyczną budowę i nogi wykrzywione w kabłąk, tak że praktycznie tworzyły koło.

Montalbano pomyślał, że miłość naprawdę potrafi być ślepa.

Trzeci list, nadany z Vigaty, komisarz przeczytał dwa razy.

W drodze powrotnej zajechał do komisariatu, wrzucił dwa pierwsze listy do szuflady biurka, trzeci zostawił w kieszeni i pojechał do Marinelli.



Noc była jasna, pogodna, bez odrobiny wiatru. Księżyc, zamiast przesunąć się nad pola, kołysał się nad morzem. Nadciągał koniec jesieni i te ostatnie pożegnalne dni były przepojone jakąś leniwą melancholią.

Montalbano zasiadł na werandzie i pochłonął wielki talerz *pasta 'ncasciata*, który Adelina zostawiła mu w piecu. Właściwie było to raczej danie na środek dnia, ale *gospoia* na szczęście nie robiła rozróżnienia między tym, co pasowało na obiad, a tym co na kolację. Czasami komisarz ponosił konsekwencje tych kulinarnych roszad. Tego zapewne mógł oczekiwać także tym razem, bo trawienie *pasta 'ncasciata* potrafiło przebiegać burzliwie. Wreszcie wstał z westchnieniem od stołu, wszedł do domu i usiadł przy stole, na którym zostawił list adresowany do Filippa Manzelli, żeby przeczytać go po raz trzeci.

*Ippo,*

*możesz mi wyjaśnić, dlaczego nagle nie chcesz się już ze mną spotykać?*

*Nie odbierasz moich telefonów, nie oddzwoniasz... Dlaczego? Podejrzewam, że ktoś Ci nagadał jakichś brzydkich plotek na mój temat, a Ty naiwnie w nie uwierzyłeś, głuptasie. Historia z Fiakki, jeśli Ci o niej opowiedziano, to zupełne głupstwo. Tęsknię za Tobą, ale musimy się też spotkać, żeby wszystko sobie wyjaśnić. To w Twoim własnym interesie, rozumiesz? Mogłyby być konsekwencje.*

*Zadzwoń do mnie. G.*

Pierwszym problemem tego listu, nadanego z Vigaty do Vigaty i napisanego bezbłędną włoszczyzną, były ostatnie linijki, w których wyczuwało się zawołowaną groźbę. Jeśli Manzella nie chciał się już spotykać ze swoją przyjaciółką G., dlaczego G. wspominała

o konsekwencjach? W każdym razie było jasne, że dla Manzelli te konsekwencje byłyby niemiłe. Czy to właśnie aby ich uniknąć, Manzella zdecydował się opuścić mieszkanie, nie zostawiając nowego adresu? Czy dlatego sprzedał samochód – żeby nikt nie mógł odnaleźć właściciela po numerze tablicy rejestracyjnej.

Drugi problem polegał na tym, że coś w tym liście nie pasowało. Było w nim coś sztucznego. Nie było pewności, że G. to kobieta, bo charakter pisma mógł należeć zarówno do mężczyzny, jak i kobiety. Kobieta zostawiona przez mężczyznę, z którym miała romans, napisałaby inaczej, z większą pasją. Ale jeśli to był mężczyzna... czy użyłby określeń „brzydkie plotki” albo „głuptas”?

On, Montalbano, jak napisałby taki list? Przyszły mu do głowy słowa takie jak pierdoły, brednie, łgarstwa, kłamstwa, kalumnie... na pewno nie użyłby stwierdzenia „brzydkie plotki”. Najlepiej było wziąć ze sobą następnego ranka list do kwestury. Pracował tam Gargiulo z sądówki, bardzo dobry grafolog.

Komisarz poszedł spać po długiej rozmowie telefonicznej z Livią, pożegnali się serdecznie. Ale i tak spędził niespokojną noc, zmagając się ze strawieniem *pasta 'ncasciata*.

– Widzę, że jest pan trochę blady. W rodzinie wszyscy zdrowi? – spytał upierdliwy jak zawsze Lattes, szef gabinetu kwestora, który nie ruszał się nigdy z przedsiönka, zawsze gotów zawracać dupę każdemu biedakowi, który przychodził na rozmowę z kwestorem.

– Wszyscy zdrowi, dziękować Bogu.

– Pan kwestor już na pana czeka.

Zjawił się punktualnie co do minuty. Bonetti-Alderighi powitał go bardzo

serdecznie.

Nawet wstał od biurka.

– Mój drogi! Proszę siadać. Jak się pan czuje? Już lepiej? Wygląda pan trochę blado.

Pewnie, że był blady, nie zmrużył oka przez całą noc przez tę cholerną *pasta 'ncasciata!*

– Tak, efekty scrocsona są bardzo nieprzyjemne, ponieważ rurkę wprowadza się do...

– Na miłość boską, niech mi pan oszczędzi szczegółów. Ale nie chcę też pana zmęczyć. Proszę mi tylko powiedzieć, co się wydarzyło.

– Panie kwestorze, nie mam dużo do powiedzenia, właśnie dlatego nie napisałem jeszcze sprawozdania. Krótko mówiąc, otrzymaliśmy anonimową informację o podejrzanym działaniu w porcie, być może związanej z przemytem narkotyków. Wydelegowałem inspektora Fazia, aby to sprawdził. Z tego, co ustaliliśmy, inspektor Fazio udał się do portu, gdzie strzelono do niego i raniono w głowę, a potem wywieziono w nieznanym kierunku. Potem z anonimowego telefonu dowiedzieliśmy się, że widziano Fazia w towarzystwie dwóch mężczyzn w okolicach Trzech Studni. Wezwałem strażaków, którzy z dwóch różnych studni wydobyli zwłoki dwóch mężczyzn. Na szczęście żadne z nich nie należały do Fazia.

– Zawiadomił pan prokuraturę o odnalezieniu ciał? – spytał od razu kwestor.

– Oczywiście. Także sędówkę i doktora Pasquana.

– I co potem?

– Potem ktoś zobaczył Fazia na szosie do Fiakki.

– Kto?

– Pewien... kolega z tamtego komisariatu, który go znał z widzenia.

– Niech pan mówi dalej.

– Fazio błąkał się po szosie. Przyjechałem na miejsce, nie rozpoznał mnie, wobec tego odwiozłem go do szpitala w Fiakce, gdzie wciąż jeszcze się znajduje. Musiano go operować.

– Pojechał pan go odwiedzić? Co powiedział?

– Nie pojechałem, bo lekarze powiedzieli mi przez telefon, że nie odzyskał jeszcze pamięci. Nic sobie nie przypomina. Musi upłynąć trochę czasu.

– Czy lekarze są przekonani, że pamięć mu wróci?

– Całkowicie.

Porozmawiali jeszcze z dziesięć minut, po czym kwestor powiedział:

– Proszę mnie informować na bieżąco.

Oznaczało to, że audiencja jest skończona. Montalbano wykpił się mieszanką prawdy i kłamstw, przede wszystkim jednak historią o powypadkowej amnezji zdołał oddalić niebezpieczeństwo, że ktoś pojedzie zawracać Faziowi głowę w szpitalu. W sumie kwestor, być może obawiając się, że zbyt szorstkie przyjęcie może pogorszyć skutki superscrocsa, zachował się dość przyjaźnie.

Komisarz zszedł do sądówki, mając nadzieję, że nie natknie się na jej szefa Arquà, którego serdecznie nie znosił. Nie było go, ale nie zastał też Gargiula.

– Szuka pan kogoś, panie komisarzu? – spytał jeden z chłopaków z zespołu.

– Tak, Gargiula.

– Dzisiaj go nie ma. Znajdzie go pan jutro.

– Mógłby mi pan oddać przysługę?

– Jasne.

Komisarz wyciągnął z kieszeni list G., zaadresowany do Manzelli.

– Może mu go pan oddać i poprosić, żeby rzucił na niego okiem? Proszę mu powiedzieć, że zadzwonię do niego jutro.

Wyszedł z kwestury. Zaraz obok był bar, Montalbano poszedł się napić kawy i czekając na nią, sprawdził książkę telefoniczną. Filippo Manzella mieszkał na via Croce 28, czyli po drugiej stronie miasta. Nie było mowy, żeby dotrzeć tam samochodem. Montelusa była prawdziwym labiryntem uliczek i zaułków, na których stale przeprowadzano jakieś roboty drogowe i ustawiano nowe zakazy wjazdu. Komisarz postanowił, że pójdzie na via Croce na piechotę, nie spiesząc się, bo i tak miał mnóstwo czasu. Spotkanie z panią Manzella było umówione dopiero na jedenastą.

Mieszkanie, znajdujące się na piątym piętrze ośmiopiętrowej kamienicy, było czyste i idealnie wysprzątane. Pani Manzella posadziła komisarza w salonie i spytała, czy napije się kawy. Montalbano podziękował, poprosił tylko o szklanekę wody, bo przebył długą drogę, cały czas prowadzącą pod górę.

Żona Manzelli, która miała na imię Ernestina, była przystojną i starannie ubraną czterdziestopięciolatką. W młodości musiała być piękną dziewczyną. Była także inteligentna. To ona podjęła temat.

– Proszę mi powiedzieć szczerze, ten mandat to tylko pretekst, prawda?

Montalbano odetchnął z ulgą. Lepiej grać w otwarte karty.

– Skąd się pani domyśliła?

– Z powodu zwykłego mandatu nie fatygowałby się do mojego domu sam komisarz.

Montalbano uśmiechnął się i nic nie powiedział.

– Co się stało Filippowi? – spytała pani Ernestina.

Nie wyglądała jednak na bardzo zaniepokojoną.

– Nie wiemy.

– To dlaczego się nim interesujecie?

– Bo zaginął.

Ernestina roześmiała się.

– Ależ on zawsze znika! To jego cecha wrodzona! Na tydzień, dwa tygodnie, na miesiąc! Już w pierwszym roku po ślubie mówił mi, że następnego dnia musi wyjechać, nie podając dokąd, po czym zniknął. I przez cały czas nieobecności nie dzwonił ani razu.

– Czy nie pytała pani nigdy, dlaczego wyjeżdża?

– Oczywiście! Dziesiątki razy! On odpowiadał zawsze, że chodzi o podróż w interesach. Nigdy nie dawałam temu wiary. Chce pan mojej rady? Nie szukajcie go. Na pewno prędzej czy później znowu się pojawi.

– Niestety, sprawa jest bardziej skomplikowana.

– To znaczy?

– W tej chwili nie mogę nic powiedzieć. Przyszedłem tutaj, bo muszę zadać pani kilka pytań.

– Niech pan zaczyna.

– Kiedy się pobraliście?

– Osiemnaście lat temu.

– To było małżeństwo z miłości?

– Wtedy tak się nam wydawało.

– Jeśli dobrze pamiętam, powiedziała pani, że ma syna.

– Tak, Michele. Chodzi do trzeciej klasy liceum.

– Czy o ile pani wiadomo, Michele widywał się z ojcem także po państwa separacji? To znaczy z własnej woli, nie w ramach spotkań ustalonych przez

sąd.

– Do zeszłego roku widywali się dość często. Czasami Filippo przyjeżdżał po niego pod szkołę. Potem Michele powiedział, że nie chce go już widzieć.

– Dlaczego?

– Nie chciał mi zdradzić powodów. Powiedział tylko, że się pokłócili. Szczerze mówiąc, byłam z tego zadowolona.

– Dlaczego?

– Obawiałam się, że Filippo mógłby wywierać zły wpływ na Michele.

– W jakim sensie?

– W młodości Filippo był tancerzem. Wie pan, co mamy na myśli, kiedy mówimy, że ktoś jest tancerzem?

– Tak, że jest zmienny, chimeryczny, kapryśny...

– Dobrze pan powiedział: zmienny. Mój mąż był taki we wszystkim, w przyjaźni, w uczuciach... także w drobnych sprawach. Zmieniał upodobania z dnia na dzień. Na przykład uwielbiał lody, a potem nagle twierdził, że nigdy mu nie smakowały. Pożycie z nim było naprawdę trudne.

– Kiedy się pobraliście, gdzie pracował?

– W Urzędzie Miasta. Miał zupełnie przyzwoitą pensję. Nie było nas może stać na luksusy, ale wystarczało. Został tam przez pięć lat. Wyglądało na to, że się ustatkował.

– A potem?

– Potem zmarł brat jego ojca, stryj Carlo, i zostawił mu cały swój, dość znaczny majątek.

– Dlaczego tylko jemu?

– Filippo nigdy mi nie opowiadał o tym stryju Carlu, nigdy go nie poznałam, nie zjawił się nawet na naszym ślubie.

– Pani były mąż ma rodzeństwo?

– Dwie siostry. Jedna, Luciana, utrzymywała z nim kontakty, bo stale prosiła o pieniądze. O drugiej, Elvirze, nic mi nie wiadomo.

– Z czego składał się spadek?

– To były przede wszystkim domy, sklepy, magazyny, świetnie prosperujące gospodarstwo rolne.

– Proszę mi wybaczyć, ale czy nie jest prawdopodobne, że stałe wyjazdy pani męża były związane z zarządzaniem tymi nieruchomościami?

Ernestina zaśmiała się znowu.

– Akurat chciałoby mu się tym zawracać głowę! Sprzedał wszystko i złożył pieniądze w banku.

– W którym?

– W kilku różnych. W tym, który znałam, to znaczy w Banku Spółdzielczym, gdzie mieliśmy wspólny rachunek, wpłacił tylko tyle, ile starczało na roczne wydatki. Nigdy się nie dowiedziałam, gdzie trzymał podstawowy kapitał.

– Dlaczego zdecydowaliście się na separację?

– Przestał się mną interesować. Pod każdym względem, rozumie pan, co mam na myśli? Liczyłam się dla niego tylko jako matka jego syna, jako kobieta przestałam istnieć. Podejrzewam, że w tym czasie zaczął mnie zdradzać i że miał wiele kochanek.

– Jak pani to odkryła?

– Nie odkryłam tego, tylko podejrzewam. Ale zaczął robić typowe manewry, które pan także zna...

– Nie jestem żonaty.

– Ach tak. No cóż, tajemnicze telefony, nieprzekonujące wyjaśnienia,



przeczenie samemu sobie, nieistniejące zebrania. Takie tam. Wreszcie straciłam cierpliwość i wyrzuciłam go z domu. To wszystko.

– W mieszkaniu w Vigacie, którego adres nam pani podała, znaleźliśmy wielką lunetę.

Ernestina nie wyglądała na zdziwioną.

– To była jedna z jego dwóch wielkich pasji.

– Obserwował gwiazdy.

Tym razem śmiała się dłużej.

– Coś panu pokażę.

Wstała i komisarz poszedł za nią do sypialni. Okno wychodziło na podwórze, widać z niego było mnóstwo balkonów oraz dużych i małych okien.

– Widział pan taki film, w którym facet ze złamaną nogą przez cały dzień podgląda, co robią ludzie w innych mieszkaniach?

– *Okno na podwórze.*

– Mój mąż robił to samo. Ja oglądałam telewizję, a on patrzył, co ludzie robią w swoich własnych domach.

– I opowiadał pani o tym?

– O czym?

– O tym, co robią.

– O tak! Uwielbiał mi o tym opowiadać. Młoda żonka, która pod nieobecność męża zabawia amanta, była jego ulubioną bohaterką. Innym ulubionym bohaterem był emeryt, który gdy tylko zasnęła żona, chodził odwiedzać pokój wnuczki. Ale ja nie byłam dobrą słuchaczką, nie lubię takich rzeczy.

– Proszę pani, muszę zadać trudne pytanie. Czy pani mąż zadowolął się

tylko i wyłącznie podglądaniem ludzi?

Ernestina najwyraźniej nie zrozumiała prawdziwego znaczenia pytania.

– No tak. A co innego mógł robić?

– Widzi pani, w takich przypadkach czasami pojawia się pokusa, aby włączyć się do gry, wpłynąć na cudze życie. Taka pokusa bywa nieodparta.

Dopiero teraz Ernestina zrozumiała, do czego komisarz pije.

– Ma pan na myśli szantaż?

– Także, ale nie tylko. Może to być po prostu chęć rozrywki.

– Jak to?

– Dam pani przykład. Widzę, że żonka przyjmuje w domu kochanka, informuję o tym męża anonimowym listem, a następnie bawię się sceną, jaka rozgrywa się, gdy mąż przyłapuje tych dwoje na gorącym uczynku.

– To pan nazywa rozrywką?

– Ja nie, ale są tacy, którzy mogliby tak uważać.

Ernestina zastanawiała się chwilę, otworzyła usta, zamknęła je, wreszcie oświadczyła:

– Nie wierzę, aby Filippo posunął się do szantażu. Do złośliwego żartu, być może. Niech pan jednak nie sądzi, że był złym człowiekiem. Nie poznał go pan, on był...

– Właśnie dlatego, że go nie znam, zadaję pani te pytania. Mówiła pani, że był...

– Nieprzewidywalny, to najlepsze określenie.

Wrócili do salonu, Montalbano nie usiadł jednak z powrotem.

– Proszę mi wybaczyć pytanie, czy utrzymuje się pani z alimentów, czy ma pani pracę?

– Popołudniami pracuję jako ekspedientka w sklepie z ubraniami. Poza

tym poznałam kogoś. Pobierzemy się, gdy tylko uzyskam rozwód.

Powiedziała to otwarcie i Montalbano docenił jej szczerość.

– Nie będę już zawracał pani głowy pytaniami. Gdyby przypadkiem pani były mąż skontaktował się z panią, proszę zadzwonić do mnie do komisariatu w Vigacie. Bardzo dziękuję za pomoc.

– Odprowadzę pana.

Montalbano zaczął już schodzić po schodach, Ernestina zamykała drzwi, gdy komisarz przypomniał sobie, że chciał zapytać o jeszcze jedną rzecz.

– Przepraszam, powiedziała pani, że mąż miał dwie pasje. Jedną było podglądanie ludzi przez lunetę. A drugą?

– Stopy. Stale je pielęgnował.

Komisarza poraził piorun z jasnego nieba. Zamarł z na pół odwróconym ciałem, z wykręconą szyją, lewą stopą podniesioną nad drugim stopniem, prawą ręką ściskającą poręcz. Nie był w stanie się poruszyć. Pani Ernestina zaniepokoiła się.

– Panie komisarzu, dobrze się pan czuje? – spytała, wychodząc na klatkę schodową.

– Dla... dla...

Potem wreszcie wziął głęboki oddech i zdołał przemówić.

– Dlaczego pani mąż zrezygnował z kariery tancerza?

– Miał kontuzję. Zerwał sobie więzadło.

Montalbano o mało nie spadł ze schodów.

– Skoro Manzella od pięciu dni leżał na dnie studni, telefon do Fazia był podstępem.

– Mimì, jak zwykle popisujesz się intelektem.

– Powiedziałeś mi, że Fazio nie wierzył w to, co mu opowiadał Manzella. Tymczasem to była prawda.

– Kolejna błyskotliwa konkluzja.

– Salvo, wiesz, co ci powiem? Nie będę się więcej odzywał. Wsadź sobie w dupę swój sarkazm.

– Zadam ci pytanie. W ten sposób będziesz zmuszony zacząć mówić sensowniej. Twoim zdaniem dlaczego strzelili mu w stopę?

– Komu?

– Manzelli. Nie powiedziałem ci? Najpierw strzelili mu w stopę, potem zostawili na kilka godzin, żeby się wykrwawił, w końcu go zamordowali. Pytanie brzmi: dlaczego?

– Żeby go zmusić do mówienia.

– Zgoda, ale nie o to mi chodziło. Dlaczego w stopę? Żeby kogoś zmusić do mówienia, zwykle przypala mu się rękę papierosem albo strzela w kolano, w ramię...

– Może ci, którzy go przesłuchiwali, wystrzelili przypadkowo.

– Zimno, zimno.

– Może zależało mu na stopach, miał obsesję na ich punkcie...

– Ciepło, gorąco!

– Bo w młodości był tancerzem.

– Widzisz, że potrafisz myśleć? Kiedy się wysilisz, umiesz być inteligentny. Zranili go w to, z czego był najbardziej dumny. Żeby go upokorzyć.

## 12

Mimì zamyślił się nad czymś głęboko.

– Co jest?

– Wiesz, przypomniałem sobie western, który widziałem wiele lat temu. Bandyty strzelali tam facetowi w stopy, żeby... nie, nie po to, żeby go upokorzyć. Facet podnosił zranioną nogę, a oni strzelali w podłogę pod jego stopy, mówiąc mu, żeby tańczył. A on kręcił się... w kółko, skakał...

Augello urwał.

– Salvo, co ci jest?

Montalbano zbladł jak prześcieradło. Niespodziewanie stanęła mu przed oczami scena tańca umierającej mewy.

– Nic, nic. Zakręciło mi się w głowie.

– Mierzysz sobie ciśnienie?

– Mimì, rozmawialiśmy o czymś innym. Mów dalej.

– Widać w ten sposób skłonili go do mówienia, może obiecując mu, że go oszczędzą. On wyznał, że wspomniał coś Faziowi, i wtedy go zamordowali.

– A potem postanowili pozbyć się także Fazia.

– To co teraz robimy? – spytał Augello.

– Mamy dwa pilne zadania. Po pierwsze, musimy umieścić Fazia w jakiejś bezpiecznej kryjówce, w miejscu, gdzie nikt go nie znajdzie.

– Masz jakiś pomysł?

– Zróbmy tak. Ty teraz pojedziesz natychmiast do kwestora, opowiesz mu o Manzelli, możesz też wspomnieć, że próbowali się już dostać do Fazia

w szpitalu w Fiakce.

– Mam poprosić kwestora o ochronę dla Fazia?

– Nie. Chcę go przenieść do jednego z naszych szpitali.

– Dobrze, no więc co na razie?

– Dzisiaj pojadę do niego i zostanę tam najdłużej, jak się da. Rozmawiałem też z policjantami stojącymi na straży kilka metrów od jego pokoju. Dzisiaj w nocy możemy spać spokojnie.

– A to drugie zadanie?

– Pamiętasz Rizzikę, tego, który przyszedł podzielić się podejrzeniami co do jednego ze swoich kutrów?

– Pamiętam doskonale.

– Wezwij go tutaj jutro na dwunastą. Straciliśmy już dużo czasu. Może powinniśmy byli potraktować go poważniej. Aha, no i trzeba będzie poinformować panią Ernestinę.

– Kto to taki?

– Żona Manzelli.

– Uff, muszę ja to zrobić? Zacznie płakać, rozpaczać, ja takich scen...

– Spokojnie, byli w trakcie rozwodu, ona ma już innego faceta, za którego chce wyjść. Jeszcze się ucieszy z wiadomości. Sprowadź ją, żeby dokonała oficjalnego rozpoznania ciała.

– Przecież jest zmasakrowane!

– Mimì, po pierwsze, kobieta zawsze rozpozna mężczyznę, który był jej mężem przez osiemnaście lat. Po drugie, będzie jej na rękę go zidentyfikować, uwierz mi.

– Jadę do kwestora.

U Enza tym razem nie przesadził z jedzeniem. Zrezygnował z makaronu, zjadł tylko zakąski i trzy smażone barweny. Wrócił do komisariatu tuż po drugiej.

– Catarè, jadę do Fiakki. Wezmę komórkę, bo nie wrócę już dzisiaj do komisariatu. Jeśli będzie coś pilnego, zadzwońcie. Zobaczymy się jutro rano.

Poszedł na parking, gdzie spotkał Galla.

– Jestem gotowy, panie komisarzu.

– Sam pojedę do Fiakki, dziękuję.

– Dlaczego? Już nie jestem senny, dzisiaj w nocy dobrze spałem!

– Zawieziesz mnie tam jutro rano, zgoda?

Stracił dużo czasu, szukając na parkingu szpitalnym wolnego miejsca, tak żeby jego samochód był schowany za innymi, prawie nie do znalezienia. Wyjął ze schowka pistolet i wsadził do kieszeni. Potem dziesięć minut zajęło mu dotarcie pieszo do głównego wejścia. Kiedy wszedł do środka, było już dwadzieścia po czwartej. Angeli nie było nigdzie widać, dlatego sam musiał znaleźć drogę do pokoju Fazia. Tym razem poszło mu dość łatwo, bo na szóstym piętrze wciąż stróżowali ochroniarze, musiał im pokazać legitymację. Dwaj inni policjanci stali przed drzwiami pokoiów, w których leżeli poseł i sędzia, ale nie byli to ci sami, co dzień wcześniej. Komisarz zapukał do pokoju numer 14, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz, mocniej, również bez skutku. Wobec tego nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Pokój był pusty, łóżko zasłane, żadnego śladu obecności Fazia. Montalbano zamknął pokój i zbliżył się do policjantów, trzymając w ręku legitymację.

– Komisarz Montalbano. Wiecie może, czy przeniesiono gdzieś pacjenta

z pokoju numer czternaście?

– Tak. Jakąś godzinę temu. Był na noszach i miał obandażowaną całą twarz. Szła z nim kobieta, która trzymała go za rękę.

Komisarzowi ścisnęło się serce. Czyżby stan zdrowia Fazia się pogorszył?

– Gdzie go przeniesiono?

– Nie wiemy.

Musiał spróbować zasięgnąć informacji. Wsiadł do windy i zjechał na dół.

– Przepraszam, na szóstym piętrze leżał mój przyjaciel, który... – zwrócił się do starszej kobiety w punkcie informacyjnym.

Ona mu przerwała.

– Pan komisarz Montalbano?

– Tak.

– Czeka na pana profesor Bartolomeo.

– Czy stan jest ciężki? – spytał Montalbano, zaczynając się pocić z nerwów.

– Czyj?

– Mojego przyjaciela.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Gdzie go przeniesiono?

– Już mówiłam, ja nic nie wiem. Niech pan porozmawia z profesorem.

– Gdzie go znajdę?

– Proszę chwilę poczekać.

Podniosła słuchawkę, porozmawiała chwilę półgłosem, po czym powiedziała:

– Czwarte piętro, pokój numer dwa.

Oczywiście pomylił windę, pomylił korytarz i pomylił pokój. Potem, nie



wiadomo jakim cudem, dotarł we właściwe miejsce. Bartolomeo był przystojnym, eleganckim sześćdziesięcioletkiem o jowialnym sposobie bycia. Na widok komisarza podniósł się nawet zza biurka.

– Jak się czuje Fazio? – zapytał nerwowo Montalbano.

– Doskonale.

– To wobec tego dlaczego...

– Niech pan siada, panie komisarzu. Zaraz wszystko wyjaśnię. Z godzinę temu zadzwonił do mnie pan Bonetti-Alderighi, z którym jestem zaprzyjaźniony. Wyjaśnił mi, jakie niebezpieczeństwo zagraża panu Faziowi, i poprosił mnie, żebym umieścił go w bezpiecznym miejscu, dopóki nie przeniesiecie go do jednego z waszych szpitali. Bardzo nalegał, żeby całą operację przeprowadzić w sekrecie. Wobec tego poszedłem po pacjenta osobiście, obandażowałem mu twarz, żeby nikt go nie rozpoznał, a potem z pomocą żony i pielęgniarki, która się nim zajmowała...

– Tej zgryźliwej?

– Tak. Wszystkie powinny być takie! Jak już powiedziałem, z pomocą żony i pielęgniarki przewiozłem pacjenta do jednego z trzech pomieszczeń, które po ukończeniu będą służyć jako pokoje gościnne. Drzwi wejściowe na poddasze są zamknięte na klucz, który ma pielęgniarka. Trudno o bezpieczniejsze rozwiązanie. Naturalnie, pan kwestor poprosił mnie, abym pana o tym poinformował, gdy tylko pan przyjdzie do szpitala.

– Panie profesorze, był pan niezwykle pomocny. Gdyby mógł mi pan wytłumaczyć, jak dotrzeć na poddasze...

– Uprzedzę pielęgniarkę, że pan się tam zaraz zjawi, żeby otworzyła drzwi, kiedy pan zadzwoni. Trafić tam jest bardzo łatwo, zaraz to panu wytłumaczę.

Bartolomeo opisał trasę komisarzowi, który naturalnie nic nie zrozumiał. Wstydził się jednak prosić o powtórzenie wskazówek, wobec tego

podziękował, pożegnał się i wyszedł.

Rozważmy problem spokojnie – powiedział sobie. – Logicznie rzecz biorąc, poddasze znajduje się na samej górze budynku. Zatem, żeby tam dotrzeć, najpierw muszę wjechać na szóste piętro, czyli tam, gdzie byłem wcześniej.

Na szóste piętro wjechał bez kłopotów. Ludzie z ochrony rozpoznali go i pozwolili mu przejść. Na tym jednak skończyły się sukcesy Montalbana. Po półgodzinnym błędzeniu po korytarzu i otwieraniu kolejnych drzwi, podczas gdy strażnicy przyglądali mu się coraz bardziej podejrzliwie i zaczęli sobie zadawać pytanie, czy ten komisarz jest aby naprawdę komisarzem, musiał uznać gorzką prawdę. Na szóstym piętrze nie było windy ani schodów prowadzących na poddasze. Zjechał na parter, żeby poprosić o informacje, i od razu zobaczył Angelę, rozmawiającą z jakimś mężczyzną. Angela także go zobaczyła i dała mu znak, żeby na nią poczekał. Potem pożegnała swojego rozmówcę i zbliżyła się z uśmiechem do komisarza.

– Jak zwykle w kłopotach?

– Otóż to.

– Nie wie pan, jak wjechać na szóste piętro?

– Problem w tym, że...

Urwał. Najwyraźniej Angela nie wiedziała o przeniesieniu Fazio, a on nie mógł jej o nim powiedzieć, im mniej osób o tym wiedziało, tym lepiej. Jak miał teraz wybrnąć z sytuacji? Na szczęście z pomocą przysłała mu sama Angela.

– Zaraz, zaraz, wydaje mi się, że ktoś mi mówił, że profesor Bartolomeo kazał gdzieś przenieść pańskiego przyjaciela.

– Ach tak?

– Tak.

– Wie pani może, dokąd go przeniesiono?

– Mogę zasięgnąć informacji. Niech pan tutaj poczeka.

Angela podeszła do punktu informacyjnego, porozmawiała chwilę ze starszą kobietą i wróciła do komisarza z jeszcze szerszym uśmiechem.

– Niech pan pójdzie ze mną. Jak się umówimy na wieczór?

– Jestem do pani dyspozycji.

– Nie chciałabym wychodzić ze szpitala razem z panem.

– Proszę mi przypomnieć, o której kończy pani pracę?

– O osiemnastej trzydzieści. Będę gotowa najpóźniej o osiemnastej czterdzieści pięć.

– Proszę posłuchać, przyszedł mi do głowy pomysł. Dam pani klucze od mojego samochodu. Numer rejestracyjny to BC trzy cztery dwa ZX. Wyjdzie pani sama i poczeka na mnie w aucie, zgoda?

– Zgoda. To tutaj.

Zatrzymała się przed windą umiejscowioną na samym końcu długiego korytarza. Nad drzwiami wisiała informacja: „Zepsuta! Niebezpieczeństwo!”.

– Przecież nie działa! – powiedział Montalbano.

– Działa, działa.

Nacisnęła guzik i drzwi się otworzyły.

– Ta winda – powiedziała Angela – wjeżdża prosto na ostatnie piętro. Na korytarzu będą tylko jedne drzwi. Niech pan do nich zadzwoni. Zobaczymy się później.

Nacisnął dzwonek i od razu odezwał się głos strażniczki z Alcatraz.

– Kto tam?

– Komisarz Montalbano.

Komisarz poczuł wzrok wwiercający się w niego przez judasza. Potem drzwi otworzyły się na zewnątrz.

– Pierwsze drzwi na prawo – powiedziała pielęgniarka. – Dziesięć minut.

Fazio nie leżał już w łóżku. Miał na sobie piżamę, pantofle i siedział na balkonie, z którego rozciągał się widok na morze. Zdjęto mu nawet połowę bandażu.

– A twoja żona?

– Właśnie wyszła. Może mi pan wyjaśnić, co się dzieje? – spytał Fazio.

– Chcemy być pewni, że jesteś bezpieczny.

– Dlaczego?

– Wiesz, że znaleźliśmy dwa ciała w dwóch różnych studniach?

– Dwa? Ja wiem tylko o tym typie, którego sam zepchnąłem.

– Domyśliłem się, że to byłeś ty.

– Tak. Trzymali mnie obaj, żeby mnie zepchnąć i ten uzbrojony odłożył pistolet na obrzeże studni. Ale ja, sam nie wiem jakim cudem, zdołałem wymierzyć mu potężnego kopniaka. Ten, który był przechylony do środka studni, stracił równowagę i spadł. Wtedy szybko pochwyciłem pistolet. Ten z blizną rzucił się do ucieczki. Strzeliłem za nim, ale ledwie trzymałem się na nogach i nie trafiłem. Nie pamiętałem już, kim jestem, dlaczego znajduję się w tym miejscu...

– O tym porozmawiamy kiedy indziej. Jak ci mówiłem, w trakcie poszukiwań, znaleźliśmy także inne ciało. Dzisiaj rano uświadomiłem sobie, że to zwłoki twojego przyjaciela Manzelli. Leżał tam co najmniej od pięciu dni.

Fazio zbladł.

– Myśli pan, że spróbują mnie znowu sprzątnąć?

– A co, wątpisz w to? Przecież ten z blizną już raz wślizgnął się do szpitala. Myślałeś, że przyszedł zapytać o twoje zdrowie? Jutro lub pojutrze kwestor załatwi ci przeniesienie do jednego z naszych szpitali, wtedy wszyscy będziemy spokojniejsi. Na razie weź to.

Podał mu pistolet. Fazio schował go pod poduszkę.

– Tylko uważaj, żeby go nie zobaczyła pielęgniarka, bo zaraz ci go skonfiskuje.

– Potem schowam go lepiej.

– Muszę ci zadać ważne pytanie. Namysł się dobrze, zanim mi odpowiesz.

– Proszę pytać.

– Czy Manzella podał ci przypadkiem swój adres w Vigacie?

– Tak. Raz chciał, żebym do niego przyszedł, dlatego podał mi adres. Potem zmienił zdanie. Tylko, że ja już nie pamiętam, co to była za ulica.

– Może via della Forcella.

Fazio zaprzeczył bez wahania.

– Nie, na pewno nie. To była... to była...

– Nie wysilaj się teraz, na pewno sobie przypomnisz. Pamiętasz numer mojej komórki?

– Tak.

– Jeśli przypomnisz sobie ten adres, zadzwoń do mnie, obojętnie o której godzinie, choćby w nocy. A teraz opowiedz mi spokojnie wszystko, co zdarzyło się od chwili, kiedy do ciebie strzelono.

Fazio zaczął opowiadać.

Ponieważ wyszedł z domu na wiele godzin przed ustaloną porą spotkania z Manzellą i nie jadł jeszcze kolacji, poszedł do trattorii i zabawił tam dłuższy czas. Zagrał nawet partyjkę w trisette i w briscolę z przyjaciółmi,

których spotkał w restauracji. Po północy poszedł do portu i zaczął spacerować po centralnym nabrzeżu, od strony magazynów chłodni. Był to moment największego ruchu. Przybijały kutry, wyładowywały połów, odpływały na cumowisko, odjeżdżały ciężarówki chłodnie z transportem ryb. Fazio chodził tak długo, aż rozbolały go nogi, ale Manzella się nie zjawiał. W końcu około trzeciej nad ranem, gdy w porcie nie było już prawie nikogo, postanowił wrócić do domu. Kiedy doszedł na wysokość nabrzeża holowniczego, usłyszał strzał z rewolweru i kula przeleciała tuż obok jego głowy. Iść naprzód nie mógł, zbliżyłby się w ten sposób do człowieka, który do niego strzelał. Wobec tego odwrócił się i pobiegł w stronę magazynów, słysząc za sobą odgłosy pościgu.

- Byli tam jacyś ludzie?
- Chyba kogoś widziałem.
- Nikt ci nie pomógł?
- Żartujesz sobie?
- Mów dalej.

Fazio chciał dotrzeć do końca nabrzeża i schronić się w budynku pilotów. Nie zdążył jednak tam dobiec, drugi strzał musnął go z tyłu w szyję i Fazio upadł na ziemię. Uderzył głową w kamień i zemdlał. Oprzytomniał na chwilę w magazynie chłodni, który jednak nie był czynny.

- To magazyn Rizziki.
- Nie znam go.
- Ja go znam, mów dalej.

Kiedy znowu się zbudził, znajdował się w łodzi, najwyraźniej przewozili go z centralnego nabrzeża na zachodnie.

- Nie rozumiem, dlaczego musieli mnie przetransportować łodzią.
- Zaraz ci to wyjaśnię. Wrzucenie cię do bagażnika byłoby ryzykowne,

strażnik portowy czasami każe go otwierać do kontroli.

Potem Fazio zrozumiał, że wiozą go gdzieś samochodem. Kolejny raz doprowadzili go do przytomności, waląc go pięściami. Postawili go na nogi i kazali mu iść. Było ich dwóch.

Doszli do poidła dla zwierząt i tam jeden z nich zaczął go grzmocić, żądając, aby Fazio wyznał, czego się dowiedział od Manzelli. Fazio nie pamiętał już jednak, kto to taki, ten Manzella, nie pamiętał nawet, kim jest on sam. W końcu tamci zawlekli go do studni, chcąc go wrzucić do środka. Kiedy po szamotaninie jeden z typów skończył w studni, a drugi uciekł przed strzałami, Fazio usłyszał odgłos odjeżdżającego samochodu. Zaczął iść przed siebie, nie wiedząc dokąd, aż znalazł kryjówkę w tunelu. Po jakimś czasie usłyszał nadjeżdżający samochód. Był przekonany, że szuka go ten z blizną, wobec tego strzelił. Potem obudził się już w szpitalu.

– Bandyci nie szukali cię w tunelu.

– Przysięgam, że...

– To był radiowóz. Byliśmy w nim ja i Gallo.

– To znaczy, że strzeliłem do was?

– Tak. Na szczęście czułeś się tak źle, że nie trafiłeś.

– Boże święty! – powiedział Fazio. – Mogłem was zabić!

Otworzyły się drzwi i na progu pojawiła się strażniczka więzienna.

– Czas wizyty się skończył.

– Jeśli przypomnisz sobie ten adres, koniecznie zaraz do mnie zadzwoń.

Gdy znalazł się w windzie, popatrzył na zegarek. Niepostrzeżenie zrobiła się już prawie szósta. Na parterze znajdował się bar. Komisarz usiadł przy stoliku, czas wizyt już się skończył i było całkiem pusto.

– Zamawia pan coś? – spytał barman. I dodał:

– Za pół godziny zamykamy.

Kelner najwyraźniej już poszedł do domu.

– Tak, poproszę J&B bez lodu.

Poszedł odebrać drink przy kontuarze, zaniósł go sobie do stolika i wypił małymi łyчками, żeby zabić czas. Po trzecim łyku poczuł, jak ogarnia go fala melancholii.

Jeśli się boisz tego wieczoru, zadzwoń do Angeli, znajdź jakąś wymówkę i wracaj do Vigaty – zasugerował drugi Montalbano.

Angela nie ma tu nic do rzeczy, albo tylko w minimalnym stopniu – odpowiedział poirytowany pierwszy Montalbano.

Akurat! Angela jest główną przyczyną twojego melancholijnego nastroju i doskonale o tym wiesz! – odpowiedział drugi Montalbano.

Równy dwadzieścia dziewięć po szóstej zapłacił i wyszedł. Zaczął chodzić tam i z powrotem, paląc jednego papierosa pod drugim. Kiedy skończył trzeciego, wolnym krokiem skierował się na parking, o tej porze już prawie pusty, tak że jego samochód, schowany wcześniej za innymi autami, był teraz doskonale widoczny. Najpierw wydało mu się, że w środku nie ma nikogo, ale kiedy się już zbliżył, zobaczył przeblysł jasnych włosów Angeli. Siedziała na fotelu pasażera, pochylona do przodu, żeby nie było widać jej twarzy.

– Mów mi po imieniu.

– Wobec tego ty też.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę.

– Dlaczego?



- Jest między nami zbyt duża różnica...
  - Wieku?
  - Nie! Ależ skąd! Chodzi mi o to, że jest zbyt duża różnica... stanowiska, otóż to.
  - Masz na myśli status społeczny?
  - Właśnie.
  - Naprawdę uważasz, że to się liczy?
  - Oczywiście że tak!
  - A gdybym leżał w szpitalu i był twoim ciężko chorym pacjentem, mówiłabyś mi na pan czy na ty?
  - No cóż... może na ty.
  - Widzisz? To udawaj po prostu, że jestem umierający.
- Angela zaśmiała się.
- Przekonałeś mnie. Tylko nie pomyśl sobie, że mam ochotę zacząć się z tobą bawić w lekarza.
- Powiedziała to pół żartem, pół serio. Tym razem to Montalbano się zaśmiał.

## 13

- Masz jakieś ograniczenia co do kolacji?
- W jakim sensie?
- Jesz wszystko czy jesteś na diecie?
- Jem wszystko i mam zawsze wilczy apetyt.
- Lubisz ryby?
- Uwielbiam.
- Będzie ci przeszkadzać, jeśli zapalę?
- Nie. Mnie też daj papierosa.

- O której jutro zaczynasz dyżur?
- Jutro pracuję na popołudniowej zmianie.
- Czyli możesz wrócić do domu późno?
- Oczywiście.

I uśmiechnęła się bardzo lekko.

- Czy dobrze mi się zdaje, że nie masz narzeczonego?
  - Miałam jeszcze kilka dni temu.
- Powiedziała to takim tonem, że Montalbano nadstawił uszu.
- Ty go zostawiłaś czy on ciebie?
  - On mnie.
  - Jak śmiał?

– Nie rozumiem.

– Trzeba wiele odwagi, żeby zostawić taką dziewczynę jak ty. Byłaś w nim zakochana?

– Tak.

– Ale on w tobie już nie.

– A właśnie, że on też był zakochany!

– To dlaczego się rozstaliście?

Najwyraźniej nie miała ochoty o tym mówić. Montalbano zorientował się, że trafił w słaby punkt.

– Nie zawsze... – zaczęła.

– No powiedz.

– Nie zawsze sprawy układają się tak, jak byśmy chcieli.

Trzeba było naciskać.

– Chcesz powiedzieć, że był w jakiś sposób zmuszony cię zostawić?

– Tak.

– Nie możesz go skłonić, żeby zmienił zdanie?

– Nie, to niemożliwe.

– Nalegaj na niego!

– Nie chcesz zrozumieć, że...

Powiedziała to z desperacją. Trafił w samo sedno, udał jednak, że zupełnie nie połapał się w sytuacji.

– Ożenił się z inną?

– Gdyby tylko to! Proszę, zmieńmy temat.

– Ależ ty płaczesz! Proszę, nie myślałem, że...

Nie da się ukryć, że był zwykłą świnią. Sam ją doprowadził do łez, a teraz udawał, że nie przyszło mu do głowy, że jego pytania odniosą taki skutek.

- Dokąd mnie wieszysz?
  - Do restauracji nad brzegiem morza, gdzie podają taką obfitość przekąsek rybnych, że radzę ci zrezygnować z pierwszego dania.
  - Cudownie! Daleko jeszcze?
  - Będziemy za pół godziny.
  - To blisko od twojego domu?
  - Dziesięć minut.
  - Masz ładny dom?
  - Jest pięknie położony. Ma werandę wychodzącą na plażę, siedzę na niej godzinami.
  - Pokażesz mi ją po kolacji?
  - Jeśli chcesz.
  - Poczęstujesz mnie whisky na werandzie.
- 
- Przykro mi z powodu twojego przyjaciela, ale cieszę się, że dzięki temu mogłam cię poznać. Jak on się czuje?
  - Coraz lepiej, szybko wraca do zdrowia.
- Twój ruch, Angelo.*
- Powiedziano mi, że stracił pamięć, czy to prawda?
- Niezłe otwarcie partii.*
- Niestety tak.
- Twoja piłka, Angelo.*
- Ale ją odzyskuje?
- Mocny, bezpośredni serw.*

– Na tym polega problem.

– W jakim sensie?

– Coś sobie zaczyna przypominać, ale powoli i wszystko mu się jeszcze miesza. Pomyśl tylko, nie wie nawet, dlaczego znajdował się w porcie, kiedy do niego strzelono.

– Biedak! To o czym rozmawiacie, kiedy go odwiedzasz?

– O tych nielicznych szczegółach, które utkwily mu w głowie. Pamięć wraca mu w dziwny sposób. Przypomina sobie gesty, sytuacje, ale nie twarze osób czy ich imiona.

– A co mówi profesor Bartolomeo?

– Że to będzie długi proces.

– Dlaczego przeniósł go na poddasze?

*Błąd. Tego pytania nie powinnaś była zadawać.*

– Kwestor poprosił go o jak najlepszą ochronę dla mojego przyjaciela. Obawia się, że ktoś może nastawać na jego życie.

– Ale przecież niczego nie pamięta!

*Doskonale odegrane zdumienie.*

– No tak, ale ci, którzy chcą go zabić, nie mogą tego wiedzieć.

– Jak tu pięknie! Usiądźmy jak najbliżej morza.

– Słuchaj, czy ja cię trochę nie brzydzę?

– Dlaczego?

– Jem jak... ale nie mogę się oprzeć tym zakąskom.

– Lubię kobiety o zdrowym apetycie. Zamówimy następną butelkę?

– Tak.

– ... a w szpitalu to dopiero zdarzają się sytuacje! Był na przykład lekarz w pogotowiu ratunkowym, teraz na szczęście gdzieś się przeniósł, który ani na chwilę nie zostawiał mnie w spokoju! Pomyśl, że kiedyś zaczął mnie obłapiać przy jakimś umierającym pacjencie... mówił, że to go podnieca... a pewnego dnia jakiś rekonwalescent, to był przewodniczący trybunału, kiedy się nad nim pochyliłam...

– Nie, nie chciałam być pielęgniarką, marzyłam o studiowaniu medycyny, ale mój ojciec zmarł, renta ledwie wystarczała mnie i matce na życie, no więc... już ci mówiłam, prawda? Czasem trzeba robić coś, na co się nie ma ochoty...

– Tobie często się to zdarzało?

*Zaczynamy ostrą grę.*

– Co takiego?

*Wiesz doskonale, chcesz tylko zyskać na czasie.*

– Robić rzeczy, na które nie miałaś ochoty.

– No cóż, czasami.

– A zdarzyło ci się zrobić coś wbrew własnej woli, co potem okazało się przyjemnym przeżyciem?

Nie odpowiedziała od razu. Zrozumiała, że od tej odpowiedzi wiele zależy.

– Dwa czy trzy razy.

*Przejdźmy do bezpośredniego ataku.*

– A dzisiaj wieczorem?

– Nie rozumiem.

*Potrzebujesz więcej czasu, Angelo?*

– Myślisz, że wieczór miło się skończy?

– Powiem ci, kiedy się już skończy.

Od dłuższej chwili już się nie uśmiechała. Dodała:

– Na razie jest bardzo miły.

Montalbano nie otworzył ust. Po chwili powiedziała:

– Zresztą nikt mnie nie zmuszał, żebym z tobą wyszła.

Trochę zbyt późno przyszła ta uwaga.

– Chcemy już iść?

– Tak.

– Odwieźć cię do Fiakki?

– Nie.

– Chcesz wpaść do mnie?

– Tak.

Montalbano włączył silnik, ale nie ruszył od razu. Pochylił się i zaczął zaglądać pod siedzenie, jak gdyby coś zgubił.

– Czego szukasz?

– Zdawało mi się, że...

I ruszył tak gwałtownie, że Angelę odrzuciło na oparcie siedzenia. We wstecznym lusterku komisarz ujrzał, jak samochód, niebieski metalik, który jechał za nimi od Fiakki, także szybko rusza z parkingu. Wszystko się zgadzało. Zwolnił trochę.

Na wysokości plaży Scala dei Turchi zwolnił jeszcze bardziej. Jechał teraz z szybkością może dwudziestu kilometrów na godzinę i każdy kierowca,

który go wyprzedzał, pokazywał mu niedwuznacznie, co o nim myśli. Biedne auto metalik, które miało silnik o wielkiej mocy, strasznie się męczyło, jadąc za nim z taką samą szybkością. W pewnym momencie Montalbano oderwał prawą rękę od kierownicy i położył ją na udzie dziewczyny. Nie zareagowała. Po chwili ręka powędrowała dalej i wsunęła się między ściśnięte nogi Angeli. Także tym razem dziewczyna się nie poruszyła.

Gdy tylko weszli do domu, Montalbano, nic nie mówiąc, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Nie odwzajemniła uścisku, ale pozwoliła, żeby jej ciało przylgnęło do jego ciała.

Jednak gdy tylko komisarz poszukał jej ust, odwróciła gwałtownie głowę.

– Nie chcesz, żebym cię całował?

– Tak, ale nie w usta.

– Jak chcesz – powiedział Montalbano, zaczynając pieścić jej sutki.

Po chwili zapytała:

– No to poczęstujesz mnie whisky na werandzie?

– Mogłabym tak siedzieć przez całą noc.

To była jej druga szklaneczka whisky. Siedziała na ławce obok Montalbana, z głową na jego ramieniu. Niebo było idealnie przejrzyste, usiane gwiazdami tak gęsto, jak rzadko się zdarzało. Chwilę wcześniej brzegiem morza przeszedł powoli mężczyzna w kapturze. Oni dwoje na werandzie byli oświetleni jak aktorzy na scenie, ale mężczyzna nawet się nie odwrócił w ich stronę.

Idiota – pomyślał Montalbano. – Każdy normalny człowiek by popatrzył.

Czy to był kierowca metalika, czy ten, który siedział na fotelu pasażera?



– Wejdziemy do środka?

– Mogę wypić najpierw jeszcze jedną whisky?

– Już trzecią? Nie. Po całym tym winie, które wlałaś w siebie przy kolacji, upiłabyś się kompletnie.

– A jaki to dla ciebie problem?

– Nie lubię się kochać z pijaną kobietą.

Angela wydała z siebie długie westchnienie.

– No dobrze, chodźmy.

Podczas gdy wstawali, na brzegu morza pojawił się, idąc powoli, drugi mężczyzna, bez kaptura na głowie. Ależ ruch panował na plaży tej nocy! Jednak ten drugi facet, inaczej niż pierwszy, zatrzymał się, aby na nich popatrzeć.

– To jest sypialnia, a to łazienka.

Usłyszał, że dzwoni komórka, którą zostawił na stoliku w jadalni.

– Pójdę odebrać. Ty się tymczasem rozbierz.

Przesunął dłonią po jej pośladkach i wyszedł.

Odebrał telefon na werandzie.

– Halo?

– Panie komisarzu, mówi Fazio.

– O tej godzinie?

– Przepraszam, ale powiedział pan, że mogę dzwonić o każdej porze.

– Chodziło mi o ciebie! Dlaczego nie śpisz?

– Nie mogę zasnąć.

- No dobrze, co mi chciałeś powiedzieć?
- Przypomniałem sobie adres Manzelli. Via Bixio dwadzieścia dwa.
- Dziękuję. Teraz spróbuj zasnąć.

Mężczyzna na plaży wciąż jeszcze stał i patrzył w stronę domu. Montalbano zgasił światło na werandzie i zamknął drzwi balkonowe.

Nie rozebrała się. Siedziała na brzeжку łóżka i wpatrywała się w swoje buty.

- Wolisz, żebym to ja ciebie rozebrał?
- Nie obrazisz się, jeśli ci coś powiem?
- Powiedz.
- Jakoś przeszła mi ochota.
- W porządku, zawołam ci taksówkę.

Zmieszała się. Nie oczekiwała, że Montalbano podda się tak łatwo. Potem opanowała się i powiedziała:

- Mogę tu posiedzieć jeszcze trochę?

Nie mogła wyjść z domu zbyt szybko. Ci, którzy ich obserwowali, doszliby do wniosku, że nie wykonała zadania.

- Nie tutaj. Chodźmy z powrotem na werandę.
- Nie. Na zewnątrz jest zimno.

Gdyby wyszli na werandę, gdzie widać ich było z daleka, od razu byłoby wiadomo, że nic jej się nie udało zdziałać.

– Słuchaj, jeśli zostaniemy w sypialni, coraz trudniej będzie mi się opanować. Rozumiesz?

- Tak, ale...
- Możemy pójść na kompromis.

– Jaki?

*Odwagi, Montalbà. Im bardziej będziesz wulgarny, tym łatwiej złamiesz dziewczynę.*

– Zrobisz mi laskę i pozwolę ci odejść.

– Nie!

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego cały czas mnie zachęcałaś, wprosiłaś się do mojego domu, a teraz...

*No dalej, idź na całego, Montalbà.*

– ...nie chcesz spuścić majtek i rozłożyć nóg?

Angela wzdrygnęła się, przyłożyła dłoń do lewego policzka, jak gdyby ją uderzył.

– Przeszła mi ochota, mówiłam ci.

*Marna wymówka, ale udajmy, że w nią wierzę.*

– W porządku, zrobimy tak. Odwiozę cię do Fiakki.

– Teraz?

– Teraz.

– Nie możemy... za godzinę?

– Tyle potrzeba, żeby można było uwierzyć, że skończyliśmy się pieprzyć?

Ona aż podskoczyła.

– O czym ty mówisz? Kto miałby w to wierzyć?

– Siadaj.

– Nie.

Chwycił ją za ramię i rzucił na łóżko. Podniosła się do połowy na ramionach, z zaciśniętymi pięściami.

– Dobrze, mam tego dość. Albo mi dasz po dobroci, albo ci pokażę, gdzie twoje miejsce.

– Proszę cię...

– Żarłaś i piłaś za moje mońce, a teraz fikasz i gadasz, że ci się dymać nie chce? Myślałaś, że mnie wyrolujesz, że starucha w jajo zrobisz? Tak se kombinowałaś, pindo? No to zaraz zobaczysz, co ja robię takim szmatom.

Bardziej jeszcze niż jego głosu Angela musiała się przestraszyć nieoczekiwanego przejścia na slang. Wpatrywała się w niego, jak gdyby widziała go po raz pierwszy.

– Ja... myślałam, że jesteś inny.

– To źle myślałaś.

Z wściekłością w jednej chwili ściągnął z siebie marynarkę i koszulę, stanął przed nią nagi do pasa. Czuł się śmieszny i pewnie taki był, wstydził się tego, co robi, ale musiał grać dalej swoją rolę, dopóki ona się nie załamie.

– Zdejmuj bluzkę i stanik.

Usłuchała, nie schodząc z łóżka. Montalbano zapatrzył się mimowolnie w jej wspaniałe cycki.

– Teraz resztę. I to już!

Stała przy łóżku, obróciła się do niego plecami i spuściła spodnie.

Przez chwilę Montalbano poczuł się jak nowy święty Antoni.

– Majtki też!

Gdy tylko to zrobiła, Montalbano stanął za nią, rozpiął zamek spodni, robiąc jak najwięcej hałasu, po czym chwycił Angelę za boki.

– Pochyl się.

Chwyciła się oparcia krzesła. Czuł, jak trzęsie się cała pod dotykiem jego rąk, potem z jej ust wydobył się dziwny dźwięk, jak gdyby powstrzymywanych siłą wymiotów.

– Ubieraj się – powiedział i usiadł na brzegu łóżka.

Podczas gdy wkładała ubranie, komisarz patrzył na jej plecy wstrząsane szlochem.

– Damy temu spokój i porozmawiamy serio?

– Tak – powiedziała Angela, pociągając nosem jak mała dziewczynka.

– Już przy naszym pierwszym spotkaniu zrozumiałem, że coś nie gra. Popełniłaś wielki błąd.

– Jaki?

– Widzisz, zapytałaś, kogo szukam. Powiedziałem ci, że chcę odwiedzić przyjaciela, który nazywa się Fazio i miał operację na głowę. Od razu zaprowadziłaś mnie na czwarte piętro.

– A gdzie cię miałam zaprowadzić? Wiesz, jak są zorganizowane szpitale? Jeśli mi mówisz, że twój przyjaciel był operowany na głowę, to ja od razu wiem, że będzie na czwartym piętrze, na oddziale profesora Bartolomea!

– Naturalnie. Ale skąd wiedziałaś, że leży w pokoju numer sześć? Nie pytałaś nikogo, zaprowadziłaś mnie prosto pod właściwe drzwi! Czy może chcesz mi wmówić, że pamiętasz, gdzie leży każdy z trzystu pacjentów w szpitalu?

Dziewczyna przygryzła wargę i nic nie odpowiedziała.

Siedzieli w jadalni, drzwi balkonowe były zamknięte.

Angela poszła do łazienki, żeby się trochę odświeżyć. Komisarz włożył z powrotem koszulę i marynarkę, po czym także poszedł obmyć twarz, spoconą po odegranej scenie.

– Tego samego dnia po południu wróciłem do szpitala swoim samochodem, a nie radiowozem, jak rano. Ty jednak wiedziałaś, że przyjechałem własnym autem. Wspomniałaś o tym, kiedy dyskutowaliśmy, jak dotrzeć tu, do Vigaty. Skąd to wiedziałaś? Parking znajduje się daleko od

szpitala, nie można go zobaczyć z okien, więc ktoś musiał cię o tym poinformować. Zgadza się?

Angela przytaknęła głową.

– Kolejny błąd: recepcjonistka w punkcie informacyjnym nie wiedziała, gdzie przewieziono Fazia. A ty, na moich oczach, podeszłaś do niej, żeby się zapytać, a potem zaprowadziłaś mnie do windy, wjeżdżającej prosto na ostatnie piętro. To znaczy, że wiedziałaś już, dokąd zabrano Fazia, ale udałaś, że otrzymałaś tę informację od recepcjonistki. Zgadza się?

– Tak.

– Ostatni, największy błąd. Kiedy dałem ci klucze do samochodu, który zaparkowałem specjalnie w takim miejscu, żeby trudno go było znaleźć, podałem ci błędny numer tablicy rejestracyjnej. A jednak, kiedy przyszedłem na parking, siedziałaś już w środku. To znaczy, że doskonale ci opisano mój samochód i nie musiałaś nawet sprawdzać numeru rejestracyjnego.

Montalbano nalał sobie whisky.

– Daj i mnie trochę, bardziej się już nie upiję – powiedziała Angela.

Komisarz podał jej szklanekę.

– Jak wciągnęli cię w tę historię?

Objęła głowę rękoma i nie odpowiedziała.

## 14

– Nie wątpię, że jesteś porządną dziewczyną. Mam ci opowiedzieć, jak to zrobili?

– Nie możesz wiedzieć.

– Spróbuję zgadnąć. Wystarczy, że będziesz potakiwać albo zaprzeczać. Straciłaś narzeczonego, bo zginął, zepchnięto go do studni?

Ona rzuciła się do tyłu z wytrzeszczonymi oczami, zbladła i wymamrotała z trudem coś, czego komisarz nie rozumiał. Ze zdumienia zabrakło jej tchu. Spróbowała znowu coś powiedzieć:

– Ale... jak... jak się...

– Nie martw się, już mi odpowiedziałaś. Wobec tego mówię dalej. Przyjechał ci to powiedzieć przyjaciel twojego narzeczonego, który zawsze z nim pracował. Facet z blizną na policzku. Powiedział ci, że to Fazio zabił twojego narzeczonego, i że chcą go pomścić. I że ty masz obowiązek im w tym pomóc. Wystarczy, że powiesz, na którym piętrze i w którym pokoju leży Fazio. Ty się zgodziłaś.

– Ale...

– Wiem, podałaś mu tylko piętro, ale nie numer pokoju. Zmieniłaś zdanie, prawda?

– Tak, nie chciałam, żeby... w pierwszej chwili byłam wściekła i zrozpaczona, potem pomyślałam, że ten człowiek wypełnił swój obowiązek.

– Wiedziałaś, że twój narzeczonego... jak on się nazywał?

– Tak jak ja. Angelo. Angelo Sorrentino.

– ... wiedziałaś, czym się zajmował?

– Nigdy o tym nie mówił. Ale od kilku miesięcy zaczęłam coś podejrzewać.

– Jak się nazywa ten z blizną?

– Vittorio Carmona.

– To on siedzi tam na zewnątrz w aucie?

– Tak.

– A ten drugi?

– Nie znam go.

– Potem powiedziałaś Carmonie, że nie chcesz mieć nic wspólnego z tą historią, a on zaczął cię szantażować. Czy tak?

– Tak, powiedział, że napisze list, w którym opowie, że to ja wpuściłam go do szpitala, bo byłam narzeczoną Angela. A gdyby tego nie starczyło, to mnie zabije.

– Co ci kazali zrobić dzisiaj wieczorem?

– Przespać się z tobą i wyciągnąć z ciebie informacje.

– Co chcieli wiedzieć?

– Co pamięta Fazio i czy wymienił jakieś nazwiska.

– Ale przecież dałam ci opowiedź już w restauracji, nie musiałaś iść ze mną do łóżka.

– Nie. Mylisz się, to nie dlatego.

– To wobec tego dlaczego?

– Nagle pomyślałam sobie o Angelu. I nie byłam w stanie. Potem...

– ... zrozumiałaś, że nie jesteś w stanie odegrać roli Judasza.

Nie odpowiedziała, zatrzęsła jej się broda.

– Tylko tego chcieli?



– Nie.

Zarumieniła się, wyglądała na obrażoną.

– Wstydzę się powiedzieć.

– To ja ci powiem. Chcieli, żebyś mnie omotała, żebym stracił dla ciebie głowę. Gdybyśmy mieli romans, dzięki tobie mogliby dowiadywać się o wszystkich działaniach policji.

– Miałam zostać kurwą na pełny etat. I co ja im teraz powiem? Carmona mnie zabije.

– Powiesz im to, co ja ci powiem. Posłuchaj uważnie.

Do komisariatu przyjechał około dziewiątej, potwornie niewyspany. O czwartej nad ranem wyszedł z domu, trzymając się za rękę z Angelą, i na użytek ewentualnych obserwatorów-kontrolerów, zanim wsadził ją do samochodu, całowali się długo, mocno objęci, jak kochankowie, którym nie wystarczyła spędzona razem noc. Jednak gdy Montalbano poczuł usta Angeli na swoich, zrozumiał, że pocałunek nie jest tylko udawaniem, kryło się za nim szczere uczucie wdzięczności. Krew w nim zawrzała i zakręciło mu się trochę w głowie.

– Pozwolisz mi prowadzić?

Komisarz chętnie ustąpił jej miejsce za kierownicą, bo po tym całym całowaniu przypomniał mu się widok nagich piersi dziewczyny i nie czuł się na siłach prowadzić. Wszystkie proste odcinki drogi wydałyby mu się zakrętami.

Drogi były puste, Angela prowadziła pewnie i jechała szybko. Samochód metalik gdzieś zniknął, pewnie po jakimś czasie odjechali, przekonani, że on i Angela tarzają się po łóżku. Ale i tak jazda zajęła dziewczynie godzinę i kwadrans. Drogę powrotną pokonał komisarz w godzinę i pięćdziesiąt

minut. Po powrocie do Marinelli wziął prysznic, na który zużył niemal całą wodę w zbiorniku, i wypił pięć kaw z rzędu.

Jeszcze parkował samochód, kiedy usłyszał głos dziko zdenerwowanego Catarelli.

– Oj, panie komisarzu! Oj, panie komisarzu, panie komisarzu! – wołał, biegnąc w stronę samochodu.

Musiało to być coś poważnego. Montalbano nawet nie wysiadał z samochodu.

– O Matko Boska, a ja do pana telefonię i telefonię! Ale pan się od telefonu domowego wyłączył i komórkę też zaciszył!

– No dobrze, ale co się stało?

– Jedną kobietę umordowali!

– Komisarz Augello jest na miejscu?

– Tak, panie komisarzu. I on sam osobiście we własnej osobie mi zapowiedział, żebym panu opowiedział, że pan musi za nim osobiście zajechać w najpilniejszym czasowym sposobie. Tak mi on opowiedział, żebym powiedział!

– Podaj mi adres.

Catarella zaczął szukać po kieszeniach.

– Wypisałem sobie na karteluszkę takowym, jakiego nie znajduję. Oj, wynalazłem go, ale wyczytać dobrze nie mogę. To by była via Forchella albo Forchetta trzynaście.

Musiało chodzić o via della Forcella.

– Już tam...

Urwał nagle. Przypomniało mu się, kto mieszkał przy tej ulicy.

Kiedy dojechał na miejsce, zastał tam chaos. Przed bramą kamienicy tłoczyło się ze trzydzieści osób, dziennikarze, dwie ekipy telewizyjne. Dwaj strażnicy miejscy, przeklinając i wrzeszcząc, usiłowali utrzymać ludzi na dystans. Wszystkie balkony budynku były wypełnione podnieconymi gapiami. Komisarz zaparkował, wysiadł i utorował sobie drogę łokciami i przekleństwami. Jakiś dziennikarz pochwycił go za ramię.

– Niech pan nam powie, co pan myśli!

– A pan?

Tamtego zatkało i Montalbano przedostał się dalej bez przeszkód. Zwłoki leżały w połowie w środku, w połowie na ulicy, z nogami wystającymi spod zakrwawionego prześcieradła. Galluzzo rzucił się na powitanie komisarza.

– Ofiara to portierka tego budynku. Miała pięćdziesiąt trzy lata i nazywała się Matilde Verruso.

– Jak ją zabili?

– Dzisiaj wczesnym rankiem, gdy tylko otworzyła bramę, strzelili do niej przez okno samochodu, który następnie odjechał z dużą szybkością.

– Są świadkowie?

– Jeden gość z trzeciego piętra. Stał przy oknie i...

– Potem chcę go przesłuchać. Gdzie jest Augello?

– W środku.

Montalbano ruszył do środka, ale zaraz wrócił.

– Skoro zastrzelono ją wczesnym rankiem, to dlaczego ciało jeszcze tu leży?

– Bo prawie o tej samej porze zabito także burmistrza Gallotty i wszyscy najpierw tam popędzili. Ale mają tu być najpóźniej za kwadrans.

Oczywiście. Polityka ma pierwszeństwo. Komisarz wszedł to portierni.

Słysząc było czyjeś chrapanie.

– Kto to śpi? – spytał Augella.

– Mąż. Pijany w sztok.

– Słuchaj, gdzie mogę znaleźć klucz do mieszkania Manzelli?

– Nie masz tam po co chodzić. Już tam byłem, sam na to wpadłem.

– No i?

– Tej lunety, o której mi mówiłeś, tam nie ma. Lornetki też nie. Musieli je zabrać.

– Ale kiedy?

– O co ci chodzi?

– Mimì, zastanów się. Jeśli ci, którzy strzelali, od razu uciekli, nie mogli wziąć tych rzeczy z mieszkania. Nie mogli też po nie wrócić po zaboju. Luneta i lornetka zniknęły wcześniej. Czy to jasne?

– Jak słońce.

– Chcę porozmawiać ze świadkiem.

– Z panem Catalfamo? Trzecie piętro, mieszkanie numer dwanaście. Ale na dobrą sprawę nic nie widział.

– I tak chcę się z nim rozmówić.

Montalbano musiał długo naciskać guzik przy drzwiach. Najwyraźniej pan Catalfamo znajdował się na balkonie i nie słyszał dzwonka. Wreszcie zdecydował się jednak otworzyć. Przy okazji z mieszkania wionął na komisarza intensywny smród czosnku.

– Komisarz Montalbano.

– Eugenio Catalfamo, emeryt, wdowiec, bezdzietny, lat siedemdziesiąt osiem. Niech pan wejdzie.

– Proszę się nie kłopotać, chciałem zadać tylko jedno pytanie.

– I tak niech pan wejdzie.

Miał widać biedak wielką ochotę z kimś sobie pogadać. Ale jak długo komisarz mógł wstrzymać oddech?

– Dobrze, dziękuję.

Wszedł. Rozkład pomieszczeń był identyczny, jak w mieszkaniu Manzelli.

Przy stoliku stały dwa krzesła, Catalfamo podsunął jedno komisarzowi.

– Proszę siadać. Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję.

Nie był w stanie wytrzymać dłużej. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i podłożył ją sobie pod nos.

– Jestem bardzo przeziębiony. Chciałem tylko spytać, czy pan dobrze widział...

– Dobrze widzę.

– Bardzo mnie to cieszy. Czy pan widział samochód, z którego padł strzał.

– No pewnie, że widziałem! Podjechał tuż przed tym, jak biedna pani Matilde otworzyła bramę. Nawet jej nie dali czasu, żeby zrobiła bis! Biedaczka! Strzelili i uciekli!

Dlaczego biedna pani Matilde miałyby zrobić bis?

– Zapamiętał pan może numer tablicy rejestracyjnej?

– Nie zwróciłem uwagi.

– A kolor auta?

– Niebieski metalik. Duży samochód.

Komisarz oczekiwał takiej odpowiedzi. Po skończeniu dyżuru obserwacyjnego w Marinelli, o siódmej, Vittorio Carmona i jego kompan udali się załatwić małą poranną robótkę. Ale coś się Montalbanowi

w opowieści emeryta nie zgadzało.

– Proszę mi wybaczyć, powiedział mi pan coś na temat biednej portierki i otwartej bramy, co nie do końca zrozumiałem.

– Panie komisarzu, ja w nocy trzy godziny śpię.

– No cóż, zdarza się.

– Jeśli jest ładna pogoda, to siedzę na balkonie od czwartej rano.

– I co pan zobaczył?

– Dzisiaj rano, jeszcze przed piątą, przyjechała furgonetka z budą i stanęła przed bramą. Wszedł jakiś typ i zadzwonił do domofonu. Ja się cały wychyliłem, żeby zobaczyć, do kogo on dzwoni. Po dłuższej chwili otworzyła się brama i wyszła pani Matilde. Kiedy rozmawiali, akurat wychodził z budynku pan Di Mattia, który pracuje w Ravanusie, więc musi rano wstawać. Potem ten człowiek wszedł do budynku, a potem wyszedł, niosąc wielką lunetę, którą wsadził do furgonetki. Pani Matilde dała mu też jakąś paczkę. On ją wziął, odjechał, a ona zamknęła znowu bramę.

– Na którym piętrze mieszka pan Di Mattia?

– Na czwartym, jego żona na pewno jest w domu.

– Czy pani Di Mattia?

– Tak.

– Komisarz Montalbano.

– Proszę wejść. Ale mojego męża nie ma. Pojechał do pracy do...

– Ravanusy, wiem. Czy pani mąż ma komórkę?

– Tak.

– Może mi pani dać numer?

Zszedł do portierni. Śpiący mężczyzna chrapał jeszcze głośniej. Mimì siedział przy stoliku i przeglądał jakieś papiery.

– Zrobiłem małe rozpoznanie i odkryłem coś interesującego.

– Co?

– Że portierka cztery dni temu wpłaciła do banku pięć tysięcy euro. Czy to nie dziwne?

– Mimì, musimy porozmawiać. Wypłynęło wiele nowych rzeczy. Teraz poczekaj tutaj na lekarza i sądówkę, a potem zobaczymy się w komisariacie.

– Możesz mi zdradzić, co to za nowość?

– Lepiej porozmawiać na spokojnie.

– Teraz dokąd jedziesz?

– Nie powiem, bo cię zazdrość zdejmie. Na którą godzinę wezwałeś Rizzikę?

– Powiedziałem mu, żeby przyszedł koło dwunastej, ale rano był zajęty. Będzie dzisiaj po obiedzie, o czwartej.

Utorował sobie znowu łokciami drogę przez tłum, jeden typ z telewizji próbował go zatrzymać, ale Montalbano wysłał go do wszystkich diabłów, wskoczył do samochodu i odjechał. Zatrzymał się kilka przecznic dalej w jakimś spokojnym miejscu i wystukał numer Di Mattii.

– Pan Di Mattia? Mówi komisarz Montalbano.

– Słucham pana.

– Wie pan, że zastrzelono portierkę budynku, w którym pan mieszka?

– Tak, zadzwoniła do mnie żona. Telefonowała też przed chwilą, żeby mnie uprzedzić, że prosił pan o mój numer telefonu.

– Proszę posłuchać, pan Catalfamo powiedział mi, że dzisiaj wyszedł pan

z domu o piątej rano.

– Tak jak zawsze.

– Kiedy pan zszedł na dół, czy brama była otwarta, czy zamknięta?

– Zamknięta, ale biedna pani Matilde właśnie ją otwierała, bo ktoś zadzwonił do domofonu.

– Zauważył pan coś dziwnego?

– Nie, nie wydaje mi się. Pani Matilde postawiła w sieni wielką lunetę, która miała zostać zabrana.

– Powiedziała panu, do kogo należy?

– Sam ją spytałem. Odpowiedziała, że to własność pana Manzelli, który zadzwonił dzień wcześniej, że przyśle po nią furgonetkę. I rzeczywiście kiedy wyszedłem, zatrzymałem się na chwilę, bo musiałem zawiązać sznurówkę, i zobaczyłem, jak pani Matilde rozmawia z kierowcą furgonetki. Ale...

– Ale...

– Czy piąta rano to nie dziwna pora na odbieranie lunety?

Inteligentny gość z tego pana Di Mattii.

Teraz musiał pojechać do drugiego mieszkania Manzelli. Nie mógł sobie jednak przypomnieć adresu, który mu podał Fazio. Nie było rady, musiał do niego zadzwonić.

– Fazio? Mówi Montalbano.

– Wiedziałem, że to pan.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Co nowego?



– Dzisiaj rano przyjechał nasz policyjny lekarz, który potem poszedł porozmawiać z profesorem Bartolomeo.

– I co ustalili?

– Że dzisiaj po obiedzie, koło szóstej, przyjedzie po mnie karetka i zabiorą mnie do Palermo.

– Dlaczego?

– Bo on mówi, że jeszcze trzy czy cztery dni powinienem zostać pod obserwacją. Potem mnie wypuszczą. Jednak nasz lekarz powiedział, że muszę być co najmniej dwadzieścia dni na rekonwalescencji.

– Tak będzie dla ciebie lepiej.

– Panie komisarzu, ja będę na rekonwalescencji w Vigacie.

– No więc? W ten sposób będziesz nas mógł odwiedzać od czasu do czasu.

– Od czasu do czasu? Będę przychodził codziennie, jak gdybym był na służbie.

Montalbano nie odpowiedział. Bez Fazia czuł się jak bez prawej ręki.

– Przykro mi, że dzisiaj nie mogę przyjechać cię odwiedzić.

– Panie komisarzu, ponieważ moja żona jedzie do Palermo jutro rano, dzisiaj wieczorem odniesie panu pistolet do komisariatu.

– Dobrze. To na razie. Aha, zapomniałem. Możesz mi powtórzyć adres Manzelli?

– Tak. Via Bixio dwadzieścia dwa.

– Dziękuję. Trzymaj się i do szybkiego zobaczenia.

Postanowił wykonać od razu kolejny telefon. Popatrzył na zegarek, było wpół do jedenastej.

Jeśli ją zbudzi, to trudno.

– Cześć, Angelo, mówi Montalbano.

– Cześć, Salvo.

Miała zaspany głos.

– Spałaś?

– Nie, właśnie wstałam, ale jeszcze nie piłam kawy.

– Nie będę ci przeszkadzał. Czy nasz przyjaciel dzwonił już do ciebie, żeby się dowiedzieć, jak ci poszło i czego się ode mnie dowiedziałaś?

– Jeszcze nie. Ale jestem pewna, że niedługo to zrobi.

– Posłuchaj, chciałem cię uprzedzić, że dzisiaj po południu o szóstej po Fazia przyjedzie karetka, żeby go przewieźć do Palermo.

– Mam mu to powiedzieć?

– Tak. Specjalnie po to dzwonię.

– Jak mu to mam przekazać?

– Powiedz, że zadzwoniłem, żeby się dowiedzieć, czy dobrze spałaś, i przypadkiem wspomniałem o karetkce. Powinno się wydać wiarygodne, nie sądzisz?

– Tak. Słuchaj, ponieważ dzisiaj kończę pracę o dziesiątej wieczorem, będzie za późno, żeby iść gdzieś do restauracji.

– Coś dla ciebie przygotuję.

– Przyjadę samochodem prosto do twojego domu. Zostanę u ciebie do czwartej rano.

– Zgoda.

A jeśli już o tym mowa...

– Adeli? Mówi Montalbano.

– Słucham, panie komisarzu.

– Możesz zmienić pościel w sypialni? Na wszelki wypadek przygotuj też miejsce do spania w jadalni, ułóż materac na sofie i trzech krzesłach, tak jak to umiesz. I przygotuj dużo jedzenia na wieczór.

A skoro już miał wenę do telefonów...

– Catarella? Tu Montalbano.

– Na rozkazanie, panie komisarzu!

– Musisz mi poszukać w kartotekach dwóch facetów, którzy na pewno są notowani.

– Aby pan poczekał, zabiorę kartkę. Jakże się oni nazywają?

– Jeden to Angelo Sorrentino. Tylko zapisz poprawnie. Napisałeś przez S? Powtórz! Nie Ponentino! Sorrentino, do cholery. Jak ktoś, kto się urodził w Sorrento. Znasz piosenkę?

– Panie komisarzu, jak ją wyśpiewuję, to mi wychodzi Surrientino.

Na koniec, po licznych powtórzeniach i przekleństwach komisarza, Catarella zapisał prawidłowo nazwisko.

– A ten drugi, panie komisarzu?

– Nazywa się Vittorio Carmona. Dobrze usłyszałeś?

– Usłyszałem Cammona, panie komisarzu.

– Nie Cammona, Carmona przez r!

– No przecież Cammona przez r powiedziałem!

– Słuchaj, nie zostawiaj mi papierów na biurku. Daj mi je, kiedy wrócę, osobiście we własnej osobie.

Komisarz nie miał pojęcia, gdzie się może znajdować via Bixio. Nie chciał pytać Catarelli, który z pewnością skierowałby go na via Piscia. W samochodzie miał plan Vigaty. Wyjął go i zaczął szukać. W spisie ulic było podane, że via Bixio znajduje się w kwadracie C4. Przypominało to grę w okręty. Jak należało się spodziewać, ten kawałek mapy, na którym znajdował się kwadrat C4, był akurat urwany. Komisarz zdołał jednak zorientować się, że to gdzieś za San Giusippuzzo, już niemal poza granicami miasta. Dojechanie tam zajęło mu ponad pół godziny. Numer 22 na via Bixio, która w pewnej chwili przeszła w prawdziwą polną drogę, to był skromny jednopiętrowy dom stojący pośrodku zupełnie już zapuszczonego ogrodu i sadu. Do posiadłości wjeżdżało się przez bramę z kutego żelaza, która była otwarta. Montalbano wjechał w alejkę i zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami. Także wszystkie okiennice były zatrzęsnięte. Komisarz naciskał długo dzwonek przy drzwiach, ale nikt nie odpowiedział. Ponieważ najbliższy dom znajdował się co najmniej pięćdziesiąt metrów dalej i na horyzoncie nie widać było żywej duszy, komisarz wyciągnął z kieszeni pęk specjalnych kluczy, które podarował mu zaprzyjaźniony złodziej. Przy czwartej próbie drzwi się otworzyły i Montalbano odskoczył. Smród, jaki wydobył się z wnętrza, był równie intensywny, jak ten, który rano zaatakował jego nozdrza w mieszkaniu pana Catalfamo. Tym razem nie chodziło jednak o odór czosnku. Był to słodkawo-gorzki, mdlący zapach krwi, z którym komisarz spotkał się już tyle razy. Wsunął się do środka i wstrzymał oddech. Poszukał na ścianie przełącznika, znalazł go, zapalił światło. Znajdował się w salonie, w którym meble zostały przesunięte pod

ściany. Na środku pokoju stało tylko krzesło z wiklinowym siedzeniem, pociemniałym od zaschniętej krwi. Ślady krwi widać było zresztą wszędzie, na ścianach, meblach i na podłodze. Prawdziwa rzeźnia. Krzesło znajdowało się pośrodku koła brązowej krwi, jak gdyby ktoś kręcił się na nim i kręcił...

I nagle Montalbano zrozumiał, co zaszło w tym pokoju, ujrzał przed sobą scenę, która się tu rozegrała, ogarnął go irracjonalny lęk i instynktownie odetchnął głęboko. Odrażający fetor wywołał falę gwałtownych mdłości. Komisarz wycofał się z pomieszczenia, wypadł z budynku, zamknął za sobą drzwi, wsiadł do samochodu i odjechał. Po chwili musiał się jednak zatrzymać. Wsiadł z auta i zwymiotował.

– Oj, panie komisarzu! Tutaj wynalazłem w kartotece te wypiski o Cammonie, co jest przez r, i o Ponentine, co się nazywa Sorrentino. I potem mam zapowiedzieć, że telefonił pan Gargiuto. On powiedział tak, że jak pan na miejscu znajdzie się, to zaraz telefonicznie.

– Catarè, nic nie rozumiem. Kto ma dzwonić, ja czy Gargiuto?

– Pan, panie komisarzu.

– Przecież ja nawet nie znam tego gościa, jak mam do niego zadzwonić?

– Jak to pan go nie uznaje? Naprawdę pan prawdę mówi? – spytał bardzo zdziwiony Catarella.

– Nigdy o takim nie słyszałem.

– Ale jak to, panie komisarzu, on mnie powiedział, że on, czyli Gargiuto, panu, czyli komisarzowi Montalbanowi, udzielić miał odpowiedzi, bo pan, to znaczy komisarz Montalbano, zostawił mu do poczytania napisany list, bo...

Gargiulo z sądówki!

– Już wiem, już wiem. Słuchaj, jest komisarz Augello?

- On telefonił wcale niedawno, że za pół godziny będzie przybywać.
- Gdy tylko się zjawi, powiedz mu, żeby do mnie przyszedł.
  
- Co mi powiesz, Gargiù?
- Panie komisarzu, wstępnej odpowiedzi mogę udzielić od razu. Na dokładniejszą analizę będę potrzebował trzech lub czterech dni.
- Powiedz mi na razie, jakie są twoje pierwsze wnioski.
- To nie jest naturalny charakter pisma.
- Podrobiony?
- Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to, że sposób pisania jest wynikiem świadomego wysiłku.
- Czyjego?
- Autora listu.
- Zobaczmy, czy dobrze zrozumiałem. Autorowi listu nie podobał się jego zwykły sposób pisania i wysilił się, żeby zmienić swój charakter pisma?
- Mniej więcej. Autor listu, mężczyzna...
- Jesteś tego pewien?
- Jeśli mówię, że ten G. to mężczyzna, to znaczy, że to mężczyzna, który dołożył starań, aby jego pismo wyglądało na kobiece. Wyrażam się jasno?
- Całkowicie.
- Za trzy lub cztery dni, kiedy...
- Nie zwracaj już sobie tym głowy. To, co mi powiedziałaś, zupełnie wystarczy. Dziękuję i odeślij mi jak najszybciej list.
- Prześlę go od razu przez gońca.
  
- No więc co to za nowe informacje? – spytał Augello, wchodząc, kiedy

komisarz już od ponad półgodziny trudził się podpisywaniem papierów na biurku.

– Zaraz ci powiem. Jak poszło wczoraj z panią Manzellą?

– Rozpoznała ciało.

– Jak zareagowała na wiadomość?

– Powiedzmy, że było jej trochę przykro.

– Nie uprzedzałem cię, że to nie będą dla niej złe wieści? Nie tylko odziedziczy po mężu, ale będzie mogła od razu wyjść za mąż.

– No więc te nowości? – powtórzył Augello.

– Pierwsza jest taka, że przełożysz spotkanie z Rizzicą na jutro rano.

– Dlaczego?

– Bo dzisiaj najpóźniej o piątej musisz być w szpitalu w Fiakce, gdzie leży Fazio. Weźmiesz ze sobą Galla i Galluzza. Musicie być dobrze uzbrojeni.

– Co mamy zrobić?

– Około szóstej przyjedzie po Fazia karetka, żeby go przewieźć do Palermo.

– No więc?

– Musicie go eskortować. Dyskretnie, żeby nikt się nie zorientował, dlatego pojedziecie twoim samochodem. Jeśli chcą go sprzątnąć, to ich ostatnia okazja.

– Naprawdę myślisz, że...

– Tak, Mimì, naprawdę. Już próbowali drugi raz w szpitalu.

– A teraz jak się zachowają?

– Mogę ci powiedzieć, że na dziewięćdziesiąt procent za karetką będzie jechać duży samochód, niebieski metalik. Jeśli tam będzie, jeśli go zobaczycie, uwaga! To oni. Być może spowodują wypadek i skorzystają

z zamieszania, żeby spróbować się dobrać do Fazia. Powiem ci tylko, że to z tego samochodu strzelono dzisiaj rano do portierki.

– O kurwa! Ale kto ci powiedział o tym samochodzie?

To był delikatny punkt. Musiał za wszelką cenę uniknąć wmieszania Angeli w tę historię. Pomijając wszystkie inne względy, gdyby jej rola wyszła na jaw, dziewczyna nie dożyłaby następnego tygodnia.

– Rozmawiałem z pielęgniarzem, który spłoszył bandziora, kiedy on pierwszy raz wślizgnął się do oddziału szpitala, gdzie leżał Fazio. Opisał go tak dokładnie komisarzowi Caputowi z Fiakki, że identyfikacja nie sprawiła żadnego problemu.

– I kto to jest?

– Nazywa się Vittorio Carmona. Trzy zabójstwa, ukrywa się przed policją. Należy do rodziny Sinagrów. Sam sobie popatrz na jego kartotekę.

Montalbano wyciągnął teczkę z szuflady. Teczkę Sorrentina schował na samym dnie, pod stosem papierów. Nikt nie mógł jej zobaczyć, przed wyjściem miał zamiar ją schować, a potem spalić w domu w Marinelli.

– Gęba tryskająca uczciwością – skomentował Augello, oddając mu teczkę. Potem spytał:

– Skąd dowiedziałeś się o samochodzie?

– Rozmawiałem z parkingowym, wiesz, tym, który podnosi bramkę. Nasz kolega Caputo nie pomyślał o tym.

Montalbano miał wielką nadzieję, że Mimì nie zagada przypadkiem do parkingowego ani do komisarza Caputa.

– Chcemy porozmawiać o portierce?

– Wyrobiłeś sobie zdanie?

– Tak.



– No to opowiedz.

– Kiedy Manzella zostawił jej lunetę, pewnie ogarnęła ją ciekawość. Którejś nocy wstała i poszła przez nią popatrzeć. Najwyraźniej zobaczyła coś, co pozwoliło jej spróbować szantażu. Tamci, żeby zatuszować sprawę, zapłacili jej bez gadania. Potem weszli do mieszkania Manzelli, zabrali lunetę i lornetkę, a potem o świcie zamordowali portierkę.

– Mylisz się.

– W czym?

– W drugiej części.

– Wyjaśnij.

– Mimì, mam dwóch świadków, którzy mogą potwierdzić, że pani Matilde, portierka, sama przekazała lunetę i lornetkę facetowi, który przyjechał po nie furgonetką o piątej nad ranem.

– To zmienia...

– Powiem ci więcej. Jednemu ze świadków pani Matilde powiedziała, że przesyła te rzeczy pod nowy adres Manzelli, który on podał jej przez telefon poprzedniego dnia.

– Akurat! Przecież był już martwy od kilku dni!

– Wobec tego pytanie brzmi: jeśli nie odsyłała lunety i lornetki do prawowitego właściciela, to do kogo? Zastanów się!

Mimì pomyślał chwilę i doszedł do logicznej konkluzji:

– Do tych, których szantażowała.

– Widzisz, że kiedy się wysilisz, inteligencji ci nie brakuje.

– Ale w ten sposób pozbawiła się jedyne dowodu, jaki miała w posiadaniu!

– Mimì, ile wpłaciła na konto w banku?

- Pięć tysięcy euro.
- Przeszukałeś mieszkanie?
- Nie. Po co miałbym to robić?
- Bo w jakimś kącie na pewno znalazłbyś kopertę z drugą ratą okupu. Dokonali wymiany: pieniądze za lunetę, zapłata z góry. Jak tam wygląda sytuacja?
- Mąż poszedł się znowu upić, a na mieszkanie założono plomby.
- Świetnie. Kiedy przyjdzie pora, pójdziemy tam się rozejrzeć.
- To znaczy, że twoim zdaniem, po zapłaceniu tej drugiej raty i oddaniu lunety i lornetki przez portierkę, ich kontakty miały się zakończyć?
- Przynajmniej tak jej dali do zrozumienia. Tylko że kilka godzin później ją zastrzelili. I na tym polega prawdziwy problem.
- Nie rozumiem.
- Jeśli podsumuję wszystko od początku, zrozumiesz lepiej. Wszystko zaczyna się od niejakiego Manzelli, który zwierzył się swojemu przyjacielowi Faziowi z historii o przemyśle. Fazio nic nam nie powiedział, ale pan Rizzica przychodzi do nas tego samego dnia, kiedy zniknął Fazio, i opowiada, że podejrzewa, że jeden z jego kutrów może być zamieszany w handel narkotykami. Zauważyłeś rozbieżność?
- Chyba zbieg okoliczności?
- Mimì, ja znam język włoski, bo czytam książki. Ty natomiast jesteś nieoświeconym baranem i mylisz pojęcia. Powiedziałem rozbieżność, bo to miałem na myśli.
- Co miałeś na myśli jako rozbieżność?
- No widzisz? To jest twoim zdaniem poprawny sposób wyrażania się? Bierzesz lekcje od Catarelli? Rozbieżność polega na tym, że Manzella i Fazio mówią o przemyśle, a Rizzica opowiadał o handlu narkotykami.

– I wydaje ci się, że to istotne? Czy nie może chodzić o przemysł narkotyków?

– Możliwe. Ale w języku potocznym mówi się i o handlu narkotykami, i o przemyśle narkotyków.

– W szkole jesteście czy co?

– Nie. Gdybyśmy byli w szkole, już bym ci wlepił dwóję. Zwracam ci tylko uwagę na to rozróżnienie. Przemycać można wszystko: broń, papierosy, lekarstwa, składniki bomby atomowej.

– Ale czy Fazio jest pewien, że Manzella mówił o przemyśle?

– Absolutnie. I to pasuje.

– Dlaczego?

– Przedstawiam dalszy ciąg podsumowania, w ten sposób może i ty zrozumiesz. Manzella ociąga się kilka dni, potem wyznacza Faziowi spotkanie w porcie. Fazio nie wie, że to podstęp, bo w rzeczywistości Manzella został już zabity, i jedzie do portu. Strzelają do niego, ranią go i postanawiają wykończyć poza miastem, w okolicy trzech studni. Tu jednak zdarza się coś niespodziewanego. Fazio wyrywa się im i spycha do studni jednego z oprawców.

– Który nie został jeszcze zidentyfikowany.

– Nie.

Bezwstydne kłamstwo, bo wystarczyło wyciągnąć teczkę z szuflady i Mimì dowiedziałby się od razu imienia i nazwiska zmarłego. Komisarz nie mógł jednak nic powiedzieć, nie kompromitując Angeli.

– Wiemy jednak – mówił dalej komisarz – że jednym z tych dwóch był nasz Vittorio Carmona, bo Fazio rozpoznał go od razu z mojego opisu.

– Potem zabijają portierkę – powiedział Mimì.

– Właśnie. Dwa morderstwa, a właściwie trzy, ale Fazio działał w obronie

własnej, więc to się nie liczy. Oraz usiłowanie zabójstwa, które na pewno spróbują uwieńczyć sukcesem. Czy to nie za dużo?

– Czego?

– Nieboszczyków, Mimì. W tym sęk. Za dużo trupów jak na zwykły handel narkotykami. Nie mieszkamy w Boliwii.

– No więc?

– No więc za tym kryje się coś grubszego.

– Gdybyśmy zdołali odkryć, czego dowiedział się Manzella i dlaczego chciał to powiedzieć Faziowi... – zaczął Augello.

– Poczekaj chwilę – przerwał mu Montalbano.

Podniósł słuchawkę.

– Catarella, przysłali coś z zakładu sądowego?

– Tak, panie komisarzu, w tej minucie. List to jest.

– Przynieś mi go.

Catarella dostarczył przesyłkę, Montalbano otworzył kopertę i podał list Augellowi.

– To napisał mężczyzna czy kobieta? – spytał Mimì, gdy skończył czytać.

– Ja też zadałem sobie to pytanie. Pokazałem list Gargiulowi, który twierdzi, że autorem jest z pewnością mężczyzna, podszywający się pod kobietę.

– Transwestyta? Transseksualista?

– Możliwe. Przeczytaj i ten list.

Komisarz otworzył szufladę, wyciągnął list przyjaciela Manzelli, ten z załączoną fotografią marynarza, i podał go koledze.

– Nieźle – skomentował tylko Mimì.

– Moim zdaniem – powiedział komisarz – nasz przyjaciel Manzella, mąż,

ojciec dorastającego syna, w pewnym momencie swojego życia odkrywa inny świat. I odkrywa, że on należy do tego innego świata. Jego sprawa, nam nic do tego.

– Stosunkowo – wtrącił Mimì.

– Czemu tak uważasz?

– Bo właśnie kilka dni temu Beba zwróciła mi uwagę, że gdybyśmy wszyscy byli tacy jak oni, zdradzilibyśmy nasze powołanie do prokreacji.

– A kto ci powiedział, że takie jest nasze powołanie? Pan Bóg osobiście we własnej osobie? Powiedz mi szczerze, kiedy przed ożenkiem pieprzyłeś się na lewo i na prawo, nie stosowałeś wszelkich środków, żeby nie doszło do prokreacji? Gdyby to zależało od ciebie, świat mógłby pójść do diabła w wyniku wyginięcia rodzaju ludzkiego!

– A co to ma do rzeczy?

– Mimì, lepiej zostawmy temat na boku. Idę dalej. Pewnego dnia Manzella spotyka na swoje nieszczęście G. Prawdziwy grom z jasnego nieba i mam nadzieję, że nie uraziłem twoich uszu tym banalnym wyrażeniem, mój ty nawrócony wyznawco prokreacji. Spotykają się często, dopóki Manzella nie odkrywa przypadkiem, a może G. sam się przyznaje, że jest zamieszany w jakieś lewe interesy. Manzella nie chce stracić ukochanego i nie puszcza pary z ust. Potem jednak ktoś mu mówi, że G. go zdradza. Wtedy Manzella postanawia się zemścić i kontaktuje się z Faziem. Zmienia zdanie, wycofuje się, nie umie się zdecydować. W końcu G. domyśla się jego zamiarów, ostrzega tych, których musi ostrzec, a oni uciszają Manzellę raz na zawsze. Pasuje?

– To prawdopodobne wyjaśnienie.

– To jedyne wyjaśnienie – powiedział Montalbano, wstając. – Nie mamy jednak dowodów.

– Dokąd idziesz?

– Coś zjeść. I pamiętaj, kiedy będziecie jechać za karetką, dzwoń do mnie co piętnaście minut na komórkę. Pamiętaj, że możesz aresztować Carmonę w każdej chwili, bo to morderca poszukiwany przez policję. I pamiętaj, że może być niebezpieczny, nie zawaha się wyciągnąć broni. I strzela nie tylko dla postrachu.

– Świetnie, jeśli nadarzy się okazja, dam ci posłuchać strzelaniny przez komórkę, w ten sposób miło spędzisz czas – powiedział Mimì.

Komisarz nie miał jednak zamiaru iść na obiad. Co więcej, to, co musiał zrobić, nie sprawiało mu najmniejszej przyjemności, żołądek miał tak ściśnięty z nerwów, że nie zdołałby przełknąć nawet kawałka chleba.

Poza tym był pewien, że gdyby zjadł, nie byłby w stanie się zmusić, by wykonać oczekujące go zadanie.

Wiedział z doświadczenia, że pewnym rzeczom nie można stawiać czoła z pełnym żołądkiem.

Przed laty, gdy musiał przyglądać się Pasquanowi, robiącemu sekcję dziesięcioletniej dziewczynki, a był świeżo po obiedzie, przez kwadrans wymiotował potem na parkingu zgięty we dwoje. Nie poczuł się jednak źle z powodu tego, co robił doktor, czy dlatego, że musiał asystować przy sekcji, ale dlatego, że kiedy lekarz wyliczał na głos odniesione przez dziewczynkę rany (*głębokie nacięcia na lewym nadgarstku, wykonane tym samym ostrzem, które... rozległe pęknięcie w strefie pachwiny, spowodowane prawdopodobnie przez...*), on wyobraził sobie, a właściwie zobaczył tak wyraźnie, jak gdyby wydarzenie rozgrywało się na jego oczach, całą scenę zabójstwa, jego wstrząsające okrucieństwo, przemoc i bestialstwo.

Przechodząc koło Catarelli, komisarz powtórzył mu tę samą bajeczkę,

którą wcześniej uraczył Augella.

– Idę coś zjeść, mam ze sobą komórkę, gdyby coś się działo, zadzwońcie.

Wyszedł z budynku i zaraz zawrócił.

– Czy żona Fazia odniosła mój pistolet?

Catarella otworzył szeroko oczy.

– Pański pistolet? Pani Fazio? Czy ona jest w posiadaniu pozwolenia na broń?

– Kto?

– Żona Fazia.

– Nie sądzę.

– I chodzi z pistoletem w torebce?

– Catarè, nie gładź, już zrozumiałem, że jeszcze go nie odniosła. Na pewno się tu zjawi, więc zatrzymaj pistolet i oddasz mi go, kiedy wrócę.

Dlaczego pomyślał o broni? Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent w miejscu, do którego się udawał, broń nie powinna mu być potrzebna. A jednak...

Wsiadł do samochodu i pojechał na via Bixio.

Kolejne pytanie: dlaczego nie powiedział Mimì Augellowi, że zna ostatni adres Manzelli i nawet już tam był?

Nie było to związane z potrzebą chronienia Angeli, ona nie miała z tym nic wspólnego, adres podał mu Fazio, gdy tylko wróciła mu pamięć. A zatem?

Powód był tak prosty, że od razu go sobie uświadomił.

Gdyby powiedział Mimì, że był już w domu Manzelli, Augello na pewno by go zapytał, co znalazł w środku, i on musiałby wyjaśnić, że wprawdzie wszedł do mieszkania, ale zaraz z niego uciekł.

Już sobie wyobrażał zdziwioną i niedowierzającą twarz Mimì.

– Uciekłeś?! Ale przed czym?!

I jak mu wyjaśnić, że się przestraszył?

– Ty?! Ty się przestraszyłeś?! I czego mianowicie?

– Niczego konkretnego, Mimì. Powiedzmy, że zdjął mnie lęk metafizyczny.

– Lęk metafizyczny? Co za pierdoły mi tu opowiadasz?

Nie, Augello pomyślałby, że komisarzowi odbiło.

Montalbano nie mógł opowiedzieć innej bajeczki, a mianowicie, że dowiedział się od Fazio adresu ostatniego mieszkania Manzelli, ale jeszcze tam nie był, bo chciał, żeby pojechali do niego razem z Augellem. Mimì znał komisarza zbyt dobrze, żeby nie wiedzieć, że nigdy nie oparłby się ciekawości i że natychmiast popędziłby w to miejsce sam, mając w dupie poinformowanie kolegi.

Jak wybrnąć z tej sytuacji?

Otóż to, powie Mimì, że Fazio zadzwonił do niego z informacją, kiedy już zabrano go ze szpitala i przewożono do Palermo, bo dopiero wtedy przypomniał sobie ten adres, i wobec tego komisarz nie mógł uprzedzić Augella, który zajęty był eskortowaniem karetki.

Tymczasem Montalbano zajechał przed dom Manzelli.



## 16

Zaparkował i wysiadł z samochodu. Droga była chyba jeszcze bardziej pusta niż poprzednio, nikt nie spostrzegłby jego obecności, a gdyby przypadkiem ktoś przechodził obok i zauważył jakiś ruch, nie miałby powodów do podejrzeń, bo lokalne wiadomości nie podały jeszcze informacji o zidentyfikowaniu zwłok znalezionych w studni.

Komisarz nie wszedł od razu do środka, najpierw obejrzał dokładnie cały budynek z zewnątrz, żeby zapamiętać rozstaw wszystkich okien i móc od razu do nich trafić, kiedy znajdzie się w salonie.

Wreszcie zebrał się na odwagę. Przeszedł alejkę, otworzył drzwi wytrychem, zamknął je za sobą i nie otwierając oczu ani nie wciągając powietrza, w absolutnych ciemnościach ruszył przed siebie z wyciągniętą ręką. Trafił do pierwszego okna i otworzył na oścież okiennice. Wystawił głowę na zewnątrz i odetchnął głęboko. Powietrze było wilgotne, niebo zaciągnięte. Montalbano słyszał swój głośny i ciężki oddech, jak gdyby właśnie wyszedł z wody po przepłynięciu długiej trasy. Potem zamknął oczy, odwrócił się i znowu wstrzymując oddech, poszedł otworzyć drugie okno. Wyjrzał przez nie i znowu odetchnął głęboko.

Podniósł się lekki powiew, zapowiadający zmianę pogody, która już od rana była kapryśna. W każdym razie wiatr był użyteczny, sprzyjał przepływowi powietrza między oknami i oczyszczeniu pokoju z przeraźliwego odoru krwi. Nie ruszając się od okna, komisarz wypalił bez pośpiechu papierosa. Kiedy skończył, włożył niedopałek do kieszeni. Nie daj Bóg, żeby wpadł w ręce tych z sądówki! Przeprowadziliby badanie DNA,

i Arquà mógłby dojść do logicznego i nieuniknionego wniosku, że to Montalbano zamordował Manzellę w ataku zazdrości o względy jakiegoś transwestyty.

W końcu poczuł się gotów, by odwrócić się i popatrzeć na wnętrze salonu.

Ponieważ jednak po prawej stronie zobaczył schody prowadzące na pierwsze piętro, postanowił najpierw zbadać pokoje na górze.

Wszedł po schodach i znalazł się na małym podeście, na który wychodziło troje zamkniętych drzwi. Zapalił światło, co wystarczyło mu, żeby się zorientować, że pierwsze drzwi, te przed nim, prowadziły do sypialni, drugie do łazienki, trzecie do drugiej, mniejszej sypialni, gdzie stało pojedyncze łóżko, najwyraźniej przeznaczony na pokój gościnny.

Zaczął od tego ostatniego. Wszedł i zapalił światło. Na łóżku leżał tylko materac i poduszka, nie było zasłane. Szafka nocna z lampką, dwa krzesła, mała szafa. Otworzył ją. W środku znajdowały się tylko prześcieradła, poszewka na poduszkę i dwa wełniane koce. Tej nocy, której został zamordowany, Manzella nie gościł więc nikogo w tym pokoju.

Za to w łazience zastał komisarz prawdziwą rzeźnię. Cztery pobrudzone krwią ręczniki rzucone niedbale na ziemię, ślady krwi w umywalce, a nawet odcisk zakrwawionej ręki na ścianie kabiny prysznicowej. Było oczywiste, że Carmona i Sorrentino przed krojeniem Manzelli rozebrali się do naga, a potem, ponieważ byli usmarowani krwią, umyli się, wzięli prysznic i ubrali się z powrotem, żeby udawać przed światem istoty ludzkie, a nie bestie, którymi byli.

Komisarz przeszedł do sypialni. Od razu zorientował się, że Pasquano miał rację, twierdząc, że biedak został pochwycony przez morderców, kiedy spał nago w swoim łóżku. I rzeczywiście na krześle leżała para złożonych starannie spodni, marynarka, koszula i nawet krawat. Pod krzesłem stały buty, ze zrolowanymi skarpetkami włożonymi do środka.

Jednak ostatniej nocy swojego życia, czy przynajmniej jej części, nie spędził Manzella samotnie. Na obu poduszkach widać było jeszcze odciski głów, stłamszone koce leżały w połowie na podłodze, prześcieradło zsunęło się częściowo z materaca. Biedny Manzella musiał być namiętym kochankiem, dokładnie tak, jak podejrzewała portierka.

W pokoju nie było ubrań kochanka Manzelli, brakowało też jednego koca, widocznie tego, w który owinięto ciało, żeby je potem wrzucić do studni.

Montalbano podszedł do krzesła z ubraniami, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel. Pięćset euro w banknotach po pięćdziesiąt, dowód osobisty, kartę bankomatową wystawioną przez Bank Wyspy, kartę kredytową tego samego banku, w którym widocznie Manzella miał konto bieżące. Komisarz otworzył szufladę szafki – pusta. W całej sypialni nie było nawet kartki papieru. Mordercy na wszelki wypadek zabrali wszystko.

Jak potoczyły się wypadki?

Montalbano łatwo odtworzył sobie przebieg zdarzeń.

Po napisaniu listu, którego Manzella nie dostał, bo zmienił mieszkanie, G. musiał w jakiś sposób zdołać się z nim znowu spotkać i odnowić związek, który Manzella próbował zerwać.

Musiał to zrobić, bo skoro przyznał się, że wypaplał swojemu kochankowi o przemyśle i że on chce o tym powiedzieć policji, przemytnicy pozostawili go przy życiu pod warunkiem, że pomoże im w zamordowaniu Manzelli. Gdyby ich do niego nie doprowadził, sam mógł się pożegnać z życiem.

Dlatego też G. robi wszystko, aby się pogodzić z Manzellą, i daje się zaprosić do mieszkania przy via Bixio. Tam, jak to się mawia w tanich romansach, płomień namiętności wybucha z nowym żarem i G. obiecuje, że wróci tego samego wieczoru.

Wraca rzeczywiście, i kiedy Manzella, zmęczony po miłosnych harcach,

zasypia głęboko, G. zabiera swoje ubrania, schodzi cicho po schodach, otwiera drzwi i wpuszcza Carmonę i Sorrentina, których wcześniej uprzedził. Potem się zmywa. Wypełnił swoje zadanie, wobec tego puszczają go wolno.

Mogę otworzyć nawias? – zadał sobie pytanie komisarz.

Pozwolił na to i rozumował dalej:

Są dwie możliwości: albo G. jest kretynem, uwierzył w obietnicę i został w Vigacie, w takim razie za kilka dni znajdziemy gdzieś jego zwłoki, albo jest łebski i zdążył już się zadekować gdzieś na północy Grenlandii, gdzie, jak wiadomo, mafia jeszcze się nie zagnieżdżyła, bo jest odrobinę za zimno.

Można zamknąć nawias.

Carmona i Sorrentino wchodzą, budzą Manzellę i nagiego zmuszają do zejścia na parter. Nie pozwalają mu nawet włożyć kapci, które zostały pod łóżkiem.

Oznaczało to, że także Montalbano nie mógł już dłużej odkładać pójścia do salonu.

Zatrzymał się na podeście u szczytu schodów i policzył stopnie. Było ich szesnaście.

Chciałby mieć w ręku pistolet, mimo iż wiedział, że jest niepotrzebny, bo nie ma do kogo strzelać. Czuł, jak podnoszą mu się do góry włoski na ramieniu, tak jak kiedy przechodzi się obok zgaszonego przed chwilą telewizora, mimo iż powtarzał sobie uparcie, że w salonie nikogo nie zastanie...

Oczywiście, że nikogo tam nie będzie. A raczej nikogo z krwi i kości. Co to za bzdury, czego właściwie się obawiał? Upiora, widziadła? Mając pięćdziesiąt siedem lat na karku, zaczął nagle wierzyć w duchy?

Zszedł dwa stopnie.

Poruszona wiatrem okiennica uderzyła gwałtownie o ramę okienną

i Montalbano podskoczył jak przestraszony kot, o mało nie puszczając poręczy.

Wiał coraz mocniejszy wiatr.

Komisarz z zamkniętymi oczami zbiegł następne cztery stopnie. Potem nagle zabrakło mu energii i kolejne trzy stopnie zszedł, przytrzymując się poręczy, powłócząc nogami i macając drogę podszwą dokładnie tak, jak to robią niedowidzący lub niewidomi.

Czy to napięcie, nigdy jeszcze nie przeżywane tak mocno, było efektem ubocznym nadchodzącej starości?

Tym razem okiennice w obu oknach uderzyły o ramy jeszcze gwałtowniej i obie zamknęły się jednocześnie. Pokój na parterze znowu pograżył się w ciemnościach.

Jak to możliwe? – zadał sobie pytanie komisarz. – Jeśli wiatr wieje z jednej strony, dlaczego zamknęły się oba okna?

W tej samej chwili zrozumiał, że naprawdę ktoś czeka na niego w salonie.

Ktoś, kto miał to samo ciało i tę samą twarz i nazywał się tak samo jak on, Salvo Montalbano. On sam był swoim niewidzialnym nieprzyjacielem, któremu musiał stawić czoło. Nieprzyjacielem, który miał go zmusić do przeżycia na nowo we wszystkich szczegółach tego, co zaszło w tym wnętrzu...

Przeżycia na nowo? Niewłaściwe określenie, przecież on nie był nigdy świadkiem długiej i bolesnej agonii Manzelli, jak więc mógł ją przeżyć na nowo? W każdym razie po tylu napotkanych morderstwach, których ślady bywały czasami bardziej wstrząsające niż bycie świadkiem samego czynu, dlaczego właśnie to zabójstwo tak bardzo go poruszyło?

Nagle zyskał pewność, że nie będzie mógł wybrnąć z tej sytuacji inaczej, jak zgłębiając ją do końca.

Dlatego też zszedł po następnych stopniach krokiem tak zdecydowanym, na jaki tylko umiał się zdobyć.

Zatrzymał się znowu na dole schodów.

Pokój nie był pogrążony w całkowitych ciemnościach, okiennice wprawdzie się zatrzasnęły, ale między szparami w listwach przenikały nitki szarego światła, które przynosiły ze sobą drżące cienie liści na drzewach poruszanych wiatrem. Komisarz nie chciał otwierać znowu okiennic ani zapalać światła, wolał postać przez chwilę nieruchomo, aż jego oczy przyzwyczają się do półmroku.

Żeby przygotować spektakl, który wyreżyserowali, Carmona i Sorrentino przesunęli meble pod ściany. Konsola, na której musiała stać ceramiczna waza na owoce, leżała roztrzaskana na ziemi. Trzy krzesła. Kanapa. Stół, kredens z talerzami i szklankami. Telewizor. Koło stolika leżały porzucone na podłodze jakieś mlecznobiałe szczątki nie wiadomo czego.

Nie, to nieprawda, rozpoznał od razu, co to takiego, ale jego umysł nie chciał w to uwierzyć. Przyjrzał się uważniej i musiał dać wiarę swoim oczom, podczas gdy z żołądka podchodziła mu do ust fala gęstego, gorzkiego i palącego płynu, od którego zaczęły mu łzawić oczy.

Wpatrzył się w krzesło na środku pokoju i w otaczające je koło ciemnej krwi.

Podłoga była wyłożona terakotą i jedna z płytek tuż przed krzesłem nosiła ślady niedawnego uszkodzenia. Gdyby miał pod ręką nóż, na pewno mógłby ją podważyć i wydobyć nabój, który przebił stopę Manzelli, skruszył płytkę i wbił się w ziemię.

Mimì miał rację.

Sprowadzili go z sypialni na górze, przesunęli meble pod ściany, zostawiając na środku tylko krzesło, kazali mu usiąść... Nie, najpierw...

Lepiej odtworzyć wypadki po kolei.

Zaczęli go pytać, na pewno nie szczędząc razów i kopniaków, co powiedział Faziowi...

A on mógł powtarzać w kółko tylko jedno, że wspomniał coś Faziowi, ale nie podał żadnych nazwisk... oni nie chcieli mu uwierzyć i w pewnej chwili zdecydowali się przejść do bardziej drastycznych metod.

– To prawda, że byłeś tancerzem?

– Tak.

– No to tańcz.

I jeden z nich strzelił mu w stopę. Potem zmusili go, żeby wstał, i kazali kręcić się na zdrowej stopie wokół krzesła.

– Tańcz, tańcz, nie potrzebujesz muzyki...

A on kręcił się wokół krzesła na jednej stopie, nagi, komiczny i przerażający zarazem, wydając z siebie żalosne dźwięki, których nikt nie mógł usłyszeć...

Komisarz widział go, jak gdyby stał z tamtymi dwoma w pokoju, a makabryczny taniec wydawał się sceną z jakiegoś biało-czarnego filmu, skapaną w drżącym świetle padającym z okna...

Potem zdarzyło się to, co Montalbano wiedział, że się zdarzy.

Podczas gdy jego wyobraźnia odtwarzała scenę, nagie i zakrwawione ciało Manzelli zaczęło się z wolna zmieniać, obrastać puchem, podłogę z ceramicznych płytek zastąpił piasek plaży w Marinelli...

Niczym w przebłysku oślepiającego światła komisarz znalazł się znowu na plaży, tak jak tamtego ranka, kiedy patrzył na taniec umierającej mewy.

Ptak nie wydawał jednak z siebie rozdzierającego dźwięku, który Montalbano usłyszał tamtego dnia, teraz jęczał ludzkim głosem, głosem płaczącego Manzelli, błagającego o litość...

I równie wyraźnie usłyszał komisarz śmiech tamtych dwóch, którzy świetnie się bawili...

Mewa wydawała z siebie ostatnie tchnienie.

Manzella upadł na ziemię, nie był już w stanie ustać i turlał się, usiłując podnieść głowę.

Mewa poruszała dziobem do przodu i do tyłu, jak gdyby chciała położyć coś w miejscu, do którego nie mogła sięgnąć.

Wtedy ci dwaj zbliżyli się do Manzelli, podnieśli go z ziemi i zaczęli ciągnąć po pokoju, tnąc go nożem, podczas gdy krew tryskała na ściany, na meble...

Najpierw jednak zabawili się w inny sposób...

Potem wszystko się skończyło, być może dlatego, że kolejny podmuch wiatru otworzył znowu okiennice.

Komisarz siadł ciężko na schodach, z zamkniętymi oczami, twarzą ukrytą w dłoniach.

Było po wszystkim. Dokonało się to, czego obawiał się od pierwszej chwili, gdy wszedł do tego pokoju, że rzeczywistość nałoży się w nieunikniony sposób na inną rzeczywistość. Nie, to nie było coś takiego jak sen, który przypominamy sobie ze szczegółami po obudzeniu. To nie było déjà vu, ale coś zupełnie innego, aberracja, chwilowa anomalia, krótkie spięcie, które przeniosło go do nieznanego świata, podczas gdy czas uległ zakłóceniu, mieszając zdarzenia różnych dni w jednym momencie teraźniejszości...

Czuł się teraz spokojniejszy.

Otworzył oczy i popatrzył w miejsce wskazane mu dziobem przez mewę.

Na ścianie wisiał obraz. Był za daleko, żeby komisarz mógł zobaczyć, co przedstawia.



Wstał i zbliżył się do niego. Cztery czerwone róże. Namalowane tak, jak gdyby to była fotografia. Straszliwy kicz, przypominający obrazki umieszczane kiedyś na bombonierkach z czekoladkami.

Ramię Montalbana podniosło się automatycznie, jakby z własnej woli. Zdjął obraz z haczyka, odwrócił go. Z tyłu nie było nic, tylko brązowy papier pokrywający tylną część malowidła. Dłoń rozluźniła chwyt, obraz upadł na ziemię, szkło pękło, rama oderwała się od dołu i wysunęła się spod niej do połowy biała koperta. Komisarz nawet się nie zdziwił, wydało mu się to czymś naturalnym, czymś, co wiedział od zawsze. Schylił się, wziął kopertę i wsadził ją do kieszeni.

Teraz pozostało mu już tylko opuścić jak najszybciej to miejsce. Zbliżył się do drzwi i zamarł.

Odciski palców!

Musiał ich zostawić setki we wszystkich pomieszczeniach!

Zaraz potem o mało się nie roześmiał, mógł mieć w dupie, czy je znajdują. Nie było ich w żadnych kartotekach, podczas gdy odciski Carmony i Sorrentina można było zidentyfikować bez trudu.

Przed wyjściem z pokoju odwrócił się raz jeszcze i popatrzył na dwie zużyte prezerwatywy porzucone na podłodze koło stolika.

Gdy tylko wsiadł do samochodu, popatrzył na zegarek. W pierwszej chwili pomyślał, że chyba się zepsuł.

Czy to możliwe, że była już czwarta? Że spędził w tym domu blisko trzy godziny i w ogóle nie odczuł upływu czasu?

Pozycja słońca, które pojawiało się i znikало za chmurami, upewniła go, że zegarek chodzi dobrze. No więc jak miał to sobie wyjaśnić?

Co to za nowość? Co ci znowu przychodzi do głowy? Zaczynasz sobie

teraz wmawiać, że w domu Manzelli zaszło jakieś niezwykle zjawisko? – spytał nagle z wyraźną złością drugi Montalbano.

Jakie znowu zjawisko? – zareagował pierwszy Montalbano, jak gdyby ukąsiła go osa.

Temporalne. Nie zdarzyło się nic nadprzyrodzonego, magicznego, tajemniczego, nie było żadnego zawieszenia czasu czy innych głupot. Byłeś tam w środku trzy godziny i nie zdawałeś sobie sprawy z upływu czasu. No więc nie wymyślaj sobie teraz Bóg wie czego, bo w tym domu nie zaszło nic niezwykłego.

Ach tak? Wobec tego jak mi wyjaśnisz...

Mam ci wyjaśnić? Prosto z mostu? Kiedy wszedłeś do tego domu, byłeś już zdenerwowany i zestresowany, bo nie znosisz przemocy czy przynajmniej swojego wyobrażenia o przemocy. Po wejściu w andropauzę takie rzeczy mają na człowieka większe oddziaływanie.

Tej uwagi o andropauzie mógłbyś sobie oszczędzić.

Nie, nie mógłbym, bo ona jest przyczyną wszystkich twoich chimer. Tam w środku zobaczyłeś oczyma wyobraźni to, co się zdarzyło. I wystarczy. Nie pierwszy raz ci się to zdarza. A potem nałożyłeś na to śmierć mewy. Która też zrobiła na tobie wielkie wrażenie. To wszystko. Nowa jest tylko reakcja, jaką te doświadczenia wywołały. Na starość człowiek przejmuje się łatwiej, każda rzecz doprowadza go do łez. To nie jest dobry znak.

Ale banały wygadujesz! A jak wyjaśnisz to, że od razu znalazłem kopertę?

Bo co, twoim zdaniem mewa ci wskazała dziobem, gdzie jest schowana koperta? Nie rozśmieszaj mnie tymi pierdołami! To twój instynkt gliny pozwolił ci ją znaleźć. Gdyby to Catarella przeszukiwał pokój, zajęłoby mu to pewnie więcej czasu, ale i on by ją znalazł!

Przestaniesz mi zawracać dupę? – powiedział pierwszy Montalbano. –

Muszę się skupić na prowadzeniu auta, do cholery. O mały włos nie potrafiłem tego chłopaka!

Czuł jednak, że ta wewnętrzna dyskusja odniosła skutek, pozwoliła mu uporządkować myśli. Nie miał zupełnie apetytu, dlatego zatrzymał się w pierwszym napotkanym barze i wypił dwie kawy.

– Czy Augello i inni już wyjechali?

– Tak jest, panie komisarzu. Za półgodziną. A pani Fazio przysłała przywrócić pana pistolet.

– Zanieś go do mojego samochodu.

Wszedł do swojego gabinetu, wyjął z kieszeni kopertę i nie otwierając jej, wrzucił do szuflady, którą następnie zamknął na klucz.

Nie chciał, żeby go coś teraz rozpraszało, najważniejsze było, aby Fazio dojechał bezpiecznie do Palermo.

Mimì zadzwonił po raz pierwszy o wpół do szóstej.

– Masz pozdrowienia od Totò Monzillo – powiedział Augello.

Był to ich kolega z kwestury w Montelusie, dobry policjant.

– Co to znaczy?

– A co może znaczyć? Że Monzillo jest tutaj ze mną, w Fiakce. Spotkaliśmy się na parkingu. Ma ze sobą czterech ludzi.

– I co tam robi?

– Czeka na karetkę, żeby eskortować Fazio do Palermo. Dostał rozkazy od Bonettiego-Alderighiego. Wobec tego my chyba możemy...

– Wrócić do Vigaty? Nie ma mowy!

– Ale co mamy zrobić? Procesję?

– Tak.

– Nie wydaje ci się to śmieszne?

– W żadnym razie. Ty wiesz o samochodzie metaliku, o Carmonie, wiesz, dlaczego chcą zamordować Fazia, a Monzillo gównu wie o tym wszystkim.

– Masz rację – powiedział Augello.

Właśnie na to liczył Montalbano, że kwesor podejmie logiczną decyzję i wyśle eskortę. Carmona i jego kompan zobaczą od razu, że za karetką jadą aż dwa wozy policyjne, i prawie na pewno zrezygnują z wykonania zadania. Byli mordercami, nie kamikaze, i zależało im na własnej skórze. Komisarz trochę się uspokoił i zaczął podpisywać papiery na biurku.

– Ruszamy. Jest równo szósta – zadzwonił Mimì.

– Dziękuję, szczęśliwej podróży.

– Jesteśmy w połowie drogi, na razie wszystko idzie gładko. Zaczęło tylko mżyć.

Z piątym telefonem Mimì się spóźniał. Po dwudziestu pięciu minutach Montalbano zaczął się wiercić na krześle i w pewnej chwili zamiast kolejnego podpisu nabazgrał jakieś kulfony. Wstał, podszedł do okna, zapalił papierosa i w tej samej chwili Mimì zadzwonił.

– Czemu się spóźniłeś z telefonem?

– Bo było zamieszanie, fałszywy alarm.

– Na pewno fałszywy?

– Na pewno. Jakiś samochód wyprzedził karetkę i zaraz potem zahamował w poprzek szosy. Wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni. My pomyśleliśmy

jednak od razu, że to zasadzka, i otoczyliśmy auto. Wyobraź sobie! Ci biedacy zobaczyli, że celuje w nich osiem pistoletów i karabinów, kazano im wsiąść z rękami podniesionymi do góry, przeszukano ich, starszy z nich dwóch, który cierpi na serce, o mało nie dostał ataku.

- I kto to był?
- Biskup Patti i jego sekretarz.
- O cholera.
- Obawiam się, że będą reperkusje.

Ostatni raz Augello zadzwonił tuż przed ósmą.

– W tej chwili karetka wjechała na teren szpitala. Nic się nie wydarzyło, podróż przebiegła spokojnie, jeśli wyłączyć incydent z biskupem. Nie wydaje mi się nawet, żeby za nami jechali. Słuchaj, będziemy w Vigacie o dziesiątej wieczorem, dam się odwieźć prosto do domu i zobaczymy się jutro rano.

– Zgoda.

Teraz mógł wreszcie przeczytać to, co napisał Manzella.

Otworzył szufladę, wziął kopertę, która nie była zaklejona, wyciągnął z niej dwie kartki papieru, gęsto zapisane na obu stronach, i zaczął czytać.

Do pana komisarza Montalbana

Komisarz podskoczył na krześle, jak gdyby ktoś niespodziewanie krzyknął do niego.

Dlaczego Manzella napisał list właśnie do niego? Zaczął czytać.

Kiedy skończył, wstał i zaczął chodzić powoli dookoła stołu. Po jakichś dziesięciu rundach wyjął z kieszeni chusteczkę i osuszył sobie czoło. Był cały spocony. To nie był list. To był sznur przygotowany dla wisielca, naładowany pistolet, zapalony lont.

– Halo, Mimì? Tu Montalbano. Słuchaj, przykro mi, ale kiedy dojedziesz do Vigaty, musisz wrócić do komisariatu. Czekam na ciebie.

– Ale powiedziałem już Bebie, żeby przygotowała...

– Mam to w dupie.

– Dziękuję za zrozumienie.

– Halo, Angela? Tu Montalbano. Przykro mi, ale dzisiaj wieczorem nie możemy się zobaczyć.

– Dlaczego?

– Coś mi wypadło. Muszę zostać w komisariacie przez całą noc. Przygotowujemy dużą operację o zasięgu terytorialnym.

– To kiedy się zobaczymy?

– Zadzwoń do ciebie o czwartej po południu i jakoś się umówimy. Cześć.

O pójściu na kolację nie było mowy. Wyglądało na to, że ta przekłeta historia skończy się tak, jak się zaczęła, to znaczy odbierając mu kompletnie apetyt.

Skierował się do portu. Na wschodnim nabrzeżu nie było żywej duszy, podczas gdy w oddali, po zachodniej stronie, gdzie cumowały kutry i znajdowały się magazyny chłodnie, paliły się już potężne reflektory oświetlające strefę wyładunku i załadunku połowów.

To dzięki tym reflektorom Manzella mógł zaobserwować przez swoją lunetę... być może portierka zobaczyła przez nią to samo. I oboje zapłacili za to życiem.

Odblask reflektorów nadawał mleczną barwę niebu na zachodzie. Wyglądało to, jak gdyby kręcono film.

Gdyby to mógł być film! – pomyślał komisarz.

Tymczasem wszystko działo się naprawdę. Migające światło reflektora na

końcu nabrzeża pozwoliło dotrzeć Montalbanowi do ulubionego płaskiego kamienia, bez skręcenia sobie karku czy wpadnięcia do morza. Usiadł, z zapalonym już papierosem.

Trzeba podjąć decyzję, zanim przyjedzie Mimì. Bo potem, w czasie rozmowy, musiał mieć przygotowane mocne argumenty, aby przeciągnąć go na swoją stronę. Możliwości były jednak tylko dwie: albo zaangażować się w sprawę całym sercem, ryzykując, że skończy się to dla niego postępowaniem dyscyplinarnym lub wyrzuceniem z pracy, albo też siedzieć cicho i przyglądać się, co zrobią inni. Tertium non datur.

Mógł sobie na przykład powiedzieć:

Masz pięćdziesiąt siedem lat, kończysz karierę, kto ci każe mieszać się w aferę, która może źle się dla ciebie skończyć?

Mógł też rozumować inaczej:

Masz pięćdziesiąt siedem lat, kończysz karierę, więc nie masz nic do stracenia. Do dzieła!

Nie, nie – zaproponował drugi Montalbano. – Więcej sensu ma pierwsza myśl, w twoim wieku nie masz już energii, by udawać bohatera i walczyć z wiatrakami.

Z jakimi wiatrakami? To są bestie w ludzkiej skórze! – rozgniewał się pierwszy Montalbano.

Zgadza się, to prawdziwe, dzikie bestie. I właśnie dlatego powinieneś usunąć się na bok, nie masz już sił, aby z nimi walczyć. Nie chodzi o tchórzostwo, tylko o realistyczną ocenę własnych możliwości.

Ale ten list jest adresowany do mnie! Manzella mnie prosił o interwencję! Nie mogę się wycofać!

Możemy się zastanowić spokojnie? Manzella nawet cię nie znał. Napisał do ciebie, bo sądził, że ty będziesz prowadził śledztwo. Nie chodzi o osobistą



prośbę, chyba to jasne?

To wobec tego, twoim zdaniem, co powinienem zrobić?

Pójść do kwestora, wszystko mu opowiedzieć i przekazać mu list.

A on co zrobi, twoim zdaniem?

Prawie na pewno przekaże go służbom.

To tak, jak gdyby wyrzucił go do kosza. Czyli przejdzie się do porządku dziennego nad tymi trzema zabitymi i próbą morderstwa.

Jednym słowem, co przeważy, zajęcze serce czy lwia odwaga? A jeśli już mowa o zwierzętach, pamiętasz tę historię o owcach, którą przeczytałeś w *Don Kiszocie*?

Ach tak, prawda. Sanczo zaczyna opowiadać Don Kiszotowi historię o pasterzu, który ma przeprowadzić przez rzekę swoje trzysta owiec. Przewozi je po jednej łódce, prosząc Sancza, żeby liczył przeprawy, i ostrzegając go, że jeśli się pomyli, opowiadanie się urwie. Sanczo oczywiście się myli i wobec tego nie może opowiedzieć Don Kiszotowi, jak kończy się przygoda. Trudno się dziwić, że Montalbano nie mógł opowiedzieć Camilleriemu, jak skończy się jego historia!

Po kwadransie roztrzasań i rozmyślań komisarz podjął decyzję. Obliczył, że do przyjazdu Augella brakuje ze czterdziestu minut, miał więc jeszcze trochę czasu. Dziesięć minut zajęło mu dojście na zachodnie nabrzeże. Nie była to jeszcze pora największego ruchu, przy brzegu cumowało tylko kilka kutrów. Większość z nich miała przyplłynąć później. Rizzica stał przed magazynem numer trzy i rozmawiał z jakimś facetem, ale gdy tylko rozpoznał komisarza, wyszedł mu naprzeciw.

– Przyszedł pan ze mną porozmawiać?

– Nie. Zresztą zobaczymy się jutro, jeśli się nie mylę. Wydaje mi się, że

komisarz Augello wezwał pana na komisariat.

– Tak, ale skoro jest pan tutaj, chciałbym zamienić dwa słowa.

– Czemu nie.

Rizzica skierował się w stronę tego obskanego i obsranego miejsca, którego smród już zaatakował nozdrza komisarza.

– Nie, tam nie – powiedział komisarz. – Pójdźmy na koniec nabrzeża.

– Dobrze – zgodził się Rizzica.

– Proszę mówić.

– Panie komisarzu, powiem to od razu, w ten sposób zdejmę sobie ciężar z serca. Pomyliłem się.

– W czym?

– Kiedy przyszedłem do komisariatu z tą skargą. Pomyliłem się.

– Czyli kapitan pańskiego kutra i jego załoga nie byli zamieszani w handel narkotykami?

– Absolutnie nie.

– Wobec tego dlaczego czasami wracali z opóźnieniem?

– Panie komisarzu, ten kuter ma pecha. To się często zdarza nie tylko ze statkami, ale także z łodziami rybackimi, że rodzą się pod złą gwiazdą. Jakiś zły urok na nich ciąży. Kazałem wymienić silnik i teraz się już nie spóźniają. Zatem...

– Przykro mi, ale i tak będzie musiał pan przyjść na komisariat. Zaprotokołujemy to, co pan nam powie, i będzie pan wolny.

Doszli tymczasem do ostatniego magazynu, prawie na końcu nabrzeża. Tutaj reflektory się nie świeciły i nie było nikogo.

– Do kogo należy ten magazyn?

– Do mnie.

– Dlaczego jest zamknięty?

– Używam go tylko wtedy, gdy połów wyjątkowo się uda i dwa pozostałe magazyny nie mogą pomieścić wszystkich ryb. Dzisiaj wieczorem już mi dali znać, że nie złowili dużo.

A zatem to do tego magazynu zabrali Fazia zaraz po tym, jak został ranny w głowę.

*Panie komisarzu, jeśli mnie zamordują, na co się zapowiada, prawdopodobnie to panu zostanie powierzone śledztwo. Jeśli jest pan tak bystry, jak mówią, mam nadzieję, że znajdzie pan bez trudności tę kopertę. Poznałem trzydziestoletnią Giovannę Lonero, transseksualistkę, na prywatnym spotkaniu w Montelusie. Od razu poczułem do niej silny pociąg, a ona wyznała mi, że żyje praktycznie jak w więzieniu w mieszkaniu w Vigacie, zgodnie z życzeniami swojego kochanka, którego imienia nie chciała mi zdradzić. Wychodziła tylko nocą i kiedy jej kochanek przebywał w interesach poza Vigatą. Zdołałem ją uprosić, żeby dała mi numer swojej komórki, ale ona nie chciała wziąć mojego, bo bała się, że gdyby odkrył to jej kochanek, bardzo zazdrosny, wpadłaby w kłopoty. Od tamtej nocy dzwoniłem do niej praktycznie każdego dnia, ale albo miała wyłączoną komórkę, albo nie odpowiadała. Pewnego razu wreszcie się do niej dodzwoniłem, powiedziała mi, że bardzo chce się ze mną spotkać, że często o mnie myśli, ale pod żadnym pozorem nie może się pokazać w miejscu publicznym ze mną ani z żadnym innym mężczyzną. Zgodziła się przyjść do mnie do domu następnego dnia koło północy. Odkryliśmy, że mieszkamy bardzo blisko (ja na via della Forcella, ona na via delle Magnolie) i wobec tego nie musiała przyjeżdżać samochodem, co mogłoby zwrócić czyjąś uwagę. Zjawiała się punktualnie i została u mnie do piątej rano. Po tym pierwszym spotkaniu przyszły następne.*

Tutaj muszę wspomnieć, że posiadam dużą lunetę, przez którą lubię podglądać ludzi. Pewnej nocy, zupełnie przypadkowo, skierowałem ją w stronę zewnętrznej części zachodniego nabrzeża, w porze kiedy panował tam ruch – wyładunek kutrów i ładowanie połowu do magazynów oraz do ciężarówek chłodni. Od tego czasu przeplatałem przyglądanie się oświetlonym oknom z obserwacją ruchu na nabrzeżu. I tak pewnego razu zdarzyło mi się ujrzeć scenę, która wydała mi się bardzo dziwna. Z jednej z ciężarówek chłodni, zaparkowanej w nieco mniej uczęszczanym miejscu, to znaczy przed ostatnim magazynem na samym końcu nabrzeża, wyładowano w pośpiechu cztery duże skrzynie. Operacją kierował chudy i wysoki czterdziestolatek. Kazał załadować skrzynie na kuter rybacki, który zaraz odpłynął na cumowisko w wewnętrznej części portu. Tymczasem ciężarówka została załadowana rybami i odjechała. Trzy noce później, kiedy obserwowałem identyczną scenę, przyszła do mnie Giovanna. Ona też chciała się przyjrzyć temu, co obserwuję przez lunetę, ale zaraz odsunęła się przestraszona: „Mój Boże, przecież to Franco!”. Tym chudym i wysokim czterdziestolatkiem był jej kochanek, Franco Sinagra. Giovanna była wstrząśnięta, jak gdyby ten człowiek mógł ją zobaczyć ze swej strony w moim pokoju. Nie chciała zostać, wyszła zaraz potem. W czasie następnych spotkań musiałem bardzo nalegać, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Tymczasem zacząłem zbierać informacje także na własną rękę i ktoś z mojego otoczenia (w moim środowisku ludzie chętnie plotkują) wyjaśnił mi, że Franco Sinagra to ostatni jeszcze żyjący przedstawiciel mafijnego klanu i że musi utrzymywać swój związek z Giovanną w wielkiej tajemnicy, bo wśród członków mafii dominuje wciąż ściśle przestrzeganie norm tzw. normalności. Poza tym Sinagra jest żonaty z córką bossa z Rivery i jego teść nigdy by mu nie przebaczył czegoś takiego. Krótko mówiąc, gdyby ta historia wyszła na jaw, Sinagra mógłby stracić wszystko, władzę i pieniądze. Giovanna powiedziała

mi też, że był skąpy i miał osobliwą manię, przywłaszczał sobie wszystko, co mu wpadało w ręce. Zabrał nawet dwie tanie sztuki biżuterii należące do Giovanny, która od tej pory przezywała go „sroką złodziejką”. Stopniowo doszedłem do logicznego wniosku, że o cokolwiek chodzi w tych manewrach w porcie, musi to być coś niezwykle ważnego, skoro operacji dogląda sam boss, a nie któryś z jego sługusów. Panie komisarzu, nie mam w tym miejscu żadnych zahamowań, aby wyznać panu, że Giovanna i ja zrozumieliśmy, że jesteśmy w sobie zakochani. Jeśli słowo miłość użyte w takim kontekście budzi w panu niesmak, proszę je zastąpić określeniem namiętność. Dlatego też, nie wspominając o tym nic Giovannie, zaczęłem opracowywać plan, żeby wyeliminować Franca Sinagrę i mieć Giovannę tylko dla siebie. Z jej półsłówek zorientowałem się, na czym polega ten tajemniczy handel: chodziło o przemykanie do jednego z krajów arabskich broni chemicznej, dostarczanej przez rosyjską mafię. W handel były zamieszane dwa kutry należące do niejakiego Rizziki, który o wszystkim wie. Na tym jednak nie koniec. Giovannie wymknęło się, że w rzeczywistości za aferą kryje się poseł Alvaro Di Santo, obecny podsekretarz w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Pewnej nocy Giovanna powiedziała mi, że Franco następnego dnia leci samolotem do Rzymu. Była szczęśliwa, że będziemy mogli spędzić razem kilka nocy, zupełnie wolni. Szybko wyprowadziłem ją z błędu, powiedziałem, że następnego dnia ja też muszę wyjechać, do Palermo, bo moja matka źle się czuje. Nie budząc jej podejrzeń, wyciągnąłem od niej informację, o której godzinie samolot jej Franca odlatuje z Punta Raisi. Panie komisarzu, byłem tak przejęty swoim planem, że nie zastanowiłem się nad możliwymi konsekwencjami swoich działań. Powiem tylko krótko, że poleciałem tym samym samolotem co Sinagra i w Rzymie ani na chwilę nie spuściłem z niego oka. Miałem szczęście, udało mi się zrobić komórką jego zdjęcie w jakiejś restauracji na peryferiach, razem z posłem Di Santo, w którego rozkład zajęć

*parlamentarnych zaopatrzyłem się już wcześniej. Potem wypożyczonym aparatem fotograficznym z dużym obiektywem zrobiłem zdjęcia Franca w czasie przeładunku skrzyń w porcie. Niestety później pewien przyjaciel wykazał mi, że w czasie naszej (Franca i mojej) nieobecności Giovanna zabawiła się w Fiakce. W przypiływie gniewu i zazdrości postanowiłem zadzwonić do Fazia i donieść na nich wszystkich, łącznie z Giovanną, z którą zerwałem stosunki, zmieniłem nawet mieszkanie. Potem jednak zacząłem się ościągać z przekazaniem informacji, bo Giovanna nagle znowu wkroczyła do mojego życia. Wydała mi się jednak jakoś odmieniona. Jest szczerą czy coś przede mną ukrywa? Być może to ona będzie panu musiała odpowiedzieć na to pytanie, kiedy ja nie będę już mógł jej usłyszeć.*

*Filippo Manzella*

*PS Zdjęcia znajdują się w kasetce panczernej na moje nazwisko, w Banku Wyspy, filii w Vigacie.*

Mimì skończył czytać, położył list na biurku i popchnął go palcem wskazującym w stronę komisarza. W trakcie lektury nie okazał żadnej reakcji, teraz też popatrzył na komisarza z nieprzeniknioną miną.

– Przede wszystkim – zaczął – chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób wszedłeś w posiadanie tego listu.

Wyrażał się wyszukanie, zły znak. Być może nie był tak spokojny, na jakiego chciał wyglądać. Montalbano zrozumiał, że zrobił błąd, dając mu do przeczytania list bez słowa wyjaśnienia. Zmienił szybko wersję, którą wcześniej sobie przygotował, tak aby wydała się bardziej logiczna.

– Kiedy jadłem obiad, dostałem telefon od Fazia, który przypomniał sobie

adres otrzymany od Manzelli. Skończyłem jeść i pojechałem tam. I znalazłem ten list, który...

– Nie pomijaj szczegółów. Ja też jestem gliną. Jasne? Drzwi były otwarte?

– Nie.

– To jak wszedłeś?

– No cóż, miałem klucz, który przypadkiem...

– Przestań lecieć w chuja, dobrze? – przerwał mu Augello.

Komisarz doszedł do wniosku, że lepiej będzie wszystko uczciwie opowiedzieć.

– Byłeś uzbrojony?

– Nie.

– Salvo, z całym szacunkiem należnym przełożonemu, jesteś kompletnym idiotą. Sinagra mógł tam zostawić kogoś na straży.

– No dobrze, ale na szczęście nikogo nie było. Chcemy się zastanowić?

– Nad czym? Nad listem? Nie ma się nad czym zastanawiać. Teraz włożysz go z powrotem do koperty, dasz mi ten klucz, który przypadkiem i tak dalej, i ja pojedę włożyć go z powrotem za obraz.

– I co potem?

– Potem zlecisz mi oficjalnie, żebym udał się sprawdzić, co się wydarzyło w tamtym domu, ja odkryję, że to tam zamordowano Manzellę, zawiadomię sądówkę i postaram się, aby Arquà lub któryś z jego ludzi odkrył list. Mimo moich nalegań naturalnie mi go nie oddadzą, tylko zaniosą go prosto do kwestora, a my będziemy mogli zapomnieć o sprawie i wrócić spokojnie do domu. Jak można się było spodziewać.

– Jednym słowem, Pilatus docet – powiedział gorzko Montalbano.

– Salvo, nie wyjeżdżaj z tą twoją łaciną, bo mnie to wkurza.

- Twoim zdaniem co zrobi kwestor?
- Mam to w dupie.
- Nie podoba mi się twój sposób rozumowania.
- Ach tak? To przecież ty uczyłeś mnie, że trzeba mieć realistyczne, oparte na konkretach podejście do świata!
- Bo co, rzeczy opisane w tym liście nie są konkretne?
- A jakże! Ale do niczego nieprzydatne. Nie mamy żadnych dowodów!
- Co ty mówisz?! Jutro ma przyjść Rizzica i wyciśniemy z niego siódme poty. Siedzi w tym po szyję, magazyn, gdzie zatrzymuje się ciężarówka, należy do niego, tak samo kutry...
- Skąd wiesz, że magazyn należy do niego?
- On sam mi to powiedział. Spotkałem go kilka godzin temu w porcie i powiedział mi też, że jutro wyjaśni, że chodziło o nieporozumienie, bo kuter miał naprawdę problemy z silnikiem.
- No widzisz? Kiedy dowiedział się, że postrzelono jednego z naszych, zaczął robić pod siebie i przyszedł, aby zdobyć alibi. Będzie się teraz mógł bronić, krzycząc, że przecież to on sam pierwszy nas ostrzegł, że coś jest nie w porządku. Jaki miałby interes w tym, żeby alarmować policję? Poza tym pamiętaj, że on się Sinagry boi bardziej niż nas.
- Możemy spróbować załatwić to inaczej. Zorganizujemy zasadzkę i gdy tylko przyjedzie samochód chłodnia z Sinagrą, wkroczymy do akcji i...
- I od razu odbiorą nam sprawę. Nie zostawią przecież dochodzenia o przemyśle broni chemicznej do krajów arabskich w rękach jakiegoś prowincjonalnego komisarza i jego asystenta! Do działania wkroczą służby specjalne i niespecjalne, po czym po kilku dniach...
- ...podsekretarz Di Santo powie w telewizji, że chodziło o lekarstwa dla sierot w Darfurze i popełniliśmy kolosalny błąd...



– Widzę, że zaczynasz rozumieć.

– Tak, ale fotografie...

– Salvo, te fotografie, zakładając, że pozwolą ci otworzyć kasetkę, zakładając, że jeszcze są w środku, zakładając, że prokurator pozostawi ci je w rękach dłużej niż dwie sekundy, są i tak głównie warte!

– Jak to? Podsekretarz idzie na obiad z mafijnym bossem kalibru Franca Sinagry?

– O mój Boże, co za skandal! Nasi posłowie robią, co im się podoba, i mają w dupie opinię publiczną! Biorą narkotyki, chodzą na kurwy, kradną, oszukują, sprzedają się, składają fałszywe zeznania, robią interesy z mafią i co im zrobisz? Co najwyżej gazety będą o tym pisać przez kilka dni. Potem wszyscy o nich zapomną. Za to oni o tobie, który rozpętałeś burzę, na pewno nie zapomną i każą ci za to słono zapłacić.

– Można by poprosić Tommasea o autoryzację na założenie podsłuchu rozmów telefonicznych Sinagry...

– ...i posła Di Santo? Na jakim ty świecie żyjesz? Żaden dzisiejszy prokurator nie udzieliłby ci na to zgody i zresztą nawet nie mógłby tego zrobić, bo ci ludzie potrafią się zabezpieczać, musiałyby najpierw zwrócić się o zgodę do parlamentu. I akurat by ją dostał!

Montalbano słuchał Augella z poczuciem narastającego zmęczenia. To wszystko były argumenty, które sam mógłby wysunąć. Zrozumiał jednak, że dalsza rozmowa z Augellem to strata czasu, nie przeciągnie go nigdy na swoją stronę. Lepiej posłać go do domu, żeby się wyspał. Komisarz siedział przez chwilę w milczeniu, jak gdyby zastanawiając się nad słowami Mimì, potem schylił się po pustą kopertę, włożył do niej list i podał Augellowi, który wsunął go do kieszeni.

– Jutro rano, najpóźniej o ósmej, pojedź na via Bixio. Zabierz ze sobą

Galla. Galluzza zostaw mi tutaj.

– Zgoda. I nie rób sobie wyrzutów. Nie można było postąpić inaczej.

To prawda, z punktu widzenia zdrowego rozsądku nie można było postąpić inaczej. Argumenty Augella były jego własnymi argumentami, ale była to tylko pierwsza część rozumowania, które on przeprowadziłby na miejscu Mimì.

Druga część zaczynała się bowiem w ten sposób: wzięwszy to wszystko pod uwagę, jak można zrobić na szaro posła Di Santo i Sinagrę, nie biorąc samemu w dupę? W tym leżał problem.

I musiał znaleźć odpowiedź samodzielnie, wpadając na jeden z tych pomysłów, które przerażają nawet samego pomysłodawcę. Ale tego, żeby dać sobie spokój i nie podjąć żadnego działania, w ogóle nie brał pod uwagę.

## 18

Wstał, żeby wrócić do Marinelli, kiedy zadzwoniła komórka.

– Słuchaj, jesteś jeszcze w komisariacie? – spytała Angela.

– Tak. Dlaczego?

– Muszę się z tobą zobaczyć, choćby na pięć minut. Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

Była przestraszona, mówiła przyciszonym głosem. Montalbano nie chciał jednak tracić czasu, musiał koniecznie wrócić do Marinelli, żeby w spokoju przemyśleć plan działania.

– Już ci mówiłem, że dzisiaj nie mogę. Co się stało?

– Ta osoba, o której wiesz, znowu się ze mną skontaktowała.

Carmona. Tak jak wszyscy ukrywający się przed policją, robił, co chciał, i chodził, gdzie chciał, bo nikt, włącznie z policjantami i karabinierami, nigdy ich nie rozpoznawał.

– Czego chciał?

– Wiedzieć, czy się dzisiaj spotkamy. Powiedziałam mu, że jesteś zajęty i zobaczymy się jutro. Wtedy powiedział mi, że muszę coś zrobić.

– Co?

– Przez telefon nie mogę powiedzieć.

Była naprawdę przestraszona, trząśł jej się głos.

– Spróbuj się uspokoić. Powiesz mi to jutro wieczorem.

– Nie. Muszę ci to koniecznie powiedzieć dzisiaj, żebyś mógł...

– Posłuchaj, spotkajmy się na pięć minut, ale w połowie drogi, w ten

sposób będę mógł szybciej wrócić do komisariatu. Skończyłaś swoją zmianę?

– Przed kwadransem.

– Znasz motel Torrisi? Tak? Jeśli oboje ruszymy od razu, dojedziemy tam za trzy kwadranse. Aha, nie wysiadaj z samochodu, kiedy będziesz na miejscu, poczekaj na mnie na parkingu. I uważaj, żeby nie jechali za tobą.

Jadąc do motelu, nie zastanawiał się, co mu powie Angela, tylko jak wrobić Sinagrę i wraz z nim także posła Di Santo. Bo to, co powiedział Mimì, było prawdą, ale prawdą było też, że wszystko ma swoje granice. Na przykład jedna rzecz być widzianym na obiedzie z typem o mafijnych powiązaniach, a inna – pokazywać się z członkiem mafii poszukiwanym za zlecenie dwóch morderstw i odpowiedzialnym za próbę zabójstwa policjanta. Im większy rozgłos udałoby się nadać aresztowaniu Sinagry, tym większa byłaby plama na reputacji czcigodnego podsekretarza. Zatem problem sprowadzał się do pytania, jak wrobić Sinagrę.

Kiedy zajechał na parking, było już prawie ciemno, ale jeszcze nie znalazł odpowiedzi. Wysiadł z samochodu. Na parkingu stały trzy inne auta. Jedno zamigało światłami.

– Wsiadaj – powiedziała Angela, otwierając mu drzwi.

Gdy tylko znalazł się w środku, zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała go mocno.

– Nie jestem pewna, czy mnie nie śledzili – szepnęła mu do ucha, podczas gdy komisarz, trochę oszołomiony tym niespodziewanym atakiem, brał się w garść. – Dlatego udawajmy, że jesteśmy tu, aby...

– To przesunmy się na tylne siedzenie – zasugerował Montalbano. – Jak kochankowie, którzy choćby przez pięć minut...

Wysiedli i przeszli na tylne siedzenie.

– Wyciągnij się – powiedziała Angela.

Komisarz usłuchał. Ona położyła się na nim, z prawą nogą na siedzeniu obok jego nogi, lewą opartą na podłodze samochodu. Objęła go mocno, tak że Montalbano nie mógł się poruszyć.

– Carmona powiedział mi, że jutro w nocy mam cię upić i zmęczyć. A kiedy zobaczę, że zasnąłeś głęboko...

Problem polegał na tym, że Angela była bardzo zdenerwowana i poruszała to biodrami, to biustem, co wywierało na komisarzu piorunujący efekt.

– ...kiedy zobaczę, że głęboko śpisz, mam otworzyć drzwi wejściowe i wpuścić ich do środka. Czy ty mnie słuchasz?

– He? – wykrztusił Montalbano.

On bowiem w tej chwili powtarzał sobie pierwszą pieśń Iliady: *Gniew mi opiewaj bogini, Peleusa syna, Achilla*. Wcześniej próbował pomyśleć o drugim listopada, święcie zmarłych, o dwóch czy trzech rzeziach, o poćwiartowanej staruszce, nie był jednak w stanie zapomnieć o ciężącym na nim ciele dziewczyny, o bijącym od niej cieple, o jej oddechu. Czynił nadludzkie wysiłki, aby jego odczucia nie przybrały namacalnego kształtu.

– Chcą, żebyśmy otworzyła...

– Tak, zrozumiałem. Ale dlaczego?

– Carmona twierdzi, że chcą nas sfotografować razem nagich w łóżku, żeby cię potem szantażować.

– Dlaczego uważałaś, że musisz mi to tak pilnie przekazać?

– Bo nie jestem przekonana, czy chcą tylko zrobić zdjęcia. Poza tym w ten sposób będziesz przygotowany i możesz przyłapać Carmonę na gorącym uczynku.

– Masz rację, zajmę się tym, dziękuję.

Chłodny i uprzejmy, oto komisarz Montalbano, który staje na wysokości

zadania! Zawsze compos sui (dlaczego, do cholery, zachciało mu się używać łacińskich wyrażień?), nawet gdy leżał, mając na sobie wyciągniętą piękną dziewczynę.

– Przykro mi, ale muszę już jechać.

Angela zsunęła się z niego, wyszli z samochodu, pocałowali się. Dokładnie tak, jak kochankowie, którzy właśnie ulżyli tylko trochę swojemu pożądaniu.

– Jutro do ciebie zadzwonię – powiedział komisarz.

Począł, aż dziewczyna odjedzie i wszedł do motelu.

– Przepraszam, mogę skorzystać z łazienki? – zapytał znajomego recepcjonistę.

– Oczywiście, panie komisarzu.

Wszedł do środka, zdjął marynarkę i koszulę, odkręcił wodę i włożył pod kran rozpaloną głowę.

Kompromitujące zdjęcia, akurat! Zrobiliby je później, bo plan na pewno był taki, że Carmona i jego przyjaciel wejdą do domu Montalbana z aparatem fotograficznym, każą się Angeli wyciągnąć koło niego na łóżku, po czym Carmona wyciągnie rewolwer i zastrzeli oboje. Niemal powtórka tego, co zrobili z Manzella. Potem ułożyliby ciała w mniej lub bardziej obscenicznej pozie i zrobili zdjęcia. Tytuły w gazetach i w wiadomościach „Komisarz Montalbano i jego młoda kochanka zastrzeleni w łóżku. Czy zbrodnia z namiętności?”. Na pewno pojawiłaby się hipoteza o zazdrosnym narzeczonym Angeli. Historia stara jak świat, ale ludziom nigdy się nie nudziła.

Dlaczego podnieśli stawkę, żeby dotrzeć aż do niego? Może Mimì miał rację i dom przy via Bixio rzeczywiście był pod obserwacją. Musiało im się wydać podejrzane, że nie zawiadomił od razu sądówki i że zachował swoje

odkrycie w tajemnicy. To milczenie ich niepokoi i wytrąca z równowagi. Jeśli Montalbano zachowuje się w taki sposób, to znaczy, że znalazł w tym domu coś, co może być dla nas niebezpieczne. Lepiej uciszyć go, zanim przejdzie do czynu.

Oznaczało to, że komisarzowi nie zostało dużo czasu, aby unieszkodliwić Sinagrę. Teraz był to już otwarty pojedynek.

Musiał zachować jasny umysł jeszcze przynajmniej przez dwie godziny. Zaparzył sobie duży ekspres i zaniósł go na werandę. Noc była chłodna, a jemu i tak już zimno dawało się we znaki ze zmęczenia po długim dniu. Nie włożył jednak z powrotem marynarki, którą zdjął po wejściu do domu; ziąb pomagał mu skupić myśli. List Manzelli znał już na pamięć, mógł go sobie powtórzyć słowo po słowie. I tak też zaczął robić, zmieniając za każdym razem sposób recytacji: raz odmawiając go jak litanie, potem prawie sylabizując, następnie zatrzymując się po każdej linijce. Przy piątym powtórzeniu uderzyło go jedno ze zdań: *...był skąpy i miał osobliwą manię: przywłaszczał sobie wszystko, co mu wpadało w ręce... Giovanna przeżywała go „sroką złodziejką”*.

Sroka złodziejka. Co to mogło znaczyć? Dlaczego wydawało mu się tak ważne? To zdanie krążyło mu po głowie razem z fragmentami muzyki Rossiniego, jak to się zdarzało ze starymi płytami winylowymi, kiedy zaczynały się i powtarzały w kółko tę samą nutę.

Aż wreszcie doznał olśnienia.

Pomysł szalony, prawdziwie wariacki, postawienie wszystkich sztonów na jeden numer w ruletce, nie, raczej rosyjska ruletka, rodzaj hazardu, który mógł się dla niego skończyć jak nic wyrzuceniem z policji. Ale nie przyszło mu do głowy nic innego i ten plan wydał mu się najlepszy.

Rozważył go ze wszystkich punktów widzenia, próbując przewidzieć wszelkie możliwe niespodzianki. Przy odrobinie szczęścia plan mógł zadziałać. Popatrzył na zegarek. Była druga w nocy.

Wstał, wszedł do domu, wybrał numer Angeli. Kiedy uspokoił ją już po przestraszeniu, w jaki wprowadził ją jego telefon, zapytał:

– Czy masz pod ręką jakąś ponadsiemdziesięcioletnią krewną, najlepiej wdowę, trochę dziecianną, która nie mieszka w Fiakce i figuruje w książce telefonicznej?

– Przepraszam, odbiło ci?

– Prawie. No to masz taką czy nie?

– Jest ciocia Antonietta...

– Doskonale. Teraz posłuchaj mnie uważnie.

Potem wziął prysznic i poszedł do łóżka. Przespał noc jednym ciągiem, spokojnie i beztrąsko jak dziecko.

Telefon, zgodnie z przewidywaniem, zadzwonił o siódmej trzydzięci. Ledwie zdążył wziąć prysznic, ogolić się i wypić kawę.

– Halo?

–

Tommaso coto za historią tym listem od młodej kobiety, na którą nie odpowiedział.

Mówił jednym tchem, nie robiąc przerw między słowami, musiał być bardzo podekscytowany.

– O jakim liście pan mówi? – spytał, udając wielkie zdziwienie.

– Młoda kobieta, która, nawiasem mówiąc, ma niezwykle zmysłowy głos?

Urwał, najwyraźniej głos dziewczyny musiał mu znowu zabrzmieć w uszach. Kiedy w grę wchodziły kobiety, Tommaso zawsze tracił głowę.



– Przepraszam, muszę się napić wody.

Po chwili podjął rozmowę już normalniejszym głosem.

– ... nazywa się Antonietta Vullo, jest z Rivery, twierdzi, że wysłała do pana list, w którym informuje, że w mieszkaniu w Vigacie przy via Roma dwadzieścia osiem, należącym do Franca Sinagry, więziony jest... przepraszam, więziona... przepraszam, transseksualista, niejaka Giovanna Lonero, stale przez niego torturowany... to znaczy torturowana. Dlaczego nie nadał pan biegu skardze?

– Szczerze powiedziawszy, wydało mi się, że to jakaś historyjka bez pokrycia.

– Przecież Antonietta Vullo figuruje w książce telefonicznej Rivery! To prawdziwe nazwisko! Zadzwoił pan do niej, aby potwierdzić jej tożsamość? Nie zrobił pan tego, prawda? A ja tak, zadzwoniłem!

Montalbano oblał się zimnym potem.

– I co panu powiedziała?

– Odpowiedziała jakaś dziecięciniała staruszka, nic nie zrozumiałem. Musi to być babcia dziewczyny. Powiedziała mi, że jej nie ma. Montalbano, już wysłałem do pana nakaz rewizji.

– Panie prokuratorze, proszę wziąć pod uwagę, że sprawa nie jest taka prosta. Ten Franco Sinagra to mafijny boss, który ma wpływowych przyjaciół.

– Wie pan, co mi powiedziała ta dziewczyna? Że jeśli nie uwolnimy natychmiast tej... przepraszam, tego transseksualisty, ona zwróci się do gazet i do telewizji. Wtedy jeśli okaże się, że jej oskarżenia są prawdziwe, znajdziemy się po szyję w gównie, bo nie wzięliśmy pod uwagę listu podpisanego imieniem i nazwiskiem. Nawiasem mówiąc, ma pan jeszcze ten list?

– Nie, wyrzuciłem go.

– To nie ma większego znaczenia. Rozumie pan chyba, że zaniechanie działania byłoby z naszej strony ciężkim zaniedbaniem obowiązków?

– Panie prokuratorze, ale jeśli cała ta historia okaże się wymysłem dziewczyny, jak zareaguje Sinagra?

– Jeśli nie znajdzie pan tej... to znaczy, tego transseksualisty, to na pewno znajdzie pan coś innego. Mogę się założyć, że w domu członka mafii...

– Dobrze, jeśli tak pan to widzi... muszę wykonać pańskie rozkazy.

– I słusznie, przynajmniej raz niech pan nie robi problemów.

– Zito? Tutaj Montalbano.

– Co się dzieje?

– Chcę ci się odplacić za przysługę, którą mi wyświadczyłeś w związku z Faziem. Za pół godziny bądź ze swoim operatorem przy via Roma dwadzieścia osiem w Vigacie, ale nie ujawniajcie się, zanim nie przyjedziemy.

– Przecież przy via Roma dwadzieścia osiem znajduje się willa Franca Sinagry!

– Otóż to.

– O kurwa!

Zaraz potem Montalbano zadzwonił do komisariatu i kazał się łączyć z Galluzzem.

Udzielił mu instrukcji, po czym zadzwonił do Mimì.

– Jesteś na via Bixio?

– Tak, wszedłem i znalazłem tu prawdziwą rzeźnię. Wezwałem tych z sądówki i czekam na nich na zewnątrz. Nie mogłem wytrzymać w środku.

– Tylko mi nie mów, że ciebie też ogarnęło poczucie metafizycznego przygnębienia!

– Metafizycznego to nie. Widziałeś te prezerwatywy? Zrozumiałeś, co oni zrobili Manzelli? To jakieś bestie, nie ludzie. Ach, posłuchaj, byłbym zapomniał, przyjedzie na miejsce sam Arquà, rozumiesz? A ty co robisz?

– Jadę do komisariatu, bo szuka mnie Tommaseo.

– Czego chce?

– Skąd mam wiedzieć?

Dwa radiowozy zajęły na miejsce w dwadzieścia minut. Galluzzo, który prowadził pierwszy samochód, przekazał komisarzowi nakaz rewizji i otworzył mu drzwi od strony miejsca dla pasażera. Drugi samochód prowadził Lamarca, któremu towarzyszył równie młody policjant, Di Grado.

– Rób dokładnie to, co ja – powiedział Galluzzo Lamarce.

Gdy wjechali do Vigaty, Galluzzo włączył syrenę i ruszył z piskiem opon, jak gdyby ścigał włamywaczy. Ludzie podskakiwali z przestachu na chodnikach i obrzucali obelgami przejeżdżające radiowozy. Jednym słowem zrobili wielkie zamieszanie. Przed wejściem do willi przy via Roma 28 Galluzzo zahamował gwałtownie i wyskoczył z samochodu z pistoletem w rękę, podczas gdy komisarz wysiadał z drugiej strony. Kątem oka zobaczył, jak otwierają się drzwi samochodu zaparkowanego obok i wychodzą na chodnik Zito i jego operator. Na pierwszym piętrze willi uchyliło się i zaraz zamknęło jedno z okien.

Zanim Montalbano zadzwonił do drzwi, dał czas Lamarce i Di Grado, żeby stanęli z karabinami w pozycji gotowej do strzału i dali się sfilmować operatorowi. Na ulicy zaczął się już gromadzić tłum ciekawskich.

*Chodźcie, chodźcie wszyscy na wielkie przedstawienie z ogniami*

*sztucznymi cyrku Salva Montalbana! Być może główny aktor usmaży się we własnych fajerwerkach, ale przedstawienie i tak będzie wspaniałe!*

Dzwoniąc do drzwi, pomyślał przelotnie, że dźwięk dzwonka mógł być jego glorią albo requiem.

– Kto tam? – spytał przestraszony kobiecy głos.

– Policja! Otwierać!

Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich trzydziestopięcioletnia brunetka o wielkich oczach, najwyraźniej pełna temperamentu, ale w tej chwili bardzo przestraszona.

– Czy pani Sinagra?

– Tak. Mojego męża... mojego męża nie ma.

– To nieważne. Mamy nakaz rewizji. Proszę nas wpuścić i zamknąć zaraz drzwi.

Odsunęła się na bok. Na parterze, gdzie znajdował się salon, jadalnia, łazienka i kuchnia, nic nie znaleźli.

Montalbano wszedł na piętro i pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, w pokoju będącym rodzajem gabinetu, była wielka luneta Manzelli przy oknie. Na biurku leżał futerał z lornetką. Pod komisarzem na chwilę ugięły się kolana, musiał się oprzeć na ramieniu Galluzza, żeby nie upaść.

– Źle się pan czuje, panie komisarzu?

– Nie, Gallù, czuję się świetnie!

W głowie rozbrzmiały mu triumfalne fanfary marsza z Aidy. Tak jak przypuszczał, sroka złodziejka nie oparła się blaskowi chromowanej lunety! I sama się wpierdoliła po uszy w gównno.

W małej sypialni łóżko było rozbebeszone i jeszcze ciepłe. Było też oczywiste, że w łóżku w sypialni małżeńskiej spały dwie osoby.

Montalbano zszedł na parter, usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Siedząca naprzeciwko pani Sinagra z bladej robiła się coraz czerwieńsza. Była rozzłoszczona i podskakiwała przy każdym hałasie robionym przez policję krzątającą się na pierwszym piętrze.

W końcu nie wytrzymała i spytała:

– Można wiedzieć, czego szukacie?

Montalbano podrzucił w powietrze wyimaginowaną monetę. Już wygrał, bo wiedział, że Sinagrze trudno będzie wyjaśnić, skąd luneta i lornetka Manzelli wzięły się w jego domu, ale to mu jeszcze nie wystarczało. Chciał mieć w ręku samego Sinagrę. Moneta upadła na ziemię reszką do góry i Montalbano postanowił jeszcze raz zaryzykować.

– Nie widzę powodu, żeby pani nie odpowiedzieć. Szukamy kobiety.

– Kobiety? Jakiej kobiety? – odpowiedziała ze zdumieniem pani Sinagra.

– Chodzi o transseksualistę imieniem Giovanna Lonerio, z którą pani mąż Franco ma od dłuższego czasu romans i...

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

Był to rodzaj ryku, tak głośnego i niespodziewanego, że Montalbano podskoczył, a ci z pierwszego piętra rzucili się po schodach na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Mówili mi! Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa! Mówili mi! Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa! A ja, idiotka, nie dawałam wiary! Aaaaaa!

– Niech się pani uspokoi, proszę tak nie robić!

– Ten skurwysyn, ten chuj pierdolony! Co za obrzydliwość! Co za paskudztwo! Aaaaaaa! Pierdolić się z takim ni to facetem, ni babką! Ja tego skurwysyna zamorduję własnymi rękami!

Nie zdołali jej powstrzymać, rzuciła się do kuchni i odsunęła olbrzymią lodówkę na kółkach. Montalbano od razu zrozumiał, w czym rzecz.

– Lamarca, zabierz ją do drugiego pokoju.

Mimo iż chłopakowi krzepy nie brakowało, namęczył się solidnie, zanim zdołał odciągnąć kobietę, która przestała krzyczeć, za to zaczęła płakać i lamentować.

Komisarz pochylił się, żeby popatrzeć na podłogę, i zauważył, że niektóre płytki tworzyły jakby jeden blok.

– To jest właz. Galluzzo i Di Grado, spróbujcie go otworzyć.

Męczyli się kwadrans bez skutku. Potem Montalbano zauważył, że obok kontaktu lodówki znajduje się mały guzik. Nacisnął go i właz otworzył się bezszelestnie. Klasyczna mafijna kryjówka. Podczas gdy Galluzzo i Di Grado celowali z karabinów, komisarz pochylił się do włazu i zawołał, przykładając sobie zwinięte dłonie do ust:

– Albo natychmiast wyjdziecie, albo rzucę do środka granat ręczny!

Galluzzo i Di Grado popatrzyli na siebie ze zdumieniem. Gdzie był ten granat? W tej samej chwili z otworu wyłoniły się podniesione ręce i zeszpecona blizną twarz Vittoria Carmony, kilera i ochroniarza.

– Załóżcie mu kajdanki! To ukrywający się morderca! – powiedział komisarz.

Jako drugi wyszedł Franco Sinagra. Był w slipkach, w rękach trzymał ubranie.

– Aresztuję pana za zlecenie morderstwa Filippa Manzelli i Matildy Verruso oraz za usiłowanie zabójstwa starszego inspektora Fazia.

– Mogę się ubrać?

– Nie.

Przez cały dzień panowało wielkie zamieszanie. Dziennikarze, reporterzy telewizyjni, wywiady przez telefon, rozwścieczony kwestor, bo ten idiota

Arquà oddał mu niewygodny list, który powinien był przekazać Montalbanowi, i w ten sposób wpędził go w tarapaty, Tommaseo, który nic nie rozumiał i chwalił się wszystkim, że to jego zasługa, scena z Sinagrą w majtkach i w kajdankach pokazywana we wszystkich dziennikach ogólnokrajowych...

O dziewiątej wieczorem, kiedy śmiertelnie zmęczony wracał samochodem do Marinelli, zadzwoniła komórka. To była Angela.

– Chwileczkę – powiedział.

Zanim podjął dalszą rozmowę, zjechał na pobocze.

– Angela, dziękuję za wszystko. Doskonale się spisałaś. Zagrałaś znakomicie swoją rolę. Gdyby nie ty... wiesz już o wszystkim?

– Jak mogłabym nie wiedzieć? W telewizji o niczym innym nie mówią! Dlaczego nie zadzwoniłaś?

Całkiem po prostu zapomniał to zrobić.

– Przepraszam cię, ale tyle się działo...

– Rozumiem.

– Nie musisz się już niczego bać, nikt cię nie zmusi do robienia rzeczy, których nie chcesz robić.

– Wiesz, pomyślałam sobie...

– Tak?

– Mam nadzieję, że nie będzie ci przykro, ale widzisz, ponieważ nie mamy już powodu, aby się spotykać...

Poczuł się, jakby nagle zabrakło mu powietrza. Ale dziewczyna miała rację.

Jaki mieli powód, by się dalej spotykać?

- ...dzisiaj wieczorem nie wpadniesz do mnie.
- Nie obraż się, spróbuj mnie zrozumieć.
- Nie jestem obrażony i doskonale cię rozumiem.
- Przepraszam. I zadzwoń, kiedy będziesz miał ochotę. Cześć.
- Cześć.

Siedząc na werandzie, w nieco melancholinym nastroju, pocieszył się wielką porcją caponaty.



## Od autora

Tak jak wcześniej *Skrzydła sfinksa*, także ta powieść zrodziła się z inspiracji, jaką stał się wycinek z gazety przysłany mi przez mojego opatrnościowego przyjaciela Maurizia Assalta, któremu składam serdecznie podziękowania. Warto przypomnieć, że imiona i nazwiska osób, sytuacje, wydarzenia i miejsca są tylko owocem mojej wyobraźni, a nie rzeczywistości. Ale kiedy się coś pisze i wymyśla, czy nie czerpie się natchnienia z rzeczywistości? W każdym razie składam to oświadczenie, aby uniknąć nieporozumień.

A.C.

# PRZYPISY

[1] *Confederazione Generale dell' Industria Italiana*, czyli Powszechna Konfederacja Przemysłu Włoskiego.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące utwory  
Andrei Camilleriego:

KSZTAŁT WODY

*2007*

PIES Z TERAKOTY

*2007*

ZŁODZIEJ KANAPEK

*2007*

ZNIKNIĘCIE PATÒ

*2004*

GŁOS SKRZYPIEC

*2008*

MIESIĄC Z KOMISARZEM MONTALBANO

*2008*

POMARAŃCZKI KOMISARZA MONTALBANO

*2009*

WYCIECZKA DO TINDARI

*2007*

ZAPACH NOCY

*2008*

PIWOWAR Z PRESTON

*2008*

OBIETNICA KOMISARZA MONTALBANO

*2009*

KOLOR SŁOŃCA

*2009*

CIERPLIWOŚĆ PAJĄKA

*2010*

PENSJONAT „EWA”

*2010*

PAPIEROWY KSIĘŻYC

*2011*

SZARY KOSTIUM

*2011*

SIERPNIOWY ŻAR

*2012*

SKRZYDŁA SFINKSA

*2013*

SEZON ŁOWIECKI

*2014*

POLE GARNCARZA

*2014*

WIEK WĄTPLIWOŚCI

*2015*

ŚMIERĆ NA OTWARTYM MORZU

*2016*

KRÓLOWA POMORZA I INNE HISTORIE Z VIGATY

2016